PORUSZAJĄCY ESEJ MONIKI MAŁKOWSKIEJ

Jak Polacy – kosztem swoich, dobrych artystów – na siłę promują kiepskich ukraińskich

Niebezpieczna zabawa w „Dzień Śląskiej Flagi”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 33/693 10–16 SIERPNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



WOJCIECH CEJROWSKI GORĄCO ZAPRASZA NA ZLOT CIEMNOGRODU

Raport „Do Rzeczy”: Inwazja migrantów na Europę

Wszystkie maski Mateusza Morawieckiego



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

30 LAT LEGENDY

CIEMNOGRÓD

KONCERT URODZINOWY

1996-2026

WRACAMY DO OSIEKA PO 30 LATACH!

WYSTĄPIĄ:

- PAWEŁ BĄCZKOWSKI/MEGA SUPPORT
- MILO ENSEMBLE
- GRUPA FURMANA/TROJAK
- ALICJA BONCOL & KOALICJA
- CEZARY MAKIEWICZ & KOLTERSI
- MARIACHI LOS AMIGOS



22 SIERPNIA 2026

OSIEK

POMORZE / KOCIEWIE

Z INICJATYWY śp. STANISŁAWA CEJROWSKIEGO

TWÓRCY PIERWSZEGO CIEMNOGRODU 1996

WOJCIECH CEJROWSKI ZAPRASZA

WWW.CIEMNOGROD.PL

eprasa.pl 213138047



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nieobliczalność – przypadłość imperium

Od początku, a więc od lutego 2026 r., kiedy to Izrael i USA przeprowadziły atak na Iran, nie mogłem zrozumieć jednego – entuzjazmu (muszę przyznać ostatnio nieco przygasającego) polskich, głównie prawicowych (a ściślej rzecz biorąc, związanych z PiS) komentatorów. Po pierwszych kilku dniach Iran ogłosił zamknięcie cieśniny Ormuz i zaczął w odpowiedzi na napaść ostrzeliwać amerykańskie bazy w regionie Zatoki Perskiej. Już wtedy było widać, że USA popełniły dramatyczny błąd. A w Polsce? W Polsce zachwycano się „skutecznością działań naszych najbliższych sojuszników", która polegała na tym, że na Iran spadają rakiety i bomby.

Po kilku miesiącach z tej „skuteczności naszych sojuszników" nie zostało wiele. Prezydent USA miota się od ściany do ściany, raz grożąc Iranowi zmiażdżeniem, dekapitacją, anihilacją, raz opowiadając o bliskim, leżącym niemal w zasięgu ręki „dealu". Co dzień Donald Trump przedstawia inną wersję, które razem wzięte zresztą nie stanowią żadnej spójnej całości. Nic lepiej nie pokazuje tej bezradności Ameryki niż zachowanie Ukrainy, do tej pory najbliższego i niezłomnego partnera wojennego USA. Prezydent Wołodymyr Zełenski, który całkiem niedawno odgrażał się, że wyśle przeciw Iranowi swoje wojska (mniejsza z tym, że była to opowieść propagandowa), i którego armia przeprowadziła niedawno atak na irański statek na Morzu Kaspijskim, nagle spuścił z tonu i Iran przeprosił. Tak, w obliczu zagrożenia atakiem Teheranu Kijów, okazało się, przypomniał sobie o słowie „przepraszam". Najwyraźniej nawet w Kijowie uznano, że amerykańskie groźby rychłego zniszczenia Iranu to pic na wodę, fotomontaż.

Rzecz pierwsza i najważniejsza: polityka amerykańska przestała być obliczalna. Najważniejszą walutą w relacjach międzynarodowych jest wiarygodność. Otóż właśnie ta przewaga została przez Amerykanów w Iranie utracona. Nie można jednocześnie cieszyć się zaufaniem i je trwonić. USA utraciły wiarygodność, bo żadna z publicznie głoszonych przez Waszyngton obietnic z początku wojny nie została dotrzymana. Więcej – ciągłe groźby i okrzyki na pewno nie świadczą o pewności siebie. Im głośniej Donald Trump ogłasza kolejne, tym razem ostateczne unicestwienie Teheranu, tym mniej jest przekonujący i tym bardziej szkodzi pozycji amerykańskiego imperium.

Utrata wiarygodności jest też doskonale widoczna w relacjach z państwami NATO. Sytuacja, w której prezydent USA razem z premierem Izraela postanawia zaatakować Iran, a następnie, kiedy operacja okazuje się chybiona, domaga się pomocy i zaangażowania od sojuszników, pokazuje kryzys, w którym znalazły się Stany Zjednoczone. Tym bardziej że prezydent Trump nie tłumaczy i nie przekonuje, ale na niechętnych do udziału w wojnie się obraża.

Dodatkowym źródłem nieobliczalności Waszyngtonu są, ujawnione z tak ogromną siłą w ciągu ostatnich miesięcy, wpływy Izraela na amerykańską politykę zagraniczną. Chodzi tu o siłę lobby izraelskiego, a także o przedziwną rolę, którą w otoczeniu Donalda Trumpa odgrywają panowie Steve Witkoff i Jared Kushner. Nie są formalnie członkami administracji. Ten pierwszy to partner biznesowy, ten drugi – zięć Trumpa, to człowiek, którego prezydent USA wychwalał w Knesecie i za sprawą którego na judaizm przeszła jego córka. Obaj panowie, jak twierdzili zachodni dyplomaci, podczas negocjacji z Iranem reprezentowali… interesy Izraela.

Innymi słowy, sojusz z USA jest sojuszem z Izraelem i z rządzącymi tym państwem syjonistami. Nie da się tych rzeczy oddzielić, przynajmniej obecnie. Nie da się też nie zauważyć, jak ważnym elementem ideologii syjonistycznej jest dążenie do podboju i podporządkowania sobie całego Bliskiego Wschodu, co pociąga za sobą w naturalny sposób generowanie kolejnych, niekończących się konfliktów.

Co z tego wszystkiego wynika dla Polski? Gdyby słuchać polskich komentatorów, to nic. Tak jak dawniej większość z nich domaga się zwiększenia obecności amerykańskiej w Polsce. I to całkowicie niezależnie od kosztów takiej obecności, od ryzyka z tym związanego, od nieobliczalności prowadzonej przez Waszyngton polityki. Powód jest prosty: bo w świadomości ogółu polskiej klasy politycznej jedynym egzystencjalnym zagrożeniem dla Polski jest Rosja. Dlatego trzeba się trzymać Waszyngtonu za wszelką cenę i bez wątpliwości. I to nawet jeśli fakty mówią co innego.

Gdy Polska przekazała Ukrainie rakiety do systemów Patriot na wniosek USA, o czym wspomniał szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, to i tak… bezpieczeństwo Polski nie zostało osłabione. Przeciwnie! „Im więcej rakiet strąconych nad terytorium Ukrainy, tym mniejsze zagrożenie dla Polski" – tłumaczył polski wicepremier. Idąc tym tokiem rozumowania, nie wiem, po co Polska ma osobne dowództwo? Oddajmy je w ręce Amerykanów, oni i tak wiedzą lepiej, co dla nas jest korzystne.

Doprawdy, nie mogę pojąć, dlaczego u nas zawsze myli się sojusz z wasalstwem i partnerstwo z podległością. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
WSZYSTKIE MASKI MATEUSZA MORAWIECKIEGO
PiS w przebraniu

19 PIOTR SEMKA
PO GRILLU NA OTWOCKIEJ: NOWE PUŁAPKI

22 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM
KONIECZNY POKÓJ NA PRAWICY

RAPORT

26 OLIVIER BAULT
INWAZJA MIGRANTÓW NA EUROPĘ
Marokański zielony marsz na Ceutę

30 FILIP MEMCHES
WIDMO WIELKIEGO INNEGO

KRAJ

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
MADE IN POLAND
Kim jest pełnomocniczka do spraw promocji marki Polska

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
STARY STRACH PRZED NOWYMI MEDIAMI

KULTURA

36 MONIKA MAŁKOWSKA
SALONOWA STRATEGIA POD FLAGĄ NIEBIESKO-ŻÓŁTĄ
Jak Polacy, kosztem swoich dobrych artystów, na siłę promują kiepskich ukraińskich

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
ŹLE MA SIĘ ŚWIAT

40 PIOTR GOCIEK
CZYJ TO PROCES? HISTORIA JÓZEFA K. INACZEJ

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ROZMOWA Z DR. LESZKIEM SYKULSKIM
KONIEC ŚWIATA JEDNOBIEGUNOWEGO
Geopolityczna układanka

50 KRYSTIAN KAMIŃSKI
HEGEMONIA USA JEST PRZESZŁOŚCIĄ

52 KRZYSZTOF KAWĘCKI
KRZYŻ WYRWANY Z KORONY

54 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NIEBEZPIECZNA ZABAWA W „DZIEŃ ŚLĄSKIEJ FLAGI"

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
LITURGICZNA BEZCZYNNOŚĆ

HISTORIA

58 ROZMOWA Z PROF. MIROSŁAWEM SZUMIŁĄ
ATEIZM ALBO ŚMIERĆ. NIEZWYKŁA HISTORIA „TAJNYCH KSIĘŻY"
Prześladowanie Kościoła w Czechosłowacji

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
JANCZARZY PUTINA
Saga klanu Kadyrowów

66 JAKUB WOZINSKI
NAJBARDZIEJ LUBIANY PREZYDENT NA ŚWIECIE

70 RYSZARD CZARNECKI
POLITYCZNA GORĄCZKA W MANILI

LATO Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
TURYSTYCZNA PERŁA SŁOWENII
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Bled

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (14), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2f31385647

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jakub Adamczyk/East News, Jacek Domiński/Reporter**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Intrygujący naziści, czyli wybielanie z brunatnej farby", Piotr Semka, „DRz" nr 29/2026

Publicystyka Piotra Semki jest jednym z głównych powodów, dla którego jestem Waszym czytelnikiem od pierwszego numeru. Mogę śmiało powiedzieć, że zgadzam się z nią co najmniej w 90 proc. [...] Nie mogę się bowiem zgodzić na stawianie Ernesta Wilimowskiego na równi z Herbertem Czają.

Pan Redaktor zdaje się zapominać, że pisze o realiach drugiej wojny światowej, zupełnie pomija fakt, że Polska znajdowała się nie pod jedną, a pod dwiema okupacjami. A pod tą drugą, sowiecką, mieszkał (we Lwowie) i... grał w piłkę Kazimierz Górski. I jak sobie wtedy radził? Przyjął paszport sowiecki (odpowiednik volksdeutscha) i grał w sowieckich i... niemieckich (podczas okupacji Lwowa przez Niemców) klubach. Od Wilimowskiego różnił się tylko tym, że nie grał w sowieckiej reprezentacji. Jak sam przyznawał, zawdzięczał to temu, że był zbyt słabym piłkarzem. Czy gdyby jednak dostał taką propozycję, odważyłby się odmówić? A jak skończyliby obaj panowie, gdyby zachowali się tak, jak sugeruje Redaktor Semka? Zapewne wylądowaliby w łagrach z małymi szansami na przeżycie wojny. Czy można żądać od kogokolwiek takiego bohaterstwa? [...]

Pan Redaktor pomija przy tym starannie (a może ich nie zna?) argumenty świadczące na korzyść Wilimowskiego. Wychowywał go ojczym powstaniec, ale biologicznym ojcem był Niemiec. Mimo to, jako mieszkaniec Chorzowa, mając do wyboru grę w polskim Ruchu lub niemieckim AKS, Wilimowski wybrał klub polski. I oczywiście reprezentację Polski, w której był nie jednym z najlepszych, a zdecydowanie najlepszym piłkarzem (to opinia Kazimierza Górskiego!). Jego wyczyn podczas mundialu '38, cztery gole strzelone potężnej Brazylii, do dziś nie został powtórzony!

Z pozdrowieniem
Mirosław Wieczorek (Łódź)

Od autora

Szanowny Panie Mirosławie!
„Nie mogę się bowiem zgodzić na stawianie Ernesta Wilimowskiego na równi z Herbertem Czają" – te słowa pisze Pan na początku swojego listu. Dlaczego nie? Bo jeden był dobrym piłkarzem, ale kimś, kto przyjął zaproszenie do kadry piłkarskiej III Rzeszy po zajęciu Polski przez Wehrmacht, a drugi był hitlerowskim likwidatorem Uniwersytetu Jagiellońskiego? Obaj byli obywatelami Polski do września 1939 r. i obaj po jej klęsce wybrali Niemcy. Obaj służyli w różny sposób na rzecz aparatu III Rzeszy. Wilimowski był wykorzystywany propagandowo przez machinę Goebbelsa, a Czaja realizował politykę germanizacji okupowanej Polski. Pisze Pan, że od nikogo nie można wymagać bohaterstwa. Oni też byli tego zdania i dzięki temu długo żyli jak pączki w maśle. Aż w końcu obu ludzie Hitlera powołali do wojska i wysłali na front. I wtedy już nie było tak miło. Czy można więc się dziwić, że jest wielu Polaków, dla których ten wybór to skaza na życiorysie wystarczająca do tego, by krzywić się na ich bezrefleksyjne gloryfikowanie? A że Kazimierz Górski przyjął sowiecki paszport i kraj w klubie w czasie sowieckiej okupacji? Tak, trzeba o tym mówić. Ale jeśli Polacy mile wspominają Kazimierza Górskiego, to nie za epizod z czasów sowieckiej okupacji, tylko dlatego, że wyprowadził polską piłkę na szczyty i mają prawo uznawać, że odkupił swe winy. A Wilimowski? Co z tego, że próbował spotkać się z Kazimierzem Górskim? Jego wybór z wojny naznaczył go do końca życia, przynajmniej w polskich oczach. Nie używajmy takiej logiki – skoro Kazimierz Górski robił kiedyś złe rzeczy, to nie czepiajmy się Wilimowskiego. Nie, mówmy bez upiększeń o epizodach z życia jednego i drugiego.

Piotr Semka

Wyjaśnienie

W numerze 32/2026 tygodnika „Do Rzeczy" w moim tekście pt. „Kim są politycy, którzy wolą Morawieckiego od Kaczyńskiego" omyłkowo do stowarzyszenia byłego premiera zaliczyłam poseł PiS Annę Gembicką. Za pomyłkę przepraszam.

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

eprasa.pl 2f31385647



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tęsknota za wielkością

Na ekrany francuskich kin weszła dwuczęściowa epopeja filmowa o wojennych losach gen. Charles'a de Gaulle'a. Twórca filmu, reżyser Antonin Baudry, stworzył produkcję, na którą – jak się zdaje – Francuzi czekali. Na razie można ją obejrzeć tylko we Francji, więc opisując ogromne zainteresowanie filmowym freskiem w ojczyźnie generała, muszę opierać się jedynie na relacjach w czołowych francuskich dziennikach i tygodnikach. Wybija z nich jedno: duma, że wreszcie znalazł się reżyser, który przypomniał Francuzom, z jakiego dna upadku wydźwignął ich wcześniej mało znany generał.

Mało kto pamięta, że na samym początku po upadku Francji, w czerwcu 1940 r., de Gaulle panował jedynie nad niewielkim biurem w Londynie i garstką tych kolonii, które miały na tyle antyniemieckich gubernatorów, by dumnie odrzucić kapitulację marszałka Philippe'a Petaina. Dopiero trzeba było paru lat, by kolejne kolonie łaskawie uznawały władze lidera „wolnej Francji".

Ale – jak wynika z recenzji – ten film ma też wątek, który wyda się znajomy Polakom interesującym się losami polskiego rządu na uchodźstwie w Londynie. De Gaulle, podobnie jak nasz gen. Władysław Sikorski, a potem jego następcy, musiał non stop walczyć o uznanie Brytyjczyków, następnie zaś Amerykanów, poprzez udowadnianie swojej wojskowej użyteczności, i ciągle zmagać się z intrygami brytyjskich gospodarzy, którzy przypisywali sobie prawo do ingerowania w dużą część decyzji emigracyjnych władz. W tej grze de Gaulle dysponował nawet początkowo słabszymi kartami niż Polacy. Fala kolaboracji we Francji była nieporównywanie większa niż w Polsce, gdzie Niemcy nie zdołali znaleźć szerszego pola do niej.

Nie sposób zauważyć, jak wiele jest odniesień przy recenzowaniu filmu do obecnego stanu Francji. W wywiadzie dla „Le Figaro" z aktorem, odtwórcą roli de Gaulle'a, francuskim aktorem ormiańskiego pochodzenia Simonem Abkarianem, artysta mówi: „Dla de Gaulle'a Francja nie jest ani firmą, ani start-upem. Generałowi chodzi o to, by dać Francji należne jej miejsce, zapisać się w annałach wieczności. Można dyskutować o tej wizji, ale ona istnieje. Dziś słyszę od polityków głównie chwytliwe hasła mające na celu prowokację i skupienie uwagi mediów na kilka godzin. Brakuje głębi i duchowości. Do ludzi mówi się, jakby byli prostakami".

Arnaud Teyssier, znany historyk, omawiając film o de Gaulle'u, mówi: „Człowiek opatrznościowy nie jest autentycznym bohaterem. Jest tym, od którego wszyscy oczekują wszystkiego. To środek doraźny, którego wymagają okoliczności, często katastrofalne". I dodaje już wprost, nawiązując do obecnego prezydenta Francji: „Wraz z tym filmem niepohamowana nostalgia ogarnęła naród, który – zdezorientowany, rozczarowany lub przytłoczony 10 latami macronizmu i jego niespełnionymi obietnicami odnowy narodowej – przygotowuje się do wyborów prezydenckich w 2027 r.". To ostatnie zdanie. ©℗

NIE ŻYJE WITOLD CHODAKIEWICZ

Zmarł Witold Janusz Chodakiewicz – inżynier, urzędnik, przez lata związany z opozycją okresu PRL. Miał 88 lat.

Chodakiewicz urodził się w Wilnie. Ukończył Wydział Budownictwa Wodnego Politechniki Gdańskiej (1960), a także Wydział Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej (1974).

Prowadził aktywną działalność w strukturach NSZZ „Solidarność". Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany. W latach 80. organy bezpieczeństwa PRL inwigilowały go w związku m.in. z pomocą przy organizacji przerzutu literatury bezdebitowej z terenu Danii. W III RP Chodakiewicz pełnił dwukrotnie funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Transportu i Gospodarki Morskiej. Był też pełnomocnikiem do spraw budowy Mostu Północnego w Warszawie.

Został uhonorowany wieloma odznaczeniami, w tym Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz przemian demokratycznych w kraju".

Był ojcem znanego historyka Marka Jana Chodakiewicza.

Pogrzeb Witolda Chodakiewicza odbędzie się 13 sierpnia br. o godz. 13 w Kościele pw. św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach.

(efem) ©℗

BEZPARTYJNI FACHOWCY

Kiedy Rafał Trzaskowski, dociskany do ściany presją społeczną po wybuchu afery wokół Szpitala Południowego, zapowiadał odpartyjnianie spółek samorządowych, nie tak mogliśmy sobie wyobrażać ten proces. Prezydent stolicy ogłosił, że w zarządach znalazł 14 partyjniaków. Wszyscy oni postanowili wypisać się z partii i pozostać na swoich stanowiskach jako bezpartyjni eksperci. W radach nadzorczych mniejsze pieniądze oznaczają mniejszą skuteczność. Na 27 członków rad siedmiu zrezygnowało z partii, a 20 z zasiadania w radzie. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 2f31385647



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SZCZYT NIEMIECKIEGO BESTIALSTWA: MASAKRY POWSTAŃCZYCH SZPITALI

Czerwony krzyż w ogniu – W trakcie powstania warszawskiego Niemcy i ich kolaboranci bezlitośnie mordowali polskich chorych, rannych i personel medyczny

Majańska tajemnica – Badacze wciąż głowią się nad rozwikłaniem wielu zagadek tego niezwykłego ludu

Stygmaty o. Pio – Cuda dziejące się wokół tego świętego zakonnika ściągały do San Giovanni Rotondo tłumy pielgrzymów

Największy błąd Putina – Rosyjska armia była pewna swego. Ukraińcy byli jednak w stanie wykorzystać to, że wróg „opuścił gardę"

UPA i Żydzi – Ukraińscy nacjonaliści pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów, wykazując się przy tym dużą inicjatywą

Polak, który pokonał Bank Francji – Banknoty podrobione przez Czesława Bojarskiego uznawane są dziś za dzieła sztuki. Na aukcjach numizmatycznych osiągają ceny wyższe od oryginałów

Ucięta „prawa ręka" Stalina – Malenkow wydawał się murowanym następcą generalissimusa. Brakowało mu jednak talentów politycznych, którymi wykazywał się jego rywal – Chruszczow

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2f31385647



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Trybunał sięgnął bruku

Jeśli sądził ktoś, że po błazeńskim składaniu przez tuskowych nominatów do Trybunału Konstytucyjnego ślubowania wobec ściany głupiej już być nie mogło, to przyszedł dr hab. Sławomir Patyra i pokazał, że bynajmniej. Pan Patyra został przez obecny sejmowy układ mianowany sędzią w czerwcu i przez długi czas publicznie domagał się, aby prezydent przyjął od niego jak najszybciej ślubowanie. Mógłby ktoś pomyśleć, że tak go ciągnęło do nowej pracy. Bynajmniej. Gdy w końcu prezydent uznał, że nie ma prawnych podstaw, by ślubowania nie przyjąć (choć musiał wiedzieć, że nominat na zaszczytną funkcję nie zasługuje), Patyra po ślubowaniu oznajmił, iż w pracach TK brać udziału nie będzie, bo ten Trybunał nie jest trybunałem legalnym i on poczeka.

Na co? Co może się z upływem czasu zmienić w kwestii legalności Trybunału? Proste, jak mówiono „we wojsku": z upływem czasu wygasną kadencje kolejnych sędziów i Tusk z Czarzastym poślą tam kolejnych Patyrów i Markiewiczów, aż PO, pardon, KO, zdobędzie w Trybunale większość. I wtedy stanie się on legalny, tak jak z dnia na dzień „konstytucyjna" zrobiła się Krajowa Rada Sądownictwa, gdy według tej samej, dotąd „niekonstytucyjnej", ale po zastosowaniu przez KO już konstytucyjnej procedury, wybrano do niej nominatów jedynie słusznych. Wtedy, gdy to samo stanie się z Trybunałem, pan Patyra się do niego pofatyguje. Na razie, jak rozumiem, pobory należy mu przesyłać pocztą, choć Bóg jeden wiedzieć raczy za co.

Kiedy Tusk zapowiedział, że od teraz obowiązuje „prawo, jak my je rozumiemy", co cwańsi prawnicy zorientowali się, że nie należy się uczyć kodeksów, wykładni i precedensów, bo to wszystko nie ma znaczenia. Trzeba pilnie śledzić znaki dawane przez Tuska – jak on „rozumie" – i tym się kierować, nie konstytucją ani ustawami, a ich kariery zaraz ruszą z kopyta. Jest jeden problem: te kariery będą trwać tak długo, jak władza Tuska. Bo przecież potem nikt już jego błaznów nie będzie uważał za żaden Trybunał, a już zwłaszcza Konstytucyjny, choćby się nie wiem, jak nadymali. ©℗

#WARTO

„Autorytety" Morawieckiego



JAN POSPIESZALSKI

Panie Premierze, co z COVID-19, co z sanitaryzmem, co z 200 tys. nadmiarowych zgonów?". Na pytanie jednego z widzów kanału Rymanowski Live Mateusz Morawiecki odparł, że wobec nieznanej epidemii musiał zaufać epidemiologom, jedynym wówczas w Polsce znanym autorytetom. Zdążył też skrytykować tych, którzy z dzisiejszą wiedzą atakują jego politykę „walki z pandemią", a on przecież opierał się wyłącznie na zaleceniach Rady Medycznej, choć w kwestii przymusowych szczepień (na szczęście!) miał inne zdanie. Tworzenie zaś szpitali tymczasowych usprawiedliwił brakiem miejsc w szpitalach „marszałkowskich i miejskich", gdzie na triażu dokonywano selekcji. W tym kontekście Morawiecki powtórzył fake newsa o masowych pochówkach i zbiorowych grobach w Hiszpanii i we Włoszech.

Ale to niejedyny fake news! Po pierwsze nieprawdą jest, że „jedynymi autorytetami" byli zwolennicy sanitaryzmu. Setki lekarzy i naukowców, m.in. prof. Dorota Sienkiewicz, były wiceminister Zbigniew Hałat, ordynator Zbigniew Martyka, apelowało o odblokowanie systemu ochrony zdrowia, ostrzegając przed szczepionkami. Po drugie szpitale. To właśnie „jedyne autorytety" spowodowały dezorganizację systemu, co sprawiło, że wiele łóżek, także w szpitalach zakaźnych, było wolnych. Po trzecie, już w połowie 2020 r. statystyki zgonów na COVID-19 pokazały znikomą zjadliwość wirusa. Morawiecki, jako premier, musiał to wiedzieć i nie wyciągnął wniosków. Natomiast do najtragiczniejszego aspektu, do setek tysięcy zmarłych wskutek polityki „walki z pandemią" były premier w ogóle się nie odniósł (gospodarz kanału też nie dopytał).

Na końcu jeszcze Morawiecki podkablował prezesa, że to on właśnie chciał przymusu szczepień. Trochę to słabe, że w jednej z najboleśniejszych kwestii ostatnich lat były premier na początku samodzielnej politycznej drogi w tylu kwestiach mija się z prawdą. ©℗

eprasa.pl 2f31385647

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Rafał Zaskoczyciel

Trzaskowski Rafał to jednak zaskoczyciel. Wiem, że nie ma takiego słowa jak „zaskoczyciel", ale jest Trzaskowski Rafał, prezydent Warszawy, nadzorca najsłynniejszego w Europie Szpitala Południowego, a jest prawdziwym zaskoczycielem. Stop. Po wielu skandalach w tym szpitalu, jak choćby z Dawidem Kacprzykiem, który w rok zarobił 1,6 mln zł na stanowisku koordynatora SOR, Trzaskowski zarządził audyt. Stop. W tym czasie wyszło, że Dawid, chluba Koalicji Obywatelskiej, władzom szpitala mówił, że w zasadzie on jest jedyną władzą szpitala, choć ma lat 28, gdyż on w swej korpulentnej osobie reprezentuje Trzaskowskiego, o czym poinformowały opinię publiczną władze tego najsłynniejszego w Europie szpitala. Stop. I teraz uwaga: wyszedł ten Trzaskowski z tymi wynikami audytu i mówił, mówił, aż doszedł do rzeczy wstrząsającej. Stop. Otóż w Szpitalu Południowym nie było stanowiska „Koordynator SOR". Stop. Rozumieją państwo? Stop. Kajtuś ze skorodowanej korupcją niczym 40-letni samochód Polonez rdzą Koalicji Obywatelskiej idzie do szpitala, tyra w pocie czoła na stanowisku, którego nie ma, i dostaje 1,6 mln zł pieniędzy, które jak najbardziej są, gdyż lądują na jego koncie. Stop. No jest to wielki cud KO i naszego zaskoczyciela Trzaska. Brawo!

Się okazuje na moje szczęcie, że nie tylko ja nie rozumiem, lecz także np. premier nasz Donald Tusk też całkowicie nie rozumie, ale innej kwestii. Stop. Napuszył się nam pan premier, a jego otoczenie opłacane z naszych pieniędzy to nawet nabzdyczyło, że premier w łaskawości swej podpisał powołania przedsędziom 200, czyli asesorom. Stop. Się przy tym naopowiadał, że decyzja prezydenta o powołaniu przez prezydenta to jest nieważna bez jego podpisu. Stop. Wtedy wystąpił ten rozbójnik z brodą, Zbigniew Bogucki, zresztą prawnik, szef Kancelarii Prezydenta, i w najhaniebniejszy sposób, czyli merytorycznie, natrząsał się z Tuska dość długo. Stop. Skracając, ostatecznie i powszechnie obowiązujący wyrok Trybunału Konstytucyjnego stwierdza, że premier, owszem, może sobie takie dokumenty asesorom podpisać, podobnie jak może zatwierdzić np. plan przestrzenny Dubaju czy też obciąć budżet Elonowi Muskowi. Stop. Premier Donald Tusk w ogóle dużo może i za to jest mu wdzięczna najlepsza, aczkolwiek błyskawicznie topniejąca część narodu. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KOMU WOLNO, KOMU NIE

Kto ma prawo czcić powstańców warszawskich? W teorii każdy, w celebryckiej wizji świata już nie. 1 sierpnia, jak co roku, na Rondzie Romana Dmowskiego zebrały się tysiące ludzi, a wśród nich narodowcy (którzy, wydaje się, jako pierwsi wybrali sobie to miejsce do upamiętniania kolejnych rocznic). Były race, krzyki, co oczywiście nie musi się podobać każdemu. I nie podoba. „Dlaczego o Powstaniu Warszawskim najgłośniej wydzierają się ci, którzy z jego dziedzictwem nie mają absolutnie nic wspólnego? Kto im dał do tego prawo? [...] Co za obrzydliwe zawłaszczanie wielkiego



FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

i tragicznego w swoim wymiarze wolnościowego zrywu!" – oburzyła się na Instagramie Kinga Rusin. Następnie zwróciła się do zmarłego dziadka, nie kryjąc oburzenia i żalu. „Przepraszam cię za to, dziadku. Nie za »Polskę Bąkiewiczów« oddałeś życie w Powstaniu Warszawskim, osierocając trójkę dzieci i skazując swoją żonę, a moją babcię na ból, którego nigdy nie uleczyła. A teraz na m.in. twojej śmierci wożą się ludzie nieuprawnieni, chorzy z nienawiści, dalecy od twoich ideałów i poglądów" – stwierdza. „Drą się, jakby byli na żylecie, robią swoim zwolennikom wodę z mózgu, a spadkobiercom prawdziwych powstańców (i tym rzeczywistym, i tym ideowym) odbierają prawo do godnych obchodów" – kontynuuje dziennikarka. Kinga Rusin wprost przyznała, że cieszy się, iż rocznicę powstania obchodziła poza krajem. „Cieszę się, że nie ma mnie w tych dniach w Polsce, bo widok powstańczych opasek jako gadżetów i zawłaszczonych symboli jest dla mnie bolesny. Prawdziwą powstańczą opaskę, opaskę mojego dziadka, mamy w domu i jest ona niemalże relikwią, a nie jakąś bezmyślną ozdobą na ramieniu. Pójdę na grób dziadka, na Cmentarz Powstańców na warszawskiej Woli, we wrześniu – na spokojnie oddać hołd prawdziwym patriotom" – zakończyła. A może zwolennicy demokracji i wolności powinni pozwolić świętować każdemu tak, jak ma ochotę? Taka luźna myśl.

KURZOPKI NA ZAKRĘCIE

Gwiazdorska para w życiu prywatnym i zawodowym, Katarzyna Cichopek i Maciej Kurzajewski, przeżywa trudne chwile. Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że rozstają się z Polsatem, gdzie prowadzili program śniadaniowy. „Pragniemy poinformować, że wraz z wygaśnięciem dotychczasowego kontraktu podjęliśmy decyzję o zakończeniu naszej współpracy z telewizją Polsat. Czas spędzony w stacji był dla nas niezwykle cennym doświadczeniem i ważnym przystankiem w dotychczasowej karierze zawodowej. Jesteśmy wdzięczni za zaufanie, wspólną pracę oraz możliwość współtworzenia projektów, które na stałe wpisały się w codzienność naszych Widzów" – ogłosili w mediach społecznościowych. „Teraz nadszedł czas na kolejne kroki. Zamykamy ten etap z poczuciem spełnienia i pełną gotowością na nowe wyzwania zawodowe. Najbliższe miesiące zamierzamy poświęcić na intensywny rozwój naszych marek osobistych oraz realizację autorskich projektów, którymi już wkrótce się z Wami podzielimy" – podkreślili. Tymczasem, jak ustalił portal Pudelek, kulisy odejścia miały wyglądać nieco inaczej. To nie Katarzyna i Maciej mieli zdecydować o końcu współpracy, ale kierownictwo stacji – Polsat nie zdecydował się na przedłużenie ich kontraktów. Para nie miała również otrzymać propozycji udziału w innym projekcie. „To nie oni zrezygnowali. To Polsat zdecydował, że nie przedłuży z nimi kontraktu. Jednocześnie nie zaproponowano im żadnego innego projektu, więc ich współpraca ze stacją po prostu się kończy. Ich miejsce w »Halo tu Polsat« zajmie nowy duet prowadzących. Katarzyna i Maciej jeszcze do dziś byli przekonani, że pojawią się na jesiennej ramówce i wrócą na antenę po wakacjach" – twierdzi informator. Kurzopki się odnajdą, to pewne. Ale taki nóż w plecy? Nieładnie, panie Edwardzie, nieładnie.

PRZEKONAJ SAMĄ SIEBIE

Prezenterka i modelka Klaudia El Dursi zdobyła rozpoznawalność dzięki udziałowi w „Top Model". Dziś występuje w zupełnie innej roli – jako współprowadząca show stacji TVN. Prywatnie jest mamą trojga dzieci. Jej najstarszy syn pochodzi z relacji z byłym partnerem 37-latki, a młodszy syn i córka są owocem związku z przedsiębiorcą Jackiem Leszczyńskim. El Dursi regularnie odpowiada na pytania fanów. W najnowszej rolce odniosła się do pytań o ślub z obecnym, wieloletnim partnerem. Gwiazda TVN na początku żartobliwie odpowiedziała na pytanie. – Nikogo nie stać na to, żeby być moim mężem. Męża nie mam, mam partnera – stwierdziła. Dalej gwiazda przyznała, że ślub kojarzy się jej z utratą wolności. – Nigdy o tym nie marzyłam. Dziewczyny marzą o różnych rzeczach – białych sukniach, weselach – a ja w ogóle nie. Od dziecka miałam silną potrzebę bycia niezależną i wolną. I chyba takie niezamężne życie daje mi złudne poczucie wolności. Dzieci tak nie wiążą, ale ślub już jakoś tak – zakończyła. Przymiotnik „złudne" bardzo dobrze oddaje sens słów Klaudii. To tylko ułuda. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w tym tygodniu znów będzie Święto Wojska Polskiego, które zapewne zostanie okraszone wielką paradą sprzętu wojskowego, a po ulicach Warszawy przejadą różnego rodzaju czołgi, armaty, wyrzutnie, katapulty czy – uwaga – armatohaubice (wtf w ogóle?). Dodatkowo święto to ma kontekst religijny, iż 15 sierpnia przypada rocznica Cudu nad Wisłą, kiedy Piłsudski powstrzymał marsz progresywnej lewicy na zachód Europy, w związku z czym znów z każdego kościoła będzie się rozlegało śpiewanie „Boże, coś Polskę" – wiemy to, iż w Krakowie na każdym rogu jest jakiś kościół i to, kochani, po prostu słychać.

Trochę się dziwimy obecnemu rządowi, iż kontynuuje to pisowskie prężenie muskułów i chce wszem wobec pokazać, jakim to on sprzętem dysponuje. To jednak jest takie maczystowskie i patriarchalne – pewnie pamiętacie słowa profesory Środy o fallicznych lufach czołgów?

Jednak od takiego rządu oczekiwalibyśmy pewnej dekonstrukcji obchodów Święta Wojska Polskiego – przede wszystkim zaprzestania używania słowa „święto", iż się to kojarzy z churchingiem, a wojsko powinno być świeckie. Zamiast defilad – może jakiś panel dyskusyjny o roli wojska w nowoczesnym społeczeństwie. Przecież co wrażliwsi mieszkańcy Warszawy mogą odczuwać duży dyskomfort, widząc na ulicach tylu uzbrojonych mężczyzn, a taki panel dyskusyjny mógłby się odbyć kameralnie, z transmisją na jutubie, bez niepotrzebnego epatowania przemocą, a z dopuszczeniem do głosu nie tylko ekspertów od wojskowości, lecz także od socjologii, ekonomii czy gender studies. Przecież współczesne wojsko to nie sprzęt, a przede wszystkim ludzie.

No i ten kontekst religijny. Oczekiwalibyśmy stanowczego zaprzestania obchodzenia rocznicy jakiegoś wydarzenia sprzed 200 lat, o którym już naprawdę prawie nikt normalny nie pamięta, które nie ma obecnie żadnego znaczenia, a którego celebrowanie może niepotrzebnie rozzłościć sami wiecie kogo.



W ogóle to ostatnio jest tak gorąco, iż do naszego biura z wizytą przyszedł Bono i zapytał, czy wykopać nam studnię. Nowy z Tarnowa ciągle opija się maślanką, bo mówi, iż nic lepszego nie ma na upały, a klimatyzacja w korpo ustawiona jest na 26 stopni, iż frendziarom z HR za bardzo wieje i boją się, iż zaraz zaczną kaszleć. Odechciewa się nawet porannego flat white (ofc na owsianym).

Tak do końca nie będziemy się jednak skarżyć, iż mamy świadomość własnego klimatyzacyjnego uprzywilejowania – z jednej strony bardzo się z tego cieszymy, a z drugiej mamy wyrzuty świeckiego sumienia z powodu przyczyniania się do zwiększonego poziomu konsumpcji energii i pozostawiania za swoim komfortem ponadnormatywnego śladu węglowego.

Mieliśmy nawet na ten temat kilka debat: czy powinniśmy nadal korzystać z klimy w sytuacji obecnego obciążenia sieci energetycznej, czy jest to etyczne w ogóle – iż przecież wiele osób na świecie klimatyzacji nie posiada i siedzi w gorącym. Mieliśmy różne pomysły, iżby np. co godzinę wyłączać klimę na godzinę, aby było ekologiczniej; albo iż będziemy włączać tylko na krótko, ale na minimalną temperaturę, póki HR-ówki tego nie zauważą. Padła również propozycja, aby schładzać wyłącznie przestrzenie wspólne, a następnie w miarę potrzeb rotować teamem pomiędzy strefami komfortu termicznego.

Ostatecznie jednak postanowiliśmy stawić czoła swojemu uprzywilejowaniu i znosić je z godnością. Klimatyzacja jest włączona, ale odczuwamy naprawdę poważny dyskomfort moralny – no i trudno, musimy z nim jakoś żyć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Pora na psychiatrę

Donald, słyszałeś o porwaniu Eichmanna?
Tego nazisty?

Tak. W 1960 r. Mosad uprowadził go z Argentyny. Wielki sukces.
Dobra, Romek, ale co to mnie...

Bądźmy jak Mosad!
Daj mi chłopaków z GROM-u,
a ja ci przywiozę Zbyszka z USA.
Ta lebiega Waldek tylko
gębę otworzy.

Zobacz, tu mam wszystko ładnie rozpisane,
taki plan na karteczce sobie zrobiłem...
Daj no tę kartkę.

Co ty mi tu napisałeś?
„Psychiatra". Chyba najwyższa pora. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] mamy do czynienia z kibolizacją Kancelarii Prezydenta RP".

BARTOSZ WIELIŃSKI, *zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", na platformie X*

eprasa.pl 2f31385647



PAP/MARCIN BIELECKI PAP(X2)

POLAK PRZEPŁYNĄŁ BAŁTYK WPŁAW

Pływak długodystansowy Bartłomiej Kubkowski jako pierwszy człowiek w historii pokonał wpław Morze Bałtyckie. Płynął na trasie ze Szwecji (Käseberga) do Polski (Dziwnów). Dystans ponad 160 km przebył w 55 godzin. Zgodnie z rygorystycznymi zasadami ani razu nie wyszedł na ląd, nie opierał się o łódź asekuracyjną, a pożywienie przyjmował prosto z wody. Dla sportowca była to już piąta próba. Musiał zmagać się z silnymi prądami, zimnem oraz halucynacjami, których zaczął doświadczać po 40 godzinach bez snu. Po dotarciu na polski brzeg w niedzielny wieczór trafił na trzydniową obserwację szpitalną, którą opuścił w doskonałym zdrowiu. Jego pierwszym normalnym posiłkiem po wyjściu na ląd były kiszone ogórki. Wyczyn w ramach projektu Ultra Baltic Swim miał wymiar charytatywny. Pływak zebrał blisko milion złotych dla Fundacji Cancer Fighters, wspierającej chorych na nowotwory.

(oprac. raw) ©℗

eprasa.pl 2f31385647



eprasa.pl 2f31385647

Dwaj panowie g

Miniony tydzień zdominowały radosne obchody pierwszej rocznicy zaprzysiężenia prezydenta Karola Tadeusza. Obchody były tak radosne, że PiS zorganizował w ten sam dzień konwencję programową. Skutek był oczywisty: wszyscy pamiętają rocznicę prezydenta, nikt nie pamięta konwencji programowej. Szczerze mówiąc, nikt jej nie pamiętał już tego samego dnia, gdy rozpoczęły się obchody przed Dużym Pałacem.

Àpropos rocznicy zaprzysiężenia Karola Tadeusza. Jak pamiętacie, doszło ono do skutku, bo demokracji warczącej nie udało się przeprowadzić zamachu stanu. I tu przechodzimy do zabawnej sytuacji w Sejmie. Odwiedzają go nasze wiewiórki, nawet gdy nikt tam nie zagląda. Szaleją jeno ekipy remontowe. I to właśnie remonty sprawiły, że na drzwiach sąsiadujących ze sobą gabinetów prezydenta RP i premiera RP pojawiły się nowe tabliczki z nazwiskami. Na gabinecie prezydenta umieszczono nazwisko Szymona Hołowni, a na gabinecie premiera Krzysztofa Bosaka. W przypadku Szymona to wspomnienie sytuacji niedoszłej. Zaś w przypadku Bosaka – to może być omen.

Oczywiście żartowaliśmy z tym, że nikt nie pamięta konwencji programowej PiS „Ku nowemu rządowi". Wszyscy zapamiętali bowiem propozycję, by deportować z Polski niepracujących Ukraińców w wieku poborowym. Ciekawa rzecz, dwa miesiące temu nad podobnym rozwiązaniem dyskutowała Komisja Europejska. Ale tego oczywiście już naprawdę nikt nie pamięta.

Na konwencji „Ku nowemu rządowi" okazało się, że PiS ma nowe twarze. Jedną jest Marcin Ociepa, lansowany na wicemarszałka Sejmu. Drugą Anna Gembicka, lansowana na ministra rolnictwa. Twarde jądro PiS czuje się nieco sfrustrowane tym faktem, wskazując, że Ociepa jest podejrzany, bo to gość jeszcze od Gowina. A Gembicka podejrzana jest o to, że jej kandydatura na wsi nie wywoła entuzjazmu, nie mówiąc o tym, że była ministrem w trzecim, krótko istniejącym, rządzie Morawieckiego. Jak widać, tropienie odchyleń dopiero się w partii zaczyna, nie możemy się doczekać fali czystek i samokrytyki. Chcieliśmy od razu podpowiedzieć, że Błaszczak, Sasin i Kaczyński też byli w rządzie Morawieckiego.

Kilka dni przed świętowaniem z Karolem Tadeuszem naród polski mógł świętować z Mateuszem. A to dzięki imprezie oficjalnie zwanej Rozwój+Wy, a nieoficjalnie: grillem u Morawieckiego. Uważamy, że nazwa oficjalna podobnych wydarzeń się nie przyjmie, gdyż skrót RoWy jest fatalny. Co do nazwy nieoficjalnej – mamy wątpliwości. Grill to mogliby zorganizować jacyś prości „maślarze" czy inni ludyczni „suwpolowcy": rubaszni i umazani musztardą. Do wyrafinowanego Morawieckiego pasuje bardziej brunch, koniecznie z galaretką z foie gras i tostami z brioche.

Odejdnięcie frakcji Morawieckiego z PiS, czyli oficjalne pójście STROP na swoje (STROP – Stowarzyszenie Rozwój Plus), uruchomiło ciekawe procesy transferowe. Na przykład Adam Hofman, dawna gwiazda PiS, widywany jest w okolicach morawian. Ale to bardzo pracowity człowiek, więc widywany jest też w okolicach Konfederacji.

Upały dają się niektórym we znaki – wiewiórki twierdzą, że Przemek Wipler łazi po Warszawie i opowiada, że wystartuje z list PiS. Wiewiórki uważają, że to próba wywarcia nacisku na Mentzena, żeby jednak wziął Wiplera na listy Konfy. W wersję z PiS nie wierzymy, bo wiemy, że Jarosław Kaczyński lubi Wiplera mniej więcej tak jak Stanisława Tyszkę albo i samego Mentzena.

Słyszeliśmy natomiast, że do morawian wybiera się Łukasz Rzepecki, były poseł i były doradca prezydenta Andrzeja Sebastiana. Miałby w ten sposób porzucić Nową Nadzieję Mentzena, zanim zostanie z niej odejdnięty. Nas by ten transfer nie zdziwił. Wszak Rzepecki zasłynął już w 2017 r. wyrażaną publicznie opinią, że Jarosław Kaczyński



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 2f31385647

powinien udać się na emeryturę. Takich ludzi witać się powinno u Morawieckiego brunchem i kwiatami.

Wracając do PiS. Jest kłopot. Ze zleconych przez partię badań na temat paktu senackiego wyszło, że nawet po jego podpisaniu prawica będzie miała pod górkę. Otóż przegra Senat w stosunku bodaj 56:43 (w jednym okręgu jest idealny remis w badaniach). Ale solo jest jeszcze gorzej. Gdyby PiS szedł sam, to zdobędzie nieco ponad 20 foteli senackich. Tylko z dużą Konfą – nieco ponad 30. A z obydwoma Konfami? Nieco ponad 40. A teraz uwaga, haczyk:



badanie to nie obejmowało takiej wersji paktu, w której uczestniczyliby też morawianie.

Powyższe badania wprawiły w popłoch niektórych senatorów PiS, którzy w pakt senacki mało wierzą. A w związku z tym mało wierzą także we własną reelekcję. Zgłaszają więc chęć kandydowania do Sejmu. Głupia sprawa, na tych listach będzie jeszcze ciaśniej, zwłaszcza że Naczelnik chce na nich umieścić nazwiska kandydatów, którzy nie są obecnie posłami. Na przykład Piotr Milowański – sekretarz generalny PiS.

Jeszcze o pakcie senackim. Udało nam się ustalić wartość pojedynczego posła PiS. Wynosi ona jedną czterdziestą wocha. Woch to nowa waluta polityczna, wprowadzona do obiegu po tym, jak PiS zawarł wielki pakt senacki z Markiem Wochem, który – jak wiadomo – reprezentuje sobą głównie siebie, to znaczy Marka Wocha. Woch ma wartość jednego wocha. A skoro jednego wocha przyjęto do kasy, a 40 posłów PiS odejdnięto, to rachunek jest prosty: 1 woch = 40 posłów PiS. Czyli jeden poseł to jedna czterdziesta wocha. Przyznamy, że gdyby uczono nas matematyki w szkole na takich atrakcyjnych przykładach, to mielibyśmy lepsze stopnie.

Tymczasem w demokracji warczącej. Trwają intensywne poszukiwania budynku dla Trybunału Konstytucyjnego bis. Otóż niemiłościwie nam panujący reżim wymyślił sobie, że nowi sędziowie TK urządzą sobie własne, alternatywne zgromadzenie poza siedzibą Trybunału i tak dokonają obalenia urzędującego prezesa Bogdana Święczkowskiego bez udziału starych sędziów. Mimo wszystko uważamy to za komplement dla Święczkowskiego, zwanego pieszczotliwie Godzillą. Mając w pamięci wyniki starć Godzilli z rozmaitymi przeciwnikami – nie poszlibyśmy na taką konfrontację.

W Krakowie odbędą się wreszcie wybory włodarza miasta. Wprawdzie miesiąc po terminie przewidzianym ustawą, ale jednak. Po długim okresie trzymania wszystkich w niepewności swój start ogłosił Łukasz Gibała, który poprzednim razem nieznacznie przegrał z Miszalskim. My w sumie rozumiemy doskonale jego długie wahanie. Niby jest bowiem dobrze, ale też trochę niedobrze. Z jednej strony dobrze byłoby się przypomnieć elektoratowi, z drugiej jednak wygrana nie daje żadnych szans na realne rządzenie. Wszak w referendum nie udało się odwołać Rady Miejskiej, a bez tej realnie rządzić się nie da. Zaś rada grodu Kraka składa się w przeważającej części z Platformy, czy jak się tam oni teraz nazywają.

Ze świata kultury. Nie posiadaliśmy się ze zdumienia. Otóż nasze wiewiórki były świadkami pisania adresu dziękczynnego do wielkiej wdowy po jeszcze większym reżyserze Andrzeju Wajdzie, czyli Krystyny Zachwatowicz. Pani Krystyna dobiega setki, ale – jak się okazało – zachowuje jeszcze przytomność umysłu. Jak usłyszały nasze wiewiórki – pani Krystyna nie znosi feminatywów. I trzeba ją tytułować nie scenografką, ale scenografem. Co gorsza, nie szanuje też formy „reżyserka", uważając, że to określenie na pomieszczenie, w którym pracuje reżyser.

Skoro już jesteśmy przy Wajdzie. Jego ulubiony aktor, Daniel Olbrychski, skierował adres do samego premiera Tuska. Poszło o to, że Daniela nie wzięto do jury filmowego festiwalu w Gdyni, gdyż śmiał krytykować poprzednią szefową resortu kultury, czyli Hannę Wróblewską. Daniel ogłosił, że oczekuje interwencji, a na dowód swej krzywdy przytoczył argument, że w stanie wojennym swojego czasu pisał również do Jaruzelskiego. A ten go wysłuchał. Uważamy ten argument za mocno wątpliwy, ale cóż.

Z ostatniej chwili. Wiewiórki twierdzą, że KPRM w te pędy kazał decyzję zmienić i Daniel jednak będzie w festiwalowym jury. Oczywiście za stosownym wynagrodzeniem. Bo o to w gruncie rzeczy w tej awanturze chodzi. A skuteczność Daniela odnotowujemy jako zaskakujący dowód na to, jak wiele koalicja 13 grudnia ma z… no cóż z 13 grudnia. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



Wystąpienie Mateusza Morawieckiego podczas zorganizowanej 31 lipca br. w Małej Warszawie konferencji stowarzyszenia Rozwój Plus

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

PiS w przebraniu



Łukasz Warzecha

Mateusz Morawiecki opierał swoje koncepcje gospodarcze na postępowych ekonomistach i można odnieść wrażenie, że do tamtego sposobu prezentowania samego siebie chce właśnie powrócić. A to opowieści i klimaty, które mogłyby zdobyć w „Gazecie Wyborczej", „Polityce" czy TVN24 uznanie

Trzeba to powiedzieć jasno: przez sześć lat Polską nie rządził premier Mateusz Morawiecki, lecz osoba łudząco do niego podobna i nosząca to samo imię oraz nazwisko. Osoba ta została w tajemniczy sposób usunięta z pola widzenia po utracie władzy przez PiS i wtedy dopiero mógł powrócić prawdziwy Mateusz Morawiecki. To ten, który dzisiaj bryluje w programach publicystycznych, demaskując straszliwe skutki oraz praktyki funkcjonowania Zjednoczonej Prawicy za czasów, gdy jego sobowtór oszust kierował rządem. Słuchając oczywiście we wszystkim Kaczyńskiego.

Intensywność sporu, połajanek i wzajemnych złośliwości, a także rosnąca liczba win wyciąganych sobie wzajemnie przez byłych towarzyszy partyjnych mogą zaskakiwać. Nie jest wprawdzie niczym dziwnym w polityce, że po rozstaniu czy rozłamie pojawiają się złośliwości. Daleko w przeszłości szukać nie trzeba, bo nawet w tej kadencji jest przykład w postaci byłego środowiska Polski 2050, które rozpękło się na część pozostającą pod dawną marką i przywództwem Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz oraz na całkowicie już kanapową Unię Centrum, której liderką jest Paulina Hennig-Kloska. Pomiędzy byłymi partyjnymi kolegami – obie frakcje pozostają w rządzie – wiele było docinków. To jednak wręcz pieszczoty w porównaniu z tym, co dzieje się między ludźmi Morawieckiego i Kaczyńskiego, gdzie obrzucanie się takimi wyzwiskami jak „kłamca" oraz przypisywanie sobie nawzajem najgorszych decyzji z VIII i IX kadencji jest na porządku dziennym. Każdy, kto uważniej obserwował politykę, wiedział, że w PiS istnieją napięcia, ale ich pełna skala wychodzi na jaw dopiero teraz, gdy zniknęły hamulce.

Tymczasem media i środowiska niechętne PiS starają się wyczuć, czy da się wykorzystać Mateusza Morawieckiego i jego przedsięwzięcie do atakowania Jarosława Kaczyńskiego i jego formacji. Bo czemu innemu, jeśli nie temu właśnie, służyła okładka niedawnego weekendowego wydania „Gazety Wyborczej", na której umieszczono wielkie zdjęcie twarzy Morawieckiego (co ciekawe, niewykrzywionej w jakimś grymasie), opatrzone dramatycznym pytaniem: „Wreszcie nowoczesna prawica czy PiS w przebraniu?". Warto się przy tym pytaniu redakcji z Czerskiej zatrzymać, ponieważ uderza ono w istotę problemu.

KPINY I ŻARCIKI LEWEJ STRONY

Najpierw można zadać sobie pytanie, czy Mateusz Morawiecki złapie się na lep pochlebstw lewej strony. Przy czym odpowiedź właściwie już jest: nie musi. Zaciętość bynajmniej nieudawanego konfliktu jest bowiem tak głęboka, że były premier i duża część jego ludzi nawet bez chodzenia do TVN24 czy wypowiadania się w „GW" doskonale odgrywają rolę, jakiej oczekiwaliby od nich ludzie mediów sprzyjający obecnej władzy. Wystarczy to, co pojawia się w mediach społecznościowych oraz podczas wizyt w programach takich jak „Rymanowski Live". Uczciwie trzeba natomiast przyznać, że z równą gorliwością działa druga strona tego konfliktu, dbając cały czas, aby przeciwnikom PiS nie zabrakło amunicji. Oni właściwie nic teraz robić nie muszą – wystarczy, że będą spokojnie czekać, ewentualnie

eprasa.pl 2f31385647

podchwytywać co efektowniejsze wątki. Tak jak to uczynił niezmiernie uchachany minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski podczas wizyty w TOK FM u Dominiki Wielowieyskiej. Dziennikarka przytoczyła faktycznie krążące (i to od wielu miesięcy, zanim jeszcze rozpad stał się faktem) plotki, jakoby Morawiecki działał z inspiracji Donalda Tuska, rozbijając PiS. „Czyli nasza operacja przebiega zgodnie z planem!" – ironizował Sikorski. „Czyli pan potwierdza?" – indagowała Wielowieyska. „Sama pani rozumie, że nie mogę potwierdzić" – kpił dalej Sikorski. To znakomite podsumowanie sytuacji: członkowie obozu władzy mogą ograniczyć się do kpin i żarcików, nic więcej robić nie muszą. Praca wykonuje się za nich sama – dwa obozy będące do niedawna jednym niezwykle efektywnie – oraz efektownie – masakrują się nawzajem bez niczyich zachęt.

W pytaniu o to, czy Mateusz Morawiecki pokaże wreszcie „nowoczesną prawicę", kryje się jednak znacznie więcej. „Wyborcza" jest przecież ostatnim medium, które chciałoby umocnienia się prawicy faktycznej. Już z samego tego możemy wywnioskować, że „prawica nowoczesna", w której sprawie redakcja z Czerskiej mruga okiem do Morawieckiego, jest jakimś specjalnym rodzajem prawicy mało prawicowej. Powie ktoś – słusznie – że przecież PiS, który Mateusz Morawiecki opuścił, również z prawicą nie ma wiele wspólnego, wbrew własnym deklaracjom. To partia skrajnego centralizmu, etatyzmu, niechętna przedsiębiorcom, całkowicie antyliberalna w klasycznym znaczeniu, nieufna wobec obywateli, chętnie ograniczająca ich wolność i pokładająca ogromną wiarę w państwie, a niemal żadnej w decyzjach jego mieszkańców. Czyli – jest to klasyczna partia centralistycznej lewicy. Tutaj sprawa wydaje się jasna: Rozwój Plus absolutnie z taką postawą oraz sposobem myślenia nie zrywa. I to jest dla „Wyborczej" zapewne jak najbardziej w porządku, bo przecież lewicowa gazeta także nie za bardzo lubi agendę wolnościową.

POLITYKA ANTYLIBERALNA

Dzisiaj obie strony nawzajem wyciągają sobie różne decyzje podejmowane w czasie dwóch kadencji, jednak twarzą większości z nich był Morawiecki, a w wielu przypadkach również inicjatorem. Jeżeli mówimy o antyliberalnej części dokonań poprzedniej władzy, to największym z nich bez wątpienia było wdrożenie Polskiego Ładu, a za to bez dwóch zdań odpowiedzialny był sam premier i jego ludzie, tacy jak Piotr Patkowski. Polski Ład zawierał zresztą nie tylko elementy stricte podatkowe. Początkowo miał np. oznaczać również bardzo daleko idące ograniczenia w stosowaniu gotówki, czemu sprzeciwiła się mocno ówczesna Solidarna Polska. Nieszczęsny KSeF ma te same korzenie.

Wiele mówią program i ton, który dominował podczas grilla zorganizowanego przez Mateusza Morawieckiego. W jego ramach odbyła się dyskusja zatytułowana „Rozwój a wykluczenia. Jak idąc do przodu, nie zostawić nikogo z tyłu. Lewicowa perspektywa". Panel poprowadził Marcin Horała – jeden z secesjonistów – a udział wzięli: lewicowa posłanka niezrzeszona Paulina Matysiak, lewicowy i bliski PiS publicysta Rafał Woś, Jan Oleszczuk-Zygmuntowski, szef Polskiej Sieci Ekonomii, skrajnie etatystycznego i agresywnie lewicowego think tanku ekonomicznego, oraz Marcin Giełzak, lewicowy publicysta, współprowadzący na YouTube program „Dwie Lewe Ręce". Znaczące było, że podczas wydarzenia nie było dyskusji przedstawiającej w równie jednoznacznie nacechowanym składzie perspektywę wolnościową i klasycznie liberalną. I nie był to przypadek – jako premier Mateusz Morawiecki nigdy nie odwoływał się do idei klasycznie liberalnych. Chętnie sięgał po Thomasa Piketty'ego, ale w ogóle nie po Ludwiga von Misesa czy Friedricha Augusta von Hayeka. Nic się tutaj nie zmieniło. Owa „lewicowa perspektywa" jest Morawieckiemu autentycznie bliższa. Nie bez powodu w Siemianowicach Śląskich w 2019 r. pokrzykiwał ze sceny z dumą, że „robotnicza myśl socjalistyczna jest głęboko obecna w filozofii PiS".

Zwrócił na to uwagę obecny na grillu (jako obserwator) Marek Tatała, wiceprezes Fundacji Wolności Gospodarczej. W tekście na portalu naTemat napisał: „Zorganizowano rozmowę prezentującą perspektywę lewicową, ale zabrakło analogicznej debaty o rozwoju z perspektywy wolnościowej. Ograniczono się do kąśliwych uwag pod adresem Łukasza Warzechy, »kolibrów«, czyli konserwatywnych liberałów, oraz austriackiej szkoły ekonomii. Pokazuje to, gdzie Rozwój Plus nie zamierza szukać wyborców. Nie próbuje na razie poważnie sięgnąć po wolnościową część elektoratu Konfederacji ani po gospodarczych liberałów rozczarowanych ofertą koalicji rządzącej".

Tatała zauważył także złośliwie, że „sam Mateusz Morawiecki również zapewne nie uważał Balcerowicza za symbol zła, gdy kierowany przez niego bank był przez kilka lat głównym sponsorem projektu edukacji ekonomicznej dla szkół prowadzonego przez Fundację FOR, założoną przez Leszka Balcerowicza". Było to nawiązanie do wystąpienia Morawieckiego, w którym znalazły się rytualne uderzenia w byłego ministra finansów, a następnie szefa NBP.

Wróćmy do pytania: Czym miałaby być „nowoczesna prawica" Morawieckiego? Odpowiedź właściwie wydaje się dość oczywista: najlepiej z punktu widzenia „Wyborczej" i tych, którym bliski jest jej punkt widzenia, aby była to „prawica" przypominająca współczesne zachodnie chadecje, czyli – w dużej mierze bezobjawowa. Akceptująca postępy ideologiczne, imigrację zarobkową, wprowadzenie ograniczeń swobód obywatelskich w imię bezpieczeństwa pojmowanego na różne sposoby.

Tu jednak nadal mamy chaos i brak jasnej linii po stronie nowej formacji. Weźmy przykład imigracji. W czasie sprawowania władzy PiS nie tylko nie opracował strategii imigracyjnej (zrobił to obecny rząd), lecz także masowo wpuszczał do Polski pracowników z krajów najbardziej niekompatybilnych kulturowo, którzy następnie wyraźnie zawyżali statystyki przestępczości. Najnowsze dane pokazują np., że wielkim kłopotem stają się Kolumbijczycy, a ci jako pracownicy zaczęli się w Polsce pojawiać właśnie za rządów Morawieckiego.

Komentując tę kwestię podczas wystąpień publicznych po 2023 r., Jarosław Kaczyński stwierdzał, że PiS w tej sprawie uginał się pod oczekiwaniami przedsiębiorców. To tłumaczenie było bardzo wątpliwe. Raz dlatego, że na pracownikach sprowadzanych z egzotycznych miejsc korzystały głównie wielkie niepolskie korporacje. Dwa, bo byłaby to chyba jedyna sprawa, w której ówczesny rząd tak chętnie słuchałby biznesu.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu w Polsacie pojawił się Paweł Jabłoński,

eprasa.pl 2f31385647

były wiceminister spraw zagranicznych i kolejny poseł z grupy Mateusza Morawieckiego, wygłaszając następujące stwierdzenie: „Błędne jest podejście takie – to też jest pewien błąd naszego rządu, ale też rządów wcześniejszych – że był przyznawany całkowity prymat krótkoterminowym interesom ekonomicznym przedsiębiorców, którzy chcieli mieć jak najwięcej jak najtańszej siły roboczej przy ignorowaniu różnych kwestii dotyczących bezpieczeństwa". Czy nie był to błąd Mateusza Morawieckiego? Czy mamy uwierzyć, że odnoszący się do przedsiębiorców tradycyjnie z ledwo skrywaną pogardą Jarosław Kaczyński terroryzował premiera Morawieckiego w sprawie przyjmowania imigrantów do pracy?

W to dać wiarę chyba równie trudno jak w opowieści samego Mateusza Morawieckiego o tym, że tylko jego bohaterstwu zawdzięczamy, iż nie wprowadzono w Polsce w czasie epidemii COVID obowiązkowych szczepień, których zwolennikiem – według byłego premiera – miał być sam prezes Kaczyński. To przy premierze powstała wtedy Rada Medyczna, której posiedzenia nie były protokołowane, a w której znalazły się osoby powiązane zależnościami finansowymi z przemysłem farmaceutycznym, w tym z przedsiębiorstwami produkującymi szczepionki. To Mateusz Morawiecki firmował wiele fatalnych decyzji, zamykających lub ograniczających działanie całych sektorów gospodarki: gastronomii, klubów fitness, rozrywki. Motywy i uzasadnienie podejmowania tych decyzji były niejasne wtedy i pozostają takie do dzisiaj. Status kultowy ma odpowiedź, którą w 2021 r. otrzymała Sieć Obywatelska Watchdog Polska na przesłane do KPRM zapytanie, dotyczące sposobu podjęcia pamiętnej decyzji o zamknięciu cmentarzy 1 listopada 2020 r. Można było w tej odpowiedzi przeczytać: „KPRM nie posiada listy ekspertów, których ustna opinia lub głos doradczy przyczynił się do podjęcia decyzji […]. Wyjaśniam, że odtworzenie procesu myślowego, który towarzyszył Prezesowi Rady Ministrów w podjęciu tej konkretnej decyzji, oraz wskazanie, który głos doradczy był pomocny lub kluczowy w jej podjęciu, jest z praktycznego punktu widzenia niemożliwe i wymagałoby zainicjowania działań tworzących nowe informacje, które mogłyby później okazać się nierzetelne lub nieścisłe". Może w ramach rozliczania się z przeszłością Mateusz Morawiecki wyjawi nam teraz, jaka była prawda? Zapewne okaże się, że zapierał się rękami i nogami, ale zły Jarosław Kaczyński koniecznie domagał się, aby cmentarze zamknąć.

Spójrzmy wreszcie do listy programowych priorytetów, którą przedstawił Rozwój Plus. Beztreściowe punkty, będące klasycznym pustosłowiem („Patriotyzm busolą każdej decyzji"), można pominąć. Znajdziemy tam jednak również punkty takie jak „Suwerenna i autonomiczna polityka migracyjna" – o tym już była wyżej mowa. Jest też punkt „Stop polityce klimatycznej Unii Europejskiej". Tymczasem to Morawiecki podpisał konkluzje Rady Europejskiej z grudnia 2020 r., otwierające drogę do wdrożenia pakietu „Fit for 55", a także – o czym mówi się już znacznie rzadziej – do uruchomienia mechanizmu „pieniądze za praworządność". To ostatnie ma obecnie gigantyczne konsekwencje, ponieważ zasada poprzednio stosowana jedynie w wyjątkowych wypadkach ma w nowej, długoletniej perspektywie budżetowej dotyczyć już całości unijnych funduszy. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nie byłoby to możliwe, gdyby nie pierwotna zgoda. Wówczas Morawiecki tłumaczył, że nie należy się obawiać, bo ewentualne problemy mogą dotyczyć jedynie sytuacji, gdy UE będzie mieć obawy, czy wymiar sprawiedliwości w danym kraju zdoła dopilnować legalnego i zgodnego z prawem wydawania pieniędzy unijnych. Jak się to skończyło – wiemy. No, ale i tu zapewne Jarosław Kaczyński stał za plecami Morawieckiego z odbezpieczonym pistoletem.

Jacek Kurski swoją głośną wypowiedzią w Telewizji Republika przypomniał o sprawie KPO, twierdząc, że Jarosław Kaczyński został właściwie przez Mateusza Morawieckiego oszukany i o spisie kamieni milowych oraz warunków nic nie wiedział. Gdyby tak faktycznie było, nie świadczyłoby to zbyt dobrze o prezesie PiS. Faktem jest natomiast, że listę zobowiązań fatalnych i głęboko ingerujących w wewnętrzne polskie sprawy przygotowało ścisłe otoczenie Mateusza Morawieckiego (naczelną rolę miał odgrywać obecny w Rozwoju Plus europoseł Waldemar Buda), przesyłając ją ministerstwom do konsultacji zaledwie kilkanaście godzin przed jej zatwierdzeniem, co praktycznie wykluczało jakąkolwiek rzetelną analizę.

ZGRANE TWARZE

Mateusz Morawiecki próbując sprzedawać swoją inicjatywę polityczną, szermuje hasłem nowości i otwartości. Faktem jest, że na tle tkwiącego w kompletnej stagnacji PiS środowisko byłego premiera może sprawia dynamiczne wrażenie – ale tylko właśnie w takim kontekście. Przecież były premier nie otoczył się nowymi ludźmi. Pomijam już zaskakujący przypadek Ryszarda Terleckiego, ale osoby takie jak Janusz Cieszyński, Marcin Horała, Olga Patkowska-Semeniuk, Paweł Jabłoński czy absolutna gwiazda przechodnia kilku formacji Monika Pawłowska to wszystko twarze zgrane i poważnie obciążone decyzjami, które sprawiły, że wyborcy zaczęli od PiS odchodzić do jednej lub drugiej Konfederacji. Patkowska-Semeniuk w najgłupszy sposób uzasadniała w mediach covidowe restrykcje, Puda lansował się z prozwierzęcymi aktywistami, Cieszyński był zwolennikiem cenzurowania mediów w imię ochrony proukraińskiej narracji. Dlatego tak pocieszne jest, gdy Patkowska-Semeniuk opowiada u Moniki Jaruzelskiej, że nowa formacja odbierze wyborców Grzegorzowi Braunowi.

Czy zatem będzie z Rozwoju Plus „nowoczesna prawica", jakiej chciałaby „Gazeta Wyborcza"? To może się udać. Mateusz Morawiecki doskonale czuł się w towarzystwie Yuvala Harariego, opierał swoje koncepcje gospodarcze na postępowych ekonomistach, zwolennikach nowej teorii monetarnej (twierdzących, że państwo nie może zbankrutować i może się zadłużać praktycznie w nieskończoność), żonglował opowieściami o elektrycznych samochodach – i można odnieść wrażenie, że do tamtego sposobu prezentowania samego siebie chce właśnie powrócić. A to opowieści i klimaty, które mogłyby zdobyć w „GW", „Polityce" czy TVN24 uznanie.

Prawda jest jednak taka, że w skutki rządów lat 2015–2023 umoczeni są wszyscy i odpowiada za nie całe kierownictwo PiS w takim samym stopniu jak Mateusz Morawiecki i jego ministrowie. Zatem prawdziwa odpowiedź na pytanie zadane przez „Gazetę Wyborczą" brzmi: PiS w przebraniu. Nawet jeżeli z punktu widzenia lewicy powstała właśnie „nowoczesna prawica".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



Piotr Semka

Morawiecki odkrywa nowe pułapki

Czym chce być Rozwój Plus? Na razie z bardzo mgławicowych wypowiedzi lidera stowarzyszenia wynika chęć uplasowania się na pozycji umiarkowanej centroprawicy. Tyle że doświadczenia wielu ugrupowań pokazują, że jest to zadanie niezwykle trudne. A z prawej strony już idzie zapowiedź, że Morawiecki to typowy chadek w stylu niemieckiej CDU, który prędzej czy później zaakceptuje zmiany obyczajowe, niezależnie od tego, jak bardzo deklarowałby dziś swój konserwatyzm

Mateusz Morawiecki odkrywa, co to znaczy stanąć na czele własnej partii i – od pierwszej chwili takiej samodzielności – odczuwa, jak smakuje zderzyć się z polemiką rywali. Dotąd bowiem znał ataki na premiera rządu, ale kuksańce od konkurentów, gdy się jest liderem ugrupowania, to jednak coś innego. Teraz jest już na swoim. I za wszystko odpowiada sam, bo wcześniej dostał premierostwo na tacy od Jarosława Kaczyńskiego. Wtedy był politykiem, który przyszedł ze świata biznesu do już ukształtowanej i sprawnie zarządzanej partii. Obecnie wszystko trzeba robić od podstaw.

Przez długie lata, gdy Morawiecki był premierem, wszyscy widzieli w nim raczej „pana od ekonomii". A za naturalne uznawali, że w wielu innych kwestiach decydować będzie Jarosław Kaczyński. Dlatego nikt nie pytał go o kwestie obyczajowe, stosunek do relacji państwo – Kościół czy też np. pewnych kwestii w polityce zagranicznej. Teraz jednak jest już na swoim i musi sobie radzić z całą paletą pytań. Jak pod tym względem wypadł pierwszy tydzień życia w warunkach osobnej formacji Rozwój Plus?

EFEKTOWNY START

„Nigdy nie ma drugiej okazji, aby zrobić dobre pierwsze wrażenie". Tę mądrość przekazują sobie od wielu lat ludzie estrady. Organizatorzy grilla, który się odbył w piątek 31 lipca br. na dawnych terenach pofabrycznych w centrum artystyczno-eventowym Mała Warszawa na stołecznej Pradze, zdecydowanie wzięli sobie to do serca. Impreza Stowarzyszenia Rozwój Plus była naprawdę perfekcyjnie zorganizowana. Dziesiątki młodych wolontariuszy dbały, by wszyscy wobec gigantycznego upału mieli dostęp do butelek z wodą, a na gości czekały darmowa kiełbasa z rusztu i karkówka. Limit pojemności imprezy wyznaczony na tysiąc osób był pilnowany bardzo rygorystycznie. Chętni do wejścia na tę darmową i swobodnie dostępną imprezę po przekroczeniu owego słynnego limitu tysiąca osób musieli czekać w długiej kolejce na warszawskiej ulicy Łomżyńskiej. Tak się stało, ponieważ była to impreza skierowana do trzech grup – dziennikarzy i liderów opinii, wszystkich tych, którzy już działają i tworzą struktury Rozwoju Plus w Polsce, wreszcie tych, którzy zmęczeni są aktualnym układem sceny politycznej i – jak to się czasami mówi – „szukają czegoś nowego". Widać było wyraźnie, że lista dyskutantów miała z jednej strony pokazywać otwartość nowego stowarzyszenia na interesujących ludzi także z centrum i lewicy, z drugiej zaś – zapewnić atrakcyjność „grillowego show". Dlatego nie dziwiła obecność wielu postaci, które zdobyły sobie popularność dzięki Kanałowi Zero, Kanałowi Otwartemu czy własnym podcastom. Na imprezę Morawieckiego dali się zaprosić znani uczestnicy debaty publicznej: Jan Rokita, Marek Jurek, Bronisław Wildstein, gen. Rajmund Andrzejczak, Sławomir Dębski oraz takie popularne postaci po prawej stronie jak historyk Krzysztof Kloc czy publicyści Kacper Kita i Piotr Gursztyn. Obok poważnych debat na temat wyzwań, które stoją przed Polską, np. w kwestii demografii, geopolityki czy barier rozwoju, były też konkursy dla dzieci, rozmaite quizy i np. okazyjna degustacja produktów z gęsiny. Czy taki koktajl zachwyci Polaków?

Sam Morawiecki w swoich wystąpieniach prezentował retorykę trochę przypominającą amerykańskie podręczniki pod hasłem „jak dobrze sprzedać siebie i swoją firmę". Wciąż powtarzał, że chciał zgromadzić ludzi kierowanych „niepohamowaną ambicją, aby popchnąć Polskę w przyszłość oraz prezentować dumę i chęć rozwoju". Co rusz wracał do alegorii buntu, niezgody na to, co średnie, i podejmowania ryzyka. Pochwalił się nawet obejrzeniem niedawnej nowej wersji „Odysei", czyli filmu Christophera Nolana, jako metafory potrzeby wkraczania na nowe ścieżki, bo „stary świat odchodzi". Morawiecki mówił: „Sami musimy znaleźć drogę w przyszłość, ale do tego potrzebna jest odwaga".

Ale oprócz tych wystąpień impreza przede wszystkim miała zbudować optymizm wśród tych wszystkich, którzy zdecydowali się iść za Morawieckim nową polityczną drogą. I tutaj energię byłego premiera można było tylko podziwiać. Fotografował się z setkami ludzi, uścisnął niezliczoną ilość rąk, a nawet, ku uciesze fotoreporterów, rozegrał mecz ping-ponga. W kwestiach tożsamościowych nie zapomniał o uczczeniu minutą ciszy ofiar powstania warszawskiego, parę razy wspomniał o niedobrym cieniu

eprasa.pl 2f31385647

Okrągłego Stołu z 1989 r. i tak samo ostro krytykował system „tuskizmu", definiowanego jako ściema, nieróbstwo i chciwość. Inną chwytliwą formułą była głoszona przez Morawieckiego potrzeba „patriotyzmu przyszłości zakorzenionego w patriotyzmie przeszłości". Nie zabrakło też już – wydawałoby się dość zgranych – fraz w rodzaju: „wiemy, co zrobić, i wiemy, jak to zrobić".

Na widowni było widać ludzi zaciekawionych nową propozycją, a niekiedy przybyszów wręcz wpatrzonych w nowego lidera, czego emanacją było skandowanie: „Mateusz, Mateusz". Młodzież była, ale wbrew niektórym relacjom nie stanowiła większości przybyłych na grill. Było to jakieś przedziwne połączenie politycznej imprezy z piknikiem rodzinnym. Trochę przypominało to pierwszy kongres partii Polska Jest Najważniejsza Pawła Kowala i Joanny Kluzik-Rostkowskiej, na który stosunkowo młodzi wówczas liderzy tej partii gremialnie zabrali wszystkie swoje pociechy. Dziennikarze opisali imprezę dosyć życzliwie i efekt został osiągnięty. Uzyskano dobre „pierwsze wrażenie".

WSZYSTKO ZACZYNA MIEĆ KONSEKWENCJE

Nigdy nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie konsekwencji politycznego „pójścia na swoje" tak długo, jak sam nie wejdzie na tę drogę. I tu dobrym przykładem takiego ciągu nieoczekiwanych konsekwencji był opisany powyżej grill na warszawskiej Pradze. Podajmy dwa przykłady.

Oto na piknik Morawieckiego przybyła długoletnia powiernica Jarosława Kaczyńskiego, dziś z nim poróżniona, Janina Goss. Teoretycznie nic nie stało na przeszkodzie, aby miała prawo odwiedzić człowieka, który rzucił wyzwanie mocarzowi z Nowogrodzkiej. A jednak zdjęcia niegdysiejszej zaufanej Kaczyńskiego natychmiast posłużyły politykom Koalicji Obywatelskiej do złośliwych pytań, czy Rozwój Plus to coś nowego czy też nowa emanacja starego Prawa i Sprawiedliwości.

Inny przykład. Kto mógł przewidzieć, że Jan Rokita zabłyśnie na jednej z debat bardzo daleko idącą deklaracją, iż Polska musi akceptować każdą Ukrainę, nawet dyktatorską. Przewidzieć tego nie można było, ale Przemysław Czarnek natychmiast wykorzystał obecność Rokity na grillu do snucia kąśliwych aluzji, a komentariat PiS-owski natychmiast wypomniał Rokicie jego udział w inwigilacji prawicy na początku lat 90. Organizatorzy grilla „przefajnowali" też, gdy ogłosili, że z okazji imprezy ktoś z Kościoła udzielił dyspensy na jedzenie mięsa w piątek. I znów: Czy gra warta była świeczki? Obserwatorów imprezy ze strony liberalnej śmieszyła ta czołobitność wobec Kościoła, a z kolei osoby o głębszej wierze zadawały pytanie, czy partyjna impreza to powód, aby Kościół udzielał dyspensy od wymogu związanego z szacunkiem dla Dnia Męki Pańskiej. Także kolejne dni, gdy już stało się jasne, że drogi Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego rozeszły się na dobre, pokazały, że Morawiecki dopiero odkrywa, iż od tej chwili każde jego słowo będzie bardzo dokładnie analizowane i wykorzystywane do krytyki.

Tu warto przypomnieć, że Morawieckiego przez długie lata irytowała polityka ministra Zbigniewa Ziobry w reformowaniu wymiaru sprawiedliwości. Nie krył, że uważa to za problem w unormowaniu swoich relacji z Brukselą. Z kolei ziobryści przyjmowali te krytyki jako dowód na kapitulanctwo szefa rządu. Dodatkowo Morawiecki uzgadniał swoje najważniejsze decyzje z Jarosławem Kaczyńskim, biorąc za nie współodpowiedzialność. Z kolei były też decyzje, które lider PiS podejmował samodzielnie, ale Morawiecki choć się z nimi nie zgadzał, milczał na ten temat. Już po wyborach 15 października 2023 r. Morawiecki skorzystał z tej współodpowiedzialności prezesa za najważniejsze decyzje rządu wcześniejszych ośmiu lat i miękkim lobem ominął kwestie powyborczych rozliczeń.

KTO ZA CO WINIEN?

Wydawało się więc, że najrozsądniejszą taktyką lidera Rozwoju Plus będzie unikanie teraz kwestii odpowiedzialności za błędy rządów z lat 2015–2023. A jednak Morawiecki podjął niedawno ten temat w swojej słynnej rozmowie z Bogdanem Rymanowskim. Ale znów deklarując „lepiej uderzyć się w pierś", ograniczył się jedynie do zdystansowania się od programu „Bezpieczny kredyt 2 proc.", decyzji związanych z walką z pandemią i reformy wymiaru sprawiedliwości. Wywołało to natychmiastową reakcję starego PiS, który zarzucił Morawieckiemu, że najpierw rzuca gromy na tych, którzy chcieli podyskutować o błędach rządu, a gdy jest to mu wygodne, sam dobiera sobie wydarzenia z lat działania jego gabinetu, wybierając to, co jest mu dziś wygodne. I wreszcie Morawiecki jest niekonsekwentny w sprawie stosunku do Jarosława Kaczyńskiego. Gdy rozpoczął się rozłam w PiS, początkowo trzymał się formuły „dobry car, źli bojarzy". Sugerował, że do kryzysu nie doszłoby, gdyby nie „intryganci" (czytaj: „maślarze"), którzy mieli przedstawić Kaczyńskiemu grill 31 lipca jako moment ogłoszenia rozłamu. Jednak nie minął tydzień od rozejścia się, a Morawiecki



Wśród zaproszonych przez Mateusza Morawieckiego (drugi od prawej) uczestników konferencji w Małej Warszawie byli: Sławomir Dębski (pierwszy od lewej), gen. Rajmund Andrzejczak (drugi od lewej), Jan Rokita (pierwszy od prawej) FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Mateusz Morawiecki chce rozliczyć ekipę Donalda Tuska z tego, co udało się jej osiągnąć przez trzy lata. Temu ma służyć wizyta byłego premiera na wrocławskim Osiedlu Jagodno, gdzie były premier zamierza zapytać mieszkańców, które z obietnic lidera Koalicji Obywatelskiej zostały wypełnione

eprasa.pl 2f31385647



w wywiadach sam zaczął opowiadać o szczegółach swoich rozmów z Kaczyńskim i spychać na prezesa odpowiedzialność za najbardziej krytykowane posunięcia rządu. Nic dziwnego, że w tej sytuacji gospodarz Nowogrodzkiej zareagował ostro: „Były premier zrzuca z siebie odpowiedzialność za podejmowane decyzje na innych, często niezgodnie z prawdą [...]. Skoro tak bardzo się z nimi nie zgadzał, wypada zapytać: dlaczego nie odcinał się od tych decyzji publicznie albo nawet nie zrezygnował z funkcji premiera?". Oczywiście Kaczyński przymuszał Morawieckiego do cichej akceptacji dla rzeczy, z którymi ten się nie zgadzał, i dziś pytanie, dlaczego wtedy nie ustąpił jest czysto retoryczne. Ale wszystko to pokazuje, na jak śliską ścieżkę wchodzi syn twórcy Solidarności Walczącej, podejmując temat wyborczej ekspiacji za część decyzji z lat 2015–2023.

Nie wiadomo też, dlaczego Morawiecki, który powienien unikać przypominania o wizerunku „bankstera", uznaje za stosowne wyznawać, że mógłby sobie teraz siedzieć w Nowym Jorku albo w Londynie i zarabiać 15 mln dol. rocznie. Skąd taki brak wyobraźni?

I jeszcze jeden przykład sytuacji, w której Morawiecki wkracza na podmokłe tereny. W trakcie wspomnianej już rozmowy z Bogdanem Rymanowskim lider Rozwoju Plus zadeklarował: „Jeśli Sejm będzie głosował za przywróceniem kompromisu aborcyjnego, to ja zagłosuję za takim projektem". Jednocześnie ogłosił, że „omyłkowo" zagłosował w miniony piątek za odrzuceniem w pierwszym czytaniu wszystkich czterech projektów dotyczących przepisów aborcyjnych złożonych przez Trzecią Drogę, KO oraz Nową Lewicę i Razem. Media natychmiast wypomniały Morawieckiemu, że w kwestii aborcji zmieniał już zdanie wielokrotnie. A po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. deklarował: „Jakkolwiek wolność wyboru jest ważnym prawem, to jest ograniczona podstawowym prawem do życia, od którego zależy w ogóle to, czy wolność wyboru może być realizowana".

Morawieckiego wcześniej nikt nie wypytywał specjalnie intensywnie o kwestie obyczajowe, bo miał wizerunek „pana od ekonomii". Nawet w wypadku najważniejszych decyzji politycznych z lat istnienia jego rządu nie wałkowano go na okoliczność werdyktu TK w sprawie aborcji czy np. dylematów związanych z Ukrainą, bo milcząco uznawano, że w tych sprawach i tak zadecydował Jarosław Kaczyński. Teraz jednak będzie w tych wszystkich kwestiach dokładnie wypytywany i na dodatek rozliczany z decyzji z przeszłości. A przeciwko sobie ma zarówno partie obecnej koalicji rządowej, jak i obie Konfederacje oraz, mimo łagodzących deklaracji, swoją byłą partię, czyli PiS. A w politycznym wyścigu rywale miewają twarde łokcie.

Kolejne pytanie brzmi: Czym chce być Rozwój Plus? Na razie z bardzo mgławicowych wypowiedzi Morawieckiego i jego współtowarzyszy wynika jakaś chęć umiejscowienia się na pozycji umiarkowanej centroprawicy. Tyle że doświadczenia wielu ugrupowań od Ruchu Stu poprzez Republikanów prof. Zbigniewa Religi, Ruch Obywatelski „Polska XXI" Rafała Dutkiewicza, partię Polska Jest Najważniejsza, po próby Jarosława Gowina pokazują, że jest to zadanie niezwykle trudne. A z prawej strony już idzie zapowiedź, że Morawiecki to typowy chadek w stylu niemieckiej CDU, który prędzej czy później zaakceptuje zmiany obyczajowe, niezależnie od tego, jak bardzo deklarowałby dziś swój konserwatyzm. Morawieckiego więc ścigać będzie pytanie: Czy jest pan prawicą czy też centrum? A nastawienie do niego obozu liberalnego najlepiej symbolizuje tytuł z okładki „Gazety Wyborczej": „Nowoczesna prawica czy kolejny PiS?". Pomiędzy tymi kamieniami młyńskimi Morawiecki musi powoli przepychać się w kierunku wyborów.

Jarosław Kaczyński nieprzypadkowo wybrał na przesilenie leniwy lipiec, kiedy ludzie niespecjalnie ekscytują się polityką. Lider PiS uznał, że jeżeli rozstawać się z Morawieckim, to trzeba to zrobić odpowiednio wcześniej przed wyborami, aby „efekt świeżości" nowej partii się rozmył. Morawiecki przedstawił już kolejny punkt dojścia. Ma być nim kongres 15 października, który – jak można podejrzewać – rozliczy ekipę Tuska z tego, co udało się jej osiągnąć przez trzy lata. Temu samemu służyć ma zapowiadana przez Rozwój Plus wizyta Morawieckiego na wrocławskim Osiedlu Jagodno, gdzie były premier chce zapytać mieszkańców, które z obietnic Donalda Tuska zostały wypełnione. Pomysł zgrabny, ale wciąż niedający odpowiedzi, czy nowa partia wciśnie się pomiędzy dotychczasowych graczy. Banałem jest już twierdzenie, że o wszystkim zadecydują sondaże.

Ale, po pierwsze, słupki Rozwoju Plus drgną w górę, jeżeli polityk z Wrocławia uruchomi jakąś społeczną emocję. A po drugie, jeśli nauczy się omijać polityczne rafy. Na razie mimo wieloletniego premierowania wciąż odkrywa w polityce nowe pułapki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



Z Przemysławem Czarnkiem, prawnikiem, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości, oficjalnym kandydatem PiS na premiera

rozmawia Ryszard Gromadzki

Konieczny pokój na prawicy



FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

eprasa.pl 2f31385647

RYSZARD GROMADZKI: Czy porzekadło „Co cię nie zabije, to cię wzmocni" adekwatnie opisuje sytuację w Prawie i Sprawiedliwości po wyjściu z partii grupy parlamentarzystów, z byłym premierem Mateusz Morawieckim na czele?

PRZEMYSŁAW CZARNEK: Jeśli ktoś chce, to może do tej sytuacji tak podchodzić. Ja generalnie nie jestem zwolennikiem tego przysłowia zarówno w odniesieniu do życia codziennego, jak i publicznego. W bardzo wielu przypadkach w życiu to, co nie zabija, może poważnie okaleczyć, a co najmniej osłabić. Co do Prawa i Sprawiedliwości, mamy do czynienia z innym przypadkiem, nie ma mowy o zabiciu czy nawet okaleczeniu naszego ugrupowania. To są turbulencje, które nigdy nie są dobre dla jakiejkolwiek formacji i nigdy nie są dobre dla polskiej prawicy. Ale to już za nami – robimy swoje, mamy dobre propozycje programowe, dobrych, pracowitych parlamentarzystów, chętne do pracy struktury i walczymy o zwycięstwo.

Wyjście stowarzyszenia Morawieckiego ze struktur Prawa i Sprawiedliwości to woda na młyn dla Donalda Tuska? Dywersja na prawicy?

Mogę konsekwentnie powtórzyć to, co mówię od wielu miesięcy, a ze szczególnym naciskiem od 7 marca [7 marca 2026 r., podczas konwencji Prawa i Sprawiedliwości w Krakowie, Przemysław Czarnek został ogłoszony oficjalnym kandydatem tej partii na premiera – przyp. red.]. Jedność w PiS i pokój na prawicy to są dwa warunki konieczne do tego, żeby Tusk został odsunięty od władzy. Nie ma wątpliwości, że rozłam w PiS i odejście Mateusza Morawieckiego z grupą najbliższych współpracowników, planowane od wielu miesięcy, na pewno utrudnia przejęcie władzy od Tuska i ratowanie Polski. Z pewnością jednak tego nie uniemożliwia. Dalej będziemy ciężko pracowali, by osiągnąć nasz cel.

Mateusz Morawiecki uważany był od lat przez część konserwatywnych komentatorów za „obce ciało" na prawicy. Fronda z PiS, którą przeprowadził były premier, wydaje się potwierdzać słuszność tej diagnozy.

Chcę przypomnieć, że Mateusz Morawiecki był w Prawie i Sprawiedliwości przez kilka lat. W 2019 r. szefował rządowi PiS, kiedy poparcie dla naszej formacji w wyborach do Parlamentu Europejskiego sięgało 45 proc., więc rodzi się pytanie, czy dziennikarze, którzy kwalifikują Morawieckiego jako „ciało obce na prawicy", mówili wtedy to samo. Natomiast nie ma wątpliwości, że ostatnie miesiące, zwłaszcza okres od wyborów prezydenckich, choć symptomy było widać już wcześniej, to czas, w którym Mateusz Morawiecki zaczął wyalienowywać się z Prawa i Sprawiedliwości. Wyrażało się to w podejmowaniu inicjatyw bez konsultacji lub w kontrze do PiS i w stopniowym rozluźnianiu kontaktu z kierownictwem Prawa i Sprawiedliwości. Myślę, że Morawiecki od dłuższego czasu planował odrębną strukturę polityczną i na pewno miało to wpływ na poziom poparcia dla PiS w czasie ostatnich kilkunastu miesięcy.

Podziela pan pogląd, że bez paktu senackiego na prawicy nawet jej zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych będzie tylko pyrrusowym zwycięstwem?

Aż tak radykalny nie jestem, dlatego że da się rządzić także bez paktu senackiego na prawicy, jak w naszej drugiej kadencji w latach 2019–2023. Ale zgadzam się co do tego, że kontrola nad Senatem ma kluczowe znaczenie ze względu na jego newralgiczne usytuowanie w systemie władzy w Polsce. Ponadto stworzenie paktu senackiego to bardzo istotny warunek dla budowy w przyszłości koalicji większościowej na prawicy, także tej konstytucyjnej.

Powiedział pan wcześniej, że jednym z koniecznych warunków odsunięcia Tuska od władzy jest pokój na prawicy. Na razie na prawicy mamy wojnę wszystkich ze wszystkimi. Czy mimo to widzi pan szanse na zamrożenie tych sporów i stworzenie po wyborach prawicowej większości?

Wciąż widzę taką szansę. Zresztą pokój na prawicy dotyczy dziś szerszej grupy podmiotów politycznych, bo w wyniku rozłamu w PiS dołączyło do niej środowisko Mateusza Morawieckiego. Chciałbym ponowić raz jeszcze apel do wszystkich o wyciszenie sporów. Kieruję go szczególnie do Konfederacji, bo kiedy pan mówi o wojnie na prawicy, to zdecydowanie więcej uderzeń kierowanych jest ze strony Konfederacji w naszą stronę niż odwrotnie. To truizm, ale bez wspólnego działania tam, gdzie się da, a tam, gdzie się nie da, rozdzielnego, byle zgodnego, zwycięstwa prawicy nie będzie.

Czy pokój na prawicy oznacza obecność w pakcie senackim, a może także w przyszłej koalicji Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna? Prezes PiS kilka razy zdecydowanie wykluczył taką możliwość. A pan?

Pan prezes Kaczyński wypowiadał się w kontekście konkretnych decyzji i zachowania konkretnych osób. W tym samym kontekście mogę się wypowiedzieć również ja. Jeżeli mamy do czynienia z ludźmi, których spotkałem w Domostawie podczas niedawnych obchodów rocznicy rzezi wołyńskiej, choć zastrzegam, że dotyczy to pojedynczych osób, bo generalnie atmosfera była godna, patriotyczna, pełna życzliwości ze strony uczestników tego wydarzenia, ale jeśli były tam także osoby utożsamiające się z panem Grzegorzem Braunem, które są gośćmi moskiewskich salonów, są przyjmowane przez ministra Ławrowa i występują w telewizji Russia Today, bardzo agresywnie reagujących wobec PiS, to mamy do czynienia z ludźmi, z którymi na pewno nie da się niczego wspólnie zbudować. Jeżeli mamy do czynienia z ludźmi, którzy stoją w obronie pomników czerwonoarmistów albo negują wprost nie tylko świętość, lecz także papiestwo Jana Pawła II, to z takimi ludźmi na pewno nie zbudujemy koalicji. Natomiast mam nadzieję, że jeśli w przyszłym Sejmie znajdą się reprezentanci Korony, to będą to ludzie o innych poglądach.

Grzegorz Braun był chyba pierwszym politykiem, który już kilka lat temu przestrzegał przed ukrainizacją Polski. Dziś to zagrożenie dostrzega też pana ugrupowanie. Polakom narzuca się ordynarnie proukraińską narrację. Premier Donald Tusk i koalicja mediów grzmią, kiedy w Bielsku-Białej jakiś człowiek zwyzywał ukraińskie dzieci, ale milczą, kiedy w Bytowie trzech Ukraińców zakatowało na śmierć młodego Polaka, a ostatnio ukraiński nożownik ugodził 30-letnią kobietę we Wrocławiu.

Przez cały okres od początku pełnoskalowej wojny, którą Rosja wszczęła z Ukrainą w lutym 2022 r., pilnie obserwowałem to, co się działo w Polsce po napłynięciu do naszego kraju ponad dwumilionowej rzeszy uchodźców z Ukrainy. Oczywiście z czasem wielu z nich wróciło na Ukrainę albo wyjechało do innych państw. Śledziłem bacznie statystyki dotyczące przestępczości i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że przez cały czas, kiedy byłem w rządzie, przestępczość wśród Ukraińców przebywających w Polsce

eprasa.pl 2f31385647

utrzymywała się na niskim poziomie. Ostatnie, niezwykle brutalne wydarzenia pokazują eskalację tych napięć i rosnące zagrożenie ze strony niektórych Ukraińców. Dlatego zaproponowałem ustawę o automatycznej deportacji cudzoziemców popełniających wykroczenia oraz przepisy zaostrzające zasady przyznawania obywatelstwa. Trzeba też stawiać zdecydowany opór wszystkim antypolskim, polskojęzycznym mediom w naszym kraju, które za każdym razem z pojedynczych incydentów, oczywiście godnych pożałowania, związanych z popełnianiem przestępstw czy wyrażaniem nienawiści wobec tego czy innego Ukraińca, histerycznie to napiętnują, domagając się reakcji prezydenta, natomiast zamykają oczy i milczą, kiedy dochodzi do przestępstw ze strony Ukraińców, których ofiarami są Polacy.

Skąd bierze się to milczenie?

Mamy do czynienia z ukrainofilami w polskim rządzie, z ludźmi, którzy dodatkowo są usposobieni antypolsko, jeśli chodzi o polskie interesy narodowe. O tym przecież wiadomo od dawna. Tusk został tu „zainstalowany" przez Brukselę w 2023 r. nie po to, żeby bronić polskich interesów, ale by reprezentować obce. Ukrainofilstwo dużej części rządu to również efekt działania Tuska. Nie mam innego wytłumaczenia. Z Ukrainą musimy postępować w sposób warunkowy. Zwycięstwo Ukrainy nad rozpędzonym Putinem jest Polsce rzeczywiście potrzebne. W 2022 r. pomoc dla Ukrainy była koniecznością, bo stanęliśmy wobec śmiertelnego zagrożenia ze strony Rosji. Dziś powinniśmy nadal wspierać Ukrainę w jej wojnie z Rosją, ale tylko na zasadzie warunkowości. Nasza pomoc musi wiązać się z dzianiami ze strony Ukrainy nie tylko jeśli chodzi o kwestie historyczne, tożsamościowe i godnościowe dotyczące ludobójczo pomordowanych Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, lecz także gdy chodzi o sprawy dotyczące teraźniejszości i przyszłości, jak udział polskich firm w odbudowie Ukrainy, a przede wszystkim zagwarantowanie udziału Polski we wszystkich dyskusjach związanych z pozycją Ukrainy w przyszłości.

Czy polskie państwo zachowało się właściwie w sytuacji związanej z uderzeniem na terytorium Polski domniemanej rosyjskiej rakiety? Była to reakcja adekwatna czy kolejna kompromitacja rządu i naszych sił zbrojnych?

Zaznaczam, że moja ocena dotyczy rządzących, premiera Tuska, szefa MON Kosiniaka-Kamysza i podległych im agend. Nie chcę oceniać działań wojska i służb, bo one działają tak, jak są nadzorowane i jakie warunki stworzy rząd dla ich działania. Co do działania władzy w związku z incydentem na Lubelszczyźnie był to pokaz chaosu i braku sprawczości. Kiedy rosyjski pocisk spadł między powiatem lubelskim a biłgorajskim, byłem akurat w swoim domu pod Lublinem, więc obserwowałem te wydarzenia z bliska. Zwróćmy uwagę, że jeżeli byłoby prawdą to, co mówił Donald Tusk, a później z mównicy sejmowej Kosiniak-Kamysz, że mieliśmy pod kontrolą wtargnięcie wrogiej rakiety na terytorium Polski i byliśmy gotowi zestrzelić ten pocisk, to dlaczego alarmy włączono w Lublinie, który akurat był wolny od zagrożenia, a nie w innych miejscach? Eksperci są zgodni, że nie da się do końca przewidzieć miejsca uderzenia uzbrojonego pocisku manewrującego. To, że uderzył on 2 km od najbliższych zabudowań, to ogromne szczęście.

W polskim rządzie mamy do czynienia z ukrainofilami, z ludźmi, którzy dodatkowo są usposobieni antypolsko, jeśli chodzi o polskie interesy narodowe

Zadziałała Boża Opatrzność, ale nie polskie państwo...

Dokładnie tak. Rząd nie miał niczego pod kontrolą, bo było to niemożliwe. Nie zestrzelili rakiety, bo jak zwykle nie zadziałały właściwe procedury.

Prawdopodobnie na Lubelszczyźnie byliśmy krok od dramatu, być może o bardziej tragicznych skutkach jak w Przewodowie w listopadzie 2022 r., a mimo to premier Tusk zapowiedział, że rozważy przekazanie Ukrainie nielicznych pocisków Patriot, którymi jeszcze dysponujemy.

Ta deklaracja ociera się o zdradę, bo zakłada, że wszystkie rosyjskie pociski kierowane w stronę Polski mogą nadlecieć przez terytorium Ukrainy. A co z Białorusią i okręgiem królewieckim najeżonym Iskanderami? To narażenie Polski na całkowitą bezbronność w wypadku ataku rakietowego ze strony Rosji.

Używając formuły klasyka, wziął pan na siebie rolę „zderzaka", przyjmując nominację na kandydata na premiera ze strony kierownictwa PiS. Od 7 marca jest pan obiektem ciągłej krytyki ze strony mainstreamowych mediów wspierających rząd, pikuje pan w sondażach zaufania. Gra, w której pan bierze udział, jest tego wszystkiego warta?

Nie jestem kandydatem na prezydenta. Startuję w wyborach parlamentarnych. Jestem dzisiaj twarzą Prawa i Sprawiedliwości, jeśli chodzi o kampanię programową, i oficjalnym kandydatem PiS na urząd premiera po to, żeby kształtować narrację i obnażać prawdziwe cele obecnego rządu i doprowadzić ostatecznie do przejęcia władzy od Tuska i koalicji 13 grudnia. To jest mój cel. Jestem gotowy do tego, żeby objąć zaszczytny urząd premiera, gdy Prawo i Sprawiedliwość wygra w wyborach. Jednak trzeba pamiętać, że tu nie chodzi tylko o to – przede wszystkim liczy się zwycięstwo prawicy. Bez kluczowej roli PiS to zwycięstwo będzie niemożliwe. Nie czuję się dziś bardziej atakowany niż wtedy, kiedy byłem ministrem edukacji, natomiast jestem przygotowany na ostrą walkę. Dlatego apeluję nieustannie o pokój na prawicy. To jest prawdziwym przedmiotem moich marzeń.

Po wyjściu z PiS grupy Morawieckiego nie czuje się pan trochę jak kapitan tonącego okrętu?

Nawet kiedy patrzę na sondaże przeprowadzone przez sondażownie, które nigdy nie były przychylne PiS, które zawsze, jeszcze przed rozłamem, zaniżały nasz wynik o kilka punktów procentowych, widzę Prawo i Sprawiedliwość nadal na drugim miejscu, jako lidera opozycji, pomimo tak wielkiego politycznego trzęsienia ziemi, które się w partii dokonało. Z PiS nie jest więc tak źle, jak sugerują to prorządowe media. Czekam na kolejne sondaże, które lepiej ilustrują nastroje społeczne, i robię swoje. Mówienie o drugiej partii w Polsce, jeśli chodzi o poparcie polityczne, że tonie, jest, panie redaktorze, grubą przesadą.

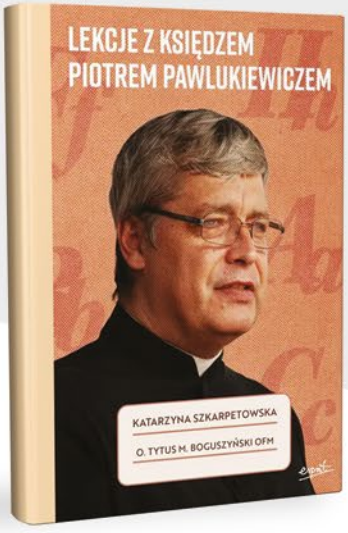
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA, O. TYTUS M. BOGUSZYŃSKI OFM: „LEKCJE Z KSIĘDZEM PIOTREM PAWLUKIEWICZEM”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~612~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 319 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2f31385647



Inwazja na Europę



Olivier Bault

Nieodpowiedzialne polityki narodowe nie są wypadkiem przy pracy w ramach paktu migracyjnego – są jego logiczną konsekwencją, a Hiszpania Pedra Sáncheza jest tego jaskrawym przykładem. Ceuta zaś – jego pierwszą ofiarą

Płynęli wpław, z dmuchanymi kółkami i plażowymi zabawkami, omijając falochron El Tarajal. Za nimi, lądem, przez bramy przejścia granicznego, napierały kolejne tysiące. W czwartek 30 lipca, w Święto Tronu – 27. rocznicę wstąpienia na tron Mohammeda VI – do hiszpańskiej Ceuty weszło z Maroka w ciągu doby ok. 50 tys. nielegalnych imigrantów według rządu w Madrycie, a nawet 60 tys. według władz miasta. Cała enklawa liczy 84 tys. mieszkańców. „To tak, jakby w ciągu 24 godzin na terytorium Hiszpanii weszły 34 mln osób" – obrazował skalę zjawiska prezydent Ceuty Juan Jesús Vivas. Morze dzień po dniu wyrzucało ciała: w sobotę mówiono o 67 utonięciach, oficjalny bilans przekroczył już 80 zaraz po weekendzie, a lokalna prasa pisała już o blisko 100 ofiarach.

Miasto ogarnął chaos. Doszło do plądrowania sklepów i supermarketów, mieszkańcy zabarykadowali się w domach, odwołano rozpoczynające się właśnie święto patronki miasta, Matki Bożej Afrykańskiej. „Ceuta jest jak w czasie pandemii: wszystko pozamykane. Oni mają wszelkie prawa człowieka, a my, obywatele hiszpańscy, straciliśmy wszystkie nasze prawa" – mówiła w telewizji Negocios TV mieszkanka centrum

eprasa.pl 2f31385647



Do hiszpańskiej Ceuty weszło z Maroka w ciągu doby ok. 50 tys. nielegalnych imigrantów według rządu w Madrycie, a nawet 60 tys. według władz miasta

FOT. ADEM MUHAMMED/ANADOLU/GETTY IMAGES

miasta. Były poseł i policjant Pablo Cambronero ujawnił, powołując się na źródła policyjne, że znaczną część przybyszów stanowią kryminaliści wcześniej wydaleni z Hiszpanii oraz przestępcy świeżo ułaskawieni przez rząd marokański. Do soboty – z powodu głodu i braku dachu nad głową – większość przybyszów zawróciła do Maroka: Madryt odtrąbił powrót ponad 48 tys. Premier Pedro Sánchez odmówił wprowadzenia stanu wyjątkowego, mimo że żądały tego jednogłośnie wszystkie partie w Zgromadzeniu Ceuty, z socjalistami włącznie.

Ośrodek przyjęć nielegalnych imigrantów CETI, przewidziany dla 512 osób, pękał w szwach już w czwartek wieczorem; przybyszów kierowano do naprędce otwieranych hal sportowych i magazynów przemysłowych przy Tarajal, a karetki kursowały bez przerwy między plażą a przepełnionym szpitalem. Część mieszkańców wykupywała bilety na prom na półwysep. „Ludzie są wszędzie, a w mieście zagościła przemoc. Przybysze nie mają nawet dostępu do toalet, więc załatwiają się na ulicach, gdzie popadnie" – relacjonował brytyjskiemu „Telegraphowi" ceucki adwokat Manuel Jurado. UNICEF przypomniał zaś, że ok. 10 tys. przybyłych małoletnich nie wolno – zgodnie z prawem – odsyłać tak jak dorosłych.

ZAPALNIK: USTAWA, WYROK I DWA LATA BEZCZYNNOŚCI

Bezpośrednim zapalnikiem kryzysu był wyrok hiszpańskiego Sądu Najwyższego ogłoszony 8 lipca. Stanowi on, że tzw. zawrócenia na gorąco (pusback), dopuszczone od 2015 r. przez ustawę o cudzoziemcach (Ley de Extranjería) wobec przekraczających „graniczne elementy powstrzymujące", nie mogą być stosowane wobec tych, którzy docierają do Ceuty i Melilli wpław, bo na morzu żadnych zapór nie ma. Wiadomość, podkręcana w marokańskich sieciach społecznościowych, zadziałała jak ogłoszenie o otwarciu granicy. Rzecz w tym, że Sąd Najwyższy jedynie potwierdził wyrok sądu w Ceucie z września 2024 r. – rząd miał prawie dwa lata, by zmienić ustawę albo – jak podpowiedział w uzasadnieniu sam Sąd Najwyższy – ustawić zapory na wodzie. Pływającą, półmetrowej wysokości barierę długości 500 m zainstalowano przy Tarajal dopiero po najeździe. Ta zwłoka jest równie niezrozumiała jak upór, z jakim Moncloa wychwala „lojalną współpracę" Maroka – ocenia „El Mundo" w komentarzu redakcyjnym, według którego Sánchez uczynił ze swej polityki migracyjnej problem ogólnoeuropejski.

WOJNA HYBRYDOWA? NIE TAKA JAK NA GRANICY WSCHODNIEJ

Czy jest to wojna hybrydowa, porównywalna do tej prowadzonej na wschodniej granicy Polski? Porównanie to wydaje się nietrafne. Łukaszenka ściągał samolotami obywateli państw trzecich i pchał ich siłą na polskie zasieki. Mohammed VI po prostu przestał pilnować własnych poddanych i pozwolił, by ich brak perspektyw w kraju doprowadził do eskalacji. Według przecieków z hiszpańskich służb cytowanych przez „El Mundo" Rabat chciał „użyć tych młodych ludzi, by przypomnieć, że to on organizuje migrację", ale sprawa wymknęła mu się spod kontroli: żandarmeria stała z założonymi rękami, ciężarówki i autobusy zwoziły młodych pod granicę, a gdy pokaz siły uznano za wystarczający, kurek migracyjny zakręcono, nie spiesząc się. Celem tych działań, według cytowanych źródeł, były m.in. ukaranie Madrytu za flirt gazowy z Algierią – Sánchez odwiedził Algier 20 lipca – oraz test reakcji, gdyż Maroko „patrzy i obserwuje, czekając na dzień, w którym zechce zadać ostateczny cios", czyli podjąć próbę przejęcia Ceuty i Melilli. Policyjne związki zawodowe odrzucają przy tym rządową teorię o mafiach przemytniczych: to była „zaaranżowana inwazja" – mówi Mila Cívico ze stowarzyszenia gwardzistów (żandarmów) Jucil – a Guardia Civil na granicy ma „związane ręce i nogi". Policjanci i dziennikarze pytają zaś, dlaczego Madryt wezwał na dywanik ambasadora Włoch – za zawieszenie Schengen – a nie ambasadora Maroka.

Mohammed VI przestał pilnować własnych poddanych i pozwolił, by brak perspektyw w ich kraju doprowadził do eskalacji

Hiszpańska opozycja nie zostawia tymczasem na rządzie suchej nitki. Lider centroprawicowej Partii Ludowej (PP), Alberto Núñez Feijóo, który dzień po Sánchezie przyjechał do Ceuty i wystąpił u boku prezydenta Ceuty Vivasa z jego partii na plaży Tarajal, nazwał rzeczy po imieniu: to nie incydent, lecz „zamierzona i bezprecedensowa okupacja hiszpańskiego terytorium", będąca świadectwem „potrójnej porażki: polityki migracyjnej, polityki bezpieczeństwa i polityki zagranicznej" rządu. Zamiast zrzucać winę na sędziów – „Sąd Najwyższy stosuje prawo, ale go nie pisze" – rząd powinien natychmiast

eprasa.pl 2f31385647

wydalić wszystkich, którzy wtargnęli do kraju, wzmocnić służby i armię, ufortyfikować granice obu hiszpańskich enklaw w Afryce Północnej – Ceutę i Melillę – jako zewnętrzne granice Unii i przyjąć pomoc europejskich partnerów. Lider konserwatywno-suwerenistycznej partii Vox, Santiago Abascal, który również przybył do Ceuty, posunął się jeszcze dalej: Sánchez, który w szczytowym momencie kryzysu znalazł czas, by wrócić do polecania piosenek w sieci, to „profil psychopatyczny", a „to, że więcej ludzi chroni Sáncheza w La Marecie [podczas jego odpoczynku na Wyspach Kanaryjskich w czasie kryzysu – przyp. O.B.], niż broni granicy w Ceucie, wiele mówi o skali zdrady tego rządu" – rządu „zdrajców i skorumpowanych". Abascal żąda trwałej militaryzacji granicy – „granice Hiszpanii to ściany naszego domu" – oraz zawieszenia preferencyjnej umowy UE z Marokiem, a decyzję Meloni o przywróceniu kontroli granicznych dla przybywających z Hiszpanii drogą morską i powietrzną broni krótko: to nie atak na Hiszpanię, lecz obrona Włoch.

SÁNCHEZ ZAPRASZA

Jak wytykają hiszpańskiemu premierowi zarówno liderzy opozycji, jak i wielu przywódców europejskich, sedno problemu tkwi jednak w polityce migracyjnej samego Sáncheza. W styczniu jego rząd przyjął dekret o „nadzwyczajnej legalizacji" pobytu nielegalnych imigrantów. Mówiono o 500–700 tys. osób; wniosków jest już jednak ok. 1,2 mln, a źródła policyjne szacują, że po dołączeniu rodzin liczba beneficjentów może sięgnąć 3 mln. Instytut Ordo Iuris ostrzegał już w marcu, w liście do 27 szefów rządów państw UE, że hiszpańska amnestia wywoła presję migracyjną w całej strefie Schengen i że narusza unijną zasadę lojalnej współpracy. Dziś to samo piszą przywódcy 22 państw Unii, z Giorgią Meloni na czele: masowe legalizacje pobytu imigrantów działają jak „czynnik przyciągający", a wyrok Sądu Najwyższego zadziałał tylko jak zapalnik, dlatego też sygnatariusze są gotowi „wzmocnić lub przywrócić tymczasowe kontrole" na granicach wewnętrznych. Włochy już zawiesiły Schengen wobec Hiszpanii, Emmanuel Macron nakazał wzmocnienie kontroli w Pirenejach, kanclerz Merz zażądał od Rabatu natychmiastowego odbioru migrantów, a fińska minister spraw wewnętrznych przypomniała, że kto nie chroni granicy zewnętrznej, „nie może być członkiem Schengen". Nawet amerykański prezydent Donald Trump orzekł, że katastrofa w Ceucie to wina „słabego prawa" i złej polityki rządu oraz że „dokładnie to samo spotka nas (Amerykanów) za trzy lata, jeśli wygrają demokraci". A Sánchez? W liście do Brukseli nazwał reakcję europejskich partnerów „egoistyczną", „polaryzującą" i „nielegalną", za to chwalił się ścisłą współpracą… Maroka. Wymowny szczegół: w ostatnich dwóch latach Hiszpania wydaliła zaledwie co siódmego Marokańczyka przyłapanego na nielegalnym przekraczaniu granicy.

Masowa legalizacja pobytu nielegalnych imigrantów stała się przy tym żyłą złota dla zorganizowanych grup przemytniczych, które sprzedają dziś usługę kompleksową: podróż do Europy plus papiery do legalizacji pobytu. Już we wrześniu 2024 r., ledwie Sánchez zapowiedział projekt legalizacji pobytu imigrantów, hiszpańska policja wykryła, że mafie w Senegalu i Mauretanii reklamują przeprawy w mediach społecznościowych hasłem: „Jeśli dotrzesz przed 2025 r., dadzą ci pracę". Po wejściu dekretu w życie w tym roku proceder rozkwitł. Według raportu komisarza generalnego do spraw cudzoziemców przemytnicy rozdają migrantom, jeszcze przed wypłynięciem, fałszywą dokumentację: setki przypływających łodziami miały przy sobie gotowe rachunki za gaz i telefon „poświadczające" pobyt w Hiszpanii, w której nigdy wcześniej nie byli. W marcu w Saragossie rozbito siatkę przemytniczą, która – licząc po 600–900 euro za fikcyjny meldunek i po 3–10 tys. euro za fikcyjną umowę o pracę – „obsłużyła" ponad 5 tys. nielegalnych imigrantów; w lipcu w Kraju Basków rozbito kolejną organizację sprzedającą pakiety po 5–10 tys. euro. Skalę zjawiska pokazują policyjne szacunki, według których 400 tys. z blisko 1,2 mln wnioskodawców nigdy w Hiszpanii nie mieszkało. Najnowszy wątek w tym przestępczym procederze opisał 2 sierpnia brytyjski „Telegraph": przemytnicy wywożą do Hiszpanii nawet chętnych z Wielkiej Brytanii – w ciężarówkach przez kanał La Manche, za tysiąc funtów plus 500 za „taksówkę" przez Francję – kusząc „stuprocentowo gwarantowaną pracą i obywatelstwem" w Hiszpanii.

FABRYKA WYBORCÓW

Kolejnym elementem tej migracyjnej inżynierii społecznej hiszpańskiej lewicy jest tzw. ley de nietos (prawo wnuków) – przepis ustawy o pamięci demokratycznej z 2022 r., przyznający obywatelstwo potomkom hiszpańskich wygnańców, rozszerzony instrukcją ministerialną na potomków wszystkich emigrantów, choć parlament takie poprawki odrzucił. Efekt: 2,6 mln wniosków, ponad 557 tys. wydanych już paszportów, odmowy poniżej 2 proc. Lider centroprawicowej opozycji Alberto Núñez Feijóo mówi o „inżynierii wyborczej" i „fabrykowaniu wyborców", Santiago Abascal z Vox o „rozdawaniu obywatelstwa, by zmienić spis wyborców" – rejestr wyborców zagranicznych urośnie do wyborów w 2027 r. o ok. 600 tys. osób, a partia socjalistyczna premiera PSOE wygrała ostatnio głosowanie wśród hiszpańskiej diaspory w czterech wyborczych regionach, podczas gdy przegrywała je w kraju. Procedowana jest wreszcie osobna ustawa, która ma dać obywatelstwo 80–130 tys. Saharyjczykom urodzonym w czasie, gdy Sahara Zachodnia była kolonią hiszpańską. Komisja sprawiedliwości przyjęła projekt 23 lipca, tydzień przed szturmem na Ceutę, a według dziennikarzy śledczych w Madrycie lawina była także karą Rabatu właśnie za tę ustawę – Maroko uważa dziś Saharyjczyków za własnych poddanych.

GRANICA BEZ OBROŃCÓW

Trzecim elementem układanki jest rozbrojenie granicy – dosłowne i w przenośni. W latach 2019–2020 rząd Sáncheza usunął z płotów granicznych Ceuty i Melilli druty żyletkowe. W dniu przejścia imigracyjnej lawiny miejscowa komendantura Guardia Civil liczyła ok. 550 funkcjonariuszy, przy brakach kadrowych szacowanych przez związkowców na 200 etatów; w policji było 120 wakatów. W pierwszej linii na Tarajal stało ok. 40 żandarmów i 15 policjantów – jeden na blisko tysiąc wdzierających się – z rozkazem: pokazujcie się, ale nie interweniujcie. Wojsko z trzytysięcznego garnizonu wyprowadzono na ulice dopiero po dziewięciu godzinach, bez uprawnień do

eprasa.pl 2f31385647

zatrzymania kogokolwiek. Według portalu The Objective wywiad ostrzegał przed prowokacją na Święto Tronu, a mimo to po wyroku Sądu Najwyższego wzmocniono Ceutę jedynie o… 30 funkcjonariuszy i jedną łódź, która szybko się zepsuła. Świeżo przysłane posiłki – ironizowali policjanci – w dużej mierze poszły zresztą na ochronę wizytujących miasto Sáncheza i ministra spraw wewnętrznych Fernanda Grande-Marlaski.

ZIELONY MARSZ 2.0

Roszczenia Rabatu wobec Ceuty i Melilli nie mają mocnych podstaw historycznych: oba miasta należą do Hiszpanii (Ceuta najpierw do Portugalii) od XV–XVI w. Tyle że Sahara Zachodnia też należała do Hiszpanii, a mimo iż 16 października 1975 r. Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości orzekł, że Maroku nie przysługuje nad nią suwerenność, ówczesny król Hassan II jeszcze tej samej nocy ogłosił jej „odzyskanie" i pchnął przez granicę 350 tys. cywilów z egzemplarzami Koranu w dłoniach, za którymi maszerowało wojsko. Hiszpania konającego Franco skapitulowała w ciągu tygodnia. Pół wieku później scenariusz Zielonego Marszu odtworzono w miniaturze wobec Ceuty: po raz pierwszy w 2021 r., gdy po przyjęciu lidera ruchu organizacji saharyjskich independentystów Polisario na leczenie w hiszpańskim szpitalu Rabat w odwecie przepuścił przez granicę 10 tys. osób. Dziś stosuje tę samą taktykę. Bliski pałacowi królewskiemu portal Le360 pisze już otwarcie, że koszt utrzymania „Sebty" (Ceuty) jest „nie do udźwignięcia dla Hiszpanii", a miasto „nie może w nieskończoność pozostawać hiszpańskim miastem wciśniętym w marokańską ziemię".

Sánchez uspokaja Brukselę, że Ceuta formalnie nie należy do strefy Schengen, więc przybysze nie zagrażają reszcie Europy. To półprawda

Najgorsze, że Rabat może czuć się bezkarny. Ceuta i Melilla nie są objęte gwarancjami NATO: art. 6 traktatu waszyngtońskiego zawęża zakres słynnego art. 5 do terytoriów w Europie i Ameryce Północnej oraz wysp na północ od zwrotnika Raka. Tymczasem Maroko od dekady wydaje na armię ok. 3,5 proc. PKB – w relacji do dochodu ponad dwa razy więcej niż Hiszpania, która jeszcze rok temu zamykała NATO-wską tabelę. Muzułmańskie królestwo kupuje amerykańskie F-16, Apache, Himarsy i Abramsy oraz utrzymuje 375 tys. czynnych żołnierzy, podczas gdy hiszpańska armia liczy ich zaledwie 122 tys. Co gorsza, Waszyngton zdaje się grać po stronie Rabatu. Komisja Izby Reprezentantów zapisała właśnie w raporcie budżetowym, że Ceuta i Melilla to miasta administrowane przez Hiszpanię, lecz położone „na terytorium marokańskim", i poparła „dialog" Rabatu z Madrytem o ich „przyszłym statusie" pod egidą sekretarza stanu Marca Rubia. Skutki tej nieustannej presji widać już w demografii: badacze od połowy ubiegłej dekady odnotowują „bardzo wyraźny odpływ rodowitych Hiszpanów" z obu enklaw – Hiszpanie opuszczają swoje domy, a w szkołach publicznych Ceuty samorząd narzucił niedawno podawanie wyłącznie mięsa halal ze względu na dużą liczbę muzułmańskich uczniów.

CZY SCHENGEN UMRZE W CEUCIE?

„Hiszpania musi pójść za naszym przykładem – jeśli chcemy, żeby strefa Schengen nadal istniała" – skomentował kryzys Donald Tusk, wskazując na polską odpowiedź na szantaż migracyjny Łukaszenki: zapora graniczna, pushbacki i zawieszenie prawa azylowego na granicy. Skoro sam Tusk stawia dziś Polskę za wzór obrony granic i nie widzi już w nielegalnych imigrantach tych „biednych ludzi, szukających miejsca na ziemi", których prawo do pozostania w Polsce wcześniej zaciekle bronił, to znaczy, że wiatr w Europie rzeczywiście się zmienił. Rok przed wyborami prezydenckimi Francja wzmacnia kontrole w Pirenejach, kolejne 22 rządy UE zapowiadają przywracanie granic wewnętrznych, a Włochy już to zrobiły. Wniosek nasuwa się sam: pogrążony w aferach korupcyjnych i programowo proimigracyjny rząd Sáncheza może przejść do historii jako grabarz strefy Schengen.

Sánchez uspokaja przy tym Brukselę, że Ceuta formalnie nie należy do strefy Schengen, więc przybysze nie zagrażają reszcie Europy. To półprawda. Na prom na półwysep trzeba wprawdzie okazać paszport, ale to sam Madryt od lat systematycznie przewozi nielegalnych imigrantów na kontynent, by w ośrodku recepcyjnym CETI robić miejsce dla następnych. Delegatka rządu w Ceucie opisała ten mechanizm wprost: każde zwolnione łóżko natychmiast zajmuje kolejny przybysz. W lutym 2023 r. rząd przyznał, w odpowiedzi na interpelację, że w CETI w Melilli pozostało… sześciu pensjonariuszy – ośrodek na bieżąco opróżniano transferami, choć ich rocznych liczb rząd odmówił ujawnić. Tylko od stycznia do połowy lutego 2026 r. wywieziono z Ceuty na półwysep 468 osób, a 29 lipca, w szczycie obecnego kryzysu, wznowiono transfery grupą 39 migrantów. Po lipcowej fali w mieście zostały zaś tysiące dorosłych, w tym wielu na ulicach (w CETI, obliczonym na 512 miejsc, przebywało ponad 1,7 tys. lokatorów) oraz setki lub może nawet tysiące nieletnich, których prawo w ogóle zabrania zawracać. Prędzej czy później większość z nich trafi na kontynent.

Nasuwa się wreszcie szersza konkluzja odnosząca się do unijnego paktu migracyjnego, który wszedł w życie w tym roku. Instytut Ordo Iuris przestrzegał w raporcie „Pakt migracyjny oraz ochrona polskiej granicy w pytaniach i odpowiedziach" (2024), że pakt „pozwala na włączenie państw prowadzących asertywną politykę graniczną, w ramach procedury solidarnościowej, we wspólną odpowiedzialność za zarządzanie masami migrantów przyjmowanych na innych granicach UE". Mechanizm „solidarności" – coroczne relokacje co najmniej 30 tys. osób lub okup w wysokości 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego migranta – rodzi pokusę nadużyć. Rząd w Madrycie może sobie pozwolić na amnestie, rozdawanie paszportów i rozbrajanie własnej granicy, bo wie, że ciężar kolejnych fal, które sam przyciąga, zostanie rozłożony na całą Unię, w tym na Polskę. Nieodpowiedzialne polityki narodowe nie są więc wypadkiem przy pracy w ramach paktu migracyjnego – są jego logiczną konsekwencją, a Hiszpania Pedra Sáncheza jest tego jaskrawym przykładem. Ceuta zaś jego pierwszą ofiarą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pracuje w Instytucie Ordo Iuris.

eprasa.pl 2f31385647

Widmo Wielkiego Innego



Berlin, 26 lipca 2026 r. Dzień wcześniej doszło do zamachu dżihadysty na uczestników parady LGBT

FOT. EBRAHIM NOROOZI/AP/EAST NEWS



Filip Memches

W Europie mamy do czynienia z inżynierią społeczną, która polega na zawstydzaniu. Oto ktoś odwołuje się głośno do Ewangelii czy „praw człowieka", ale gdy do jego domu pukają intruzi, nie wpuszcza ich. Wtedy wprawiany jest w dysonans poznawczy: komuś takiemu się wykazuje, że jego atawistyczne odruchy mają się nijak do tego, co deklaruje

Jeszcze niedawno mogło się wydawać, że elity polityczne Europy zmądrzały. Chodzi o podjęcie przez nie rewizji ich strategii migracyjnych. Słynna niemiecka Willkommenskultur bowiem zbankrutowała, a i wcześniej przecież do polityków głównego nurtu w Europie docierało już, że konflikty społeczne w niej wywołane masowym napływem ludności spoza Starego Kontynentu są faktem. Można tu przypomnieć, że w roku 2005 Nicolas Sarkozy jako minister spraw wewnętrznych Francji – a więc zanim w 2007 r. wygrał wyścig do Pałacu Elizejskiego – wziął się za śniado- i czarnolicych zadymiarzy, którzy wywołali zamieszki w jego kraju.

Ostatnie wydarzenia w Ceucie pokazały, że jednak za wcześnie ogłaszać jednoznaczny odwrót od polityki otwartych drzwi. Hiszpania pod władzą socjalistów jest tym państwem, które to potwierdza. Wdraża ona ideę inkluzywności na całego. Ze względu na kurs obrany przez rząd Pedra Sáncheza stała się ziemią obiecaną dla wielu mieszkańców Afryki. Gabinet ten bowiem wprowadził na początku br. rozwiązania ułatwiające legalizację pobytu obcokrajowcom przebywającym w Hiszpanii nielegalnie (wystarczy mieszkać w niej od co najmniej pięciu miesięcy i nie mieć zatargów z prawem). Hiszpańscy lewicowcy hołubią egzotycznych cudzoziemców, upatrując w nich swojej przyszłej klienteli politycznej. Liczą na to, że obdarowani przywilejami przybysze spoza Europy odwdzięczą się swoim darczyńcom.

A zatem kolejny raz się okazało, że rozważania nad proroczym charakterem opublikowanej w roku 1973 słynnej powieści francuskiego prozaika Jeana Raspaila „Obóz świętych" są jak najbardziej uzasadnione. Nie tak dawno przywołując ją w „Do Rzeczy" (nr 22/2026), postawiłem tezę, że jej autor, kreśląc katastroficzną wizję Zachodu zalewanego przez wynędzniałą i zarazem agresywną tłuszczę rodem z Indii, mocno przesadził. Teraz jednak nadarza się okazja, żeby raz jeszcze przemyśleć przesłanie francuskiego pisarza.

PERSWAZJA ZAMIAST PRZEMOCY

Ukazało się bowiem nowe polskie wydanie „Obozu świętych", które otwiera esej Raspaila „Big Other" („Wielki Inny"). Ów wymowny tytuł tego tekstu to oczywiście nawiązanie – ale nie expressis verbis – do istotnego wątku powieści „Rok 1984". W głośnej dystopii George'a Orwella przewija się przecież postać określana jako Big Brother (Wielki Brat). Zresztą nie do końca wiadomo, czy jest to naprawdę człowiek czy tylko wytwór propagandy totalitarnego państwa przyszłości. Tak czy inaczej, Wielki Brat stanowi uosobienie systemu, który brutalnie kontroluje życie swoich obywateli w najmniejszych szczegółach.

Tymczasem opisywany przez Raspaila Wielki Inny człowiekiem z pewnością nie jest. Można go przedstawiać alegorycznie – to duch czasów, w których francuskiemu prozaikowi przyszło żyć. Od Wielkiego Brata różni się głównie tym, że nie działa w reżimach totalitarnych, lecz w liberalnych demokracjach. Woli używać środków miękkich niż twardych – perswazji niż przemocy. W efekcie hoduje społeczeństwa, które w sposób dobrowolny moralnie i psychologicznie się rozbrajają.

W XXI w. na Zachodzie inność urosła do rangi potęgi trzęsącej polityką i kulturą. Godne afirmacji stało się bycie innym niż biały heteroseksualny samiec kieru-

eprasa.pl 2f31385647

jący się tradycyjnym zachodnim kodem kulturowym. I Wielki Inny ma swoich konkretnych pomocników – to ośrodki opiniotwórcze, które politycznie i kulturowo fetyszyzują różnorodność (ktoś może rzucić komentarz, że nie ma w tym nic złego, bo przecież „kulturowe ubogacanie" Zachodu kontrastuje z siermiężnym ujednolicaniem społeczeństw w totalitarnych państwach dawnego bloku wschodniego!). I tak progresywni intelektualiści – a tych nie brak przecież nawet na szczytach hierarchii Kościoła katolickiego – serwują przekazy dnia mające uświadomić narodom Zachodu, że ciążą na nich zobowiązania wobec migrantów spoza Europy. Ale rzecz jest też w tym, że w każdym społeczeństwie większość ma hołubić wszelkie mniejszości. Chodzi przecież o to, żeby miłować bliźniego, a właściwie Wielkiego Innego. I tak oto wykorzystuje się sumienia kształtowane zarówno przez chrześcijaństwo, jak i świecki humanizm. A inżynieria społeczna polega na zawstydzaniu. Oto ktoś odwołuje się głośno do Ewangelii czy „praw człowieka", ale gdy do jego domu pukają intruzi, nie wpuszcza ich. Wtedy wprawiany jest w dysonans poznawczy: komuś takiemu się wykazuje, że jego atawistyczne odruchy mają się nijak do tego, co deklaruje.

SPRAWDZIŁO SIĘ?

„Big Other" ukazał się w oryginale jako przedmowa do francuskiego wydania „Obozu świętych" z roku 2011. To rodzaj memento będącego właściwie testamentem zmarłego w roku 2020 autora. Raspail w swoim eseju zastanawiał się, na ile po 38 latach od opublikowania swojej powieści to, o czym w niej pisał, się sprawdziło. Intrygujący jest tu następujący fragment tekstu (przekład: Tomasz Glanz, samą zaś powieść przetłumaczył Marian Miszalski):

W nocy z 20 na 21 lutego 2001 roku niezidentyfikowany frachtowiec, wiozący tysiąc kurdyjskich migrantów, celowo osiadł na mieliźnie, wpływając z dużą prędkością na widoczną nad powierzchnią morza grupę skał, które miały połączenie z lądem stałym. Wydarzyło się to dokładnie w Boulouris, jakieś pięćdziesiąt metrów od Zameczku [to w nim na początku lat 70. powstawała powieść Raspaila – przyp. F.M.]! *Znałem ten skalisty cypel, chodziłem tam pływać w ładne dni. Był częścią mojego krajobrazu. Owszem, nie było ich milion, jak sobie wyobrażałem, pisząc moją powieść, ale jednak wylądowali u mnie, w samym sercu scenerii z „Obozu świętych", aby odegrać pierwszy akt opisanego przeze mnie dramatu! Radiowy meldunek śmigłowca żandarmerii, nadany o świcie 21 lutego, a później rozpowszechniony przez AFP, brzmiał dokładnie tak, jakby został wyjęty z pierwszych akapitów mojej książki. Prasa zauważyła tę zbieżność, która niektórym, mnie również, wydała się czymś więcej niż czystym przypadkiem…*



JEAN RASPAIL „OBÓZ ŚWIĘTYCH" DĘBOGÓRA 2026

W swoim tekście z roku 2011 Jean Raspail nawiązuje do istotnego wątku powieści George'a Orwella „Rok 1984". Przewija się w niej postać określana jako Wielki Brat

Trzeba też odnotować, że choć Wielki Inny preferuje marchewkę, to gdy zajdzie potrzeba, sięga również po kij. W społeczeństwach Zachodu wiedzą, czym są ustawy o „mowie nienawiści". Wygłaszanie publicznie krytycznych opinii na temat obcokrajowców z Afryki i Azji naraża na bycie oskarżonym o szerzenie rasizmu, a tym samym kolizję z prawem. I Raspail w „Big Other" tę kwestię porusza. Przypomina pierwszą ustawę „antydyskryminacyjną" we Francji, wprowadzoną jednomyślnie w roku 1972.

POPADANIE W SPRZECZNOŚCI

Esej francuskiego pisarza skłania do tego, żeby też zajrzeć do tekstu „Dlaczego przestałem chodzić na wybory?" Michela Onfraya. Po polsku został on opublikowany w czasopiśmie „Wszystko Co Najważniejsze" w styczniu br. Onfray to filozof, rodak Raspaila, ale w odróżnieniu od autora „Obozu świętych" nie jest konserwatystą. Odwołuje się bowiem do dziedzictwa francuskiego oświecenia. Niegdyś był kojarzony z ruchem „nowego ateizmu".

W swoim tekście Onfray przywołuje dwie słynne powieściowe dystopie XX stulecia – wspomniany już wcześniej „Rok 1984" oraz „Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya. Filozof stwierdza, że o ile w pierwszym utworze przedstawiona została dyktatura w wersji hard, o tyle w drugim jest inaczej: „[…] istnieje soma, narkotyk, który usypia czujność poddanych, dzięki czemu idą ochoczo na służbę władzy". Dalej Onfray oznajmia: „Łatwiej jest usypiać i zwodzić, niż bić i brutalizować". Można zatem powiedzieć, że Raspail w „Obozie świętych" wskazuje podobne problemy do tych, które w „Nowym wspaniałym świecie" wyeksponował Huxley (przy dzielących oba dzieła istotnych różnicach). A co do Onfraya warto zauważyć, że zachowując swoje negatywne nastawienie do religii monoteistycznych, stał się twardym francuskim suwerenistą biorącym w obronę Zjednoczenie Narodowe przed atakami nadsekwańskiego lewicowo-liberalno-chadeckiego („republikańskiego") establishmentu politycznego. W sprawie niebezpieczeństw, które niesie masowa migracja ludności z Afryki i Azji do Europy, filozof zajmuje właściwie takie samo stanowisko, które zajmował Raspail. Dziś bowiem suwerenizm jest opcją często przekraczającą podział „lewica – prawica".

Na koniec należy odnotować, że Wielki Inny nieraz popada w sprzeczności. Tak jest zwłaszcza wtedy, gdy nie dostrzega antagonizmów dzielących hołubione przez niego grupy społeczne. Musiał być zatem bardzo skonfundowany tym, co się w lipcu br. stało w Berlinie. Oto 21-letni mężczyzna wjechał furgonetką w uczestników „parady równości". Zginęła jedna osoba (skądinąd obywatelka Polski), a 29 ludzi zostało rannych. Sprawcą okazał się obywatel Niemiec, ale muzułmanin, którego rodzina wywodzi się z Libanu. Doszło zatem do aktu dżihadystowskiego terroru wymierzonego w subkulturę LGBT.

Są bowiem inności, których pogodzić się nie da. I część lewicy w Europie ma tego świadomość, czego przykładem mogą być duńscy socjaldemokraci. Będąc u władzy, zaostrzają oni przepisy migracyjne. Hiszpańscy socjaliści pod wodzą Pedra Sáncheza to jednak nie ten przypadek. Pozostają oni lojalni Wielkiemu Innemu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Made in Poland



Barbara Mróz-Gorgoń została pełnomocniczką do spraw promocji marki Polska

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Chociaż organizacja Barbary Mróz-Gorgoń chce uchodzić za nowoczesną, to nie dostrzega aktualnych trendów społecznych. Retoryka think tanku brzmi wręcz jak wyjęta z najbardziej ojkofobicznych tekstów „Gazety Wyborczej". To sporo mówi o nowo powołanej pełnomocniczce do spraw promocji marki Polska

To najwybitniejsza w Polsce specjalistka od kształtowania marki, czytelnych brandów dla firm i promocji strategicznej" – stwierdził premier Donald Tusk, informując o powołaniu Barbary Mróz-Gorgoń na funkcję pełnomocnika do spraw promocji marki Polska. Jej zadaniem ma być koordynacja działań administracji rządowej związanych „z budową, wdrażaniem i rozwojem spójnej marki narodowej". Pełnomocnik ma zapewnić bardziej efektywne wydawanie środków na cele promocji Polski na świecie. „Stworzymy jeden program, z którego wyniknie wspólna promocja marki naszego kraju. Myślimy nie tylko o tym, aby Polska stała się jeszcze bardziej atrakcyjnym kierunkiem turystycznym, lecz także o projekcie local content – zaangażowaniu przedsiębiorstw i inwestorów zagranicznych w działania realizowane w naszym kraju" – przekonywała Mróz-Gorgoń podczas wspólnego z premierem briefingu prasowego. „Jedno słowo, które trafnie opisuje to, czym jest Polska, to »cud«. Polska jest cudem, jest czymś wyjątkowym. Warto umieć nazwać to, że rozwijamy się najszybciej w Europie i że jesteśmy absolutnym fenomenem wśród wszystkich państw, które po 1989 r. przystąpiły do Unii Europejskiej. To znak rozpoznawczy Polski, który warto dobrze przedstawić" – dodała. Co oznaczają w praktyce te okrągłe zdania? Urealnienie hasła „made in" poprzez powiązanie go z konkretnymi firmami, produktami (np. daniami regionalnymi czy oryginalnymi wytworami), określeniami opisującymi charakterystyczne cechy. Przykłady? „Made in Switzerland" – precyzja, jakość, zaufanie, firmy: Rolex, Omega, Patek Philippe, Victorinox, Lindt, Nestlé. „Made in Japan" – technologia, innowacje: Toyota, Sony, Canon, Nikon, Panasonic, Seiko. „Made in Italy" – moda, design, luksus: Ferrari, Lamborghini, Gucci, Prada, Armani.

Brzmi ambitnie, ale na razie konkretów brakuje. Są za to zachwyty „środowiska". „Profesor Barbara Mróz-Gorgoń [doktor habilitiowana, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego – przyp. red.] została dziś pełnomocniczką rządu do spraw promocji marki Polska i to najlepsza wiadomość od czasów makaronu z truskawkami Igi Świątek i zbiórki Łatwoganga" – przekonuje na X Aleksandra Pędraszewska, ekspert do spraw start-upów, którą Donald Tusk powołał w skład Rady Przyszłości (ciało doradcze szefa rządu). Ekspert do spraw social mediów Wojciech Kardyś ocenia: „Polska jest 20. gospodarką na świecie, ale nie jesteśmy widoczni (w rankingach marek narodowych od lat zajmujemy 30. miejsce). Jasne, mamy pierogi, wspaniałych ludzi, tradycję oraz fenomenalnych sportowców – ALE NIE POTRAFIMY ZBUDOWAĆ WOKÓŁ TEGO NARRACJI". Przekonuje, że Barbara Mróz-Gorgoń to „ekspertka z prawdziwego zdarzenia". Z kolei prawnik i popularyzator nowych technologii, Maciej Kawecki, stwierdza, że „zna Baśkę od lat", a jej powołanie to „bardzo, bardzo dobra decyzja". „Jej główna specjalizacja naukowa obejmuje procesy budowania silnych marek. Osoba całkowicie wolna od polityki, bez żadnej przeszłości politycznej. Zawsze, odkąd znam, niezależna. Będzie koordynować działania administracji rządowej dotyczące tworzenia, wdrażania oraz rozwijania spójnej marki narodowej. Wspieram to, co robi, i uważam to za piękną decyzję. Pierwszy przypadek w historii, gdy tworzone jest

eprasa.pl 2f31385647

takie stanowisko. Polska nigdy nie była w lepszym momencie niż dziś. Nigdy do tej pory. Lepiej oceniają nas za granicą niż my sami siebie. I jeśli nie teraz, to nigdy. Gratuluję. Warto się tym dzielić i dawać Basi siłę, bo to ogromne zadanie" – napisał w serwisie X.

ZWIĄZKI Z KOALICJĄ OBYWATELSKĄ

Choć bogatego CV Barbarze Mróz-Gorgoń nie sposób odmówić (m.in. profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, profesor wizytujący na Kasetsart University w Bangkoku), to warto zweryfikować tezy o rzekomej apolityczności nowej pełnomocnik. Po jej nominacji internauci szybko wychwycili, że zdjęcie profilowe na Facebooku pochodzącej z Wrocławia Mróz-Gorgoń w lutym 2022 r., obok nakładki z flagą Ukrainy (wyraz solidarności z napadniętym przez Rosję krajem), miało też inną nakładkę, o charakterze politycznym. To czerwony piorun – symbol ruchu proaborcyjnego. Jako specjalistka do spraw marek Gorgoń z pewnością świadomie użyła tego znaku. To jednak nie koniec wątpliwości.

W 2025 r. 44-letnia dziś Barbara Mróz-Gorgoń założyła Think Tank Marka Polska, przedstawiany jako „niezależna fundacja, której celem jest budowanie i wzmacnianie wizerunku Polski jako marki narodowej". Organizacja chwali się, że działa na styku nauki, biznesu, kultury i polityki, przygotowując analizy, raporty oraz rekomendacje dotyczące promocji Polski w kraju i za granicą. Think tank ma być zaangażowany w działania pełnomocnik na polu rządowym. W radzie fundacji Marka Polska zasiada m.in. Rafał Dutkiewicz, były prezydent Wrocławia, który w 2014 r. uzyskał mandat radnego sejmiku dolnośląskiego z ramienia Platformy Obywatelskiej. Co ciekawsze, w radzie jest także Jędrzej Jachira, prawnik, konsul honorowy Chile, a prywatnie brat znanej z prowokacyjnego stylu poseł Klaudii Jachiry z klubu Koalicji Obywatelskiej. „Z największą dumą, jako Przewodniczący Rady Marka Polska, składam gratulacje prof. Barbara Mróz-Gorgoń z tytułu objęcia funkcji Pełnomocnika Rządu do spraw Marki Polskiej. Droga Basiu, nie znam bardziej kompetentnej osoby w tej dziedzinie nie tylko w naszym kraju, ale również w obszarze budowania marki narodowej, na świecie. Czeka nas bardzo dużo ciekawych wyzwań, które tak jak do tej pory podejmiemy wspólnie!" – napisał w mediach społecznościowych. Think tank nowej pełnomocnik będzie też gościć na organizowanym przez wiceprzewodniczącego KO Rafała Trzaskowskiego Campusie Polska Przyszłości. „Nasza obecność to nie tylko partnerstwo, ale przede wszystkim konkretna wartość merytoryczna. W ramach projektu EAGLES będziemy prowadzić panele dyskusyjne, warsztaty oraz rozmowy o tym, jak młode pokolenie postrzega Polskę i jak może współtworzyć jej wizerunek na świecie" – zapowiedziano na stronie think tanku.

Po nominacji Barbary Mróz-Gorgoń internauci szybko wychwycili, że jej zdjęcie profilowe na Facebooku miało wyrazistą politycznie nakładkę. To czerwony piorun – symbol ruchu proaborcyjnego

PROBLEM Z MARTYROLOGIĄ

To, w jaką stronę może pójść kreowanie „marki Polska" pod kierownictwem Mróz-Gorgoń, można wywnioskować częściowo z jednego z raportów, przygotowanych przez jej fundację. Dokument pt. „Polska marka narodowa: raport z badań percepcji i autopercepcji" został przygotowany wspólnie z Akademią Leona Koźmińskiego, przy wsparciu Ministerstwa Sportu i Turystyki. Obok wniosków pozytywnych („Polacy cenią swoją przyrodę"; „Postrzegamy się jako naród pracowity i zaradny"; „Potrafimy być solidarni i niezwykle gościnni"), które według zaleceń należy przekuć na konkretne działania promocyjne, w raporcie wskazano „negatywne cechy", od których trzeba się odciąć. Według analizy jednym z naszych kompleksów narodowych jest „syndrom martyrologii". „Polska ma GŁĘBOKIE ZAKORZENIENIE w historii sufferingu: ROZBIORY (123 lata bez niepodległości) – najbardziej bolesna część. II WOJNA ŚWIATOWA – niszczące dla ekonomii i demografii (6 mln Polaków). KOMUNIZM (45 lat bez wolności) – psychiczne skutki trwają. Te przeżycia historyczne UKSZTAŁTOWAŁY zbiorową psychikę opartą na CIERPIENIU i PRZETRWANIU, a nie na możliwościach i sukcesie" – czytamy. Według Mróz-Gorgoń skuteczne budowanie „polskiego brandu" nie może opierać się na tego rodzaju odniesieniach. Dodatkowo pełnomocnik stosuje wobec Polaków pojęcie „traumy zbiorowej". Dokonując niemalże grupowej psychoanalizy, wytyka Polakom „zatrzaśnięcie się w tożsamości ofiary". Jako symptomy wskazano „chroniczny lęk i czujność" oraz „niskie poczucie własnej wartości". Dalej w negatywny sposób podkreślono polską „obsesję na punkcie przeszłości" oraz rzekomą narrację o ciągłej walce. „Jeśli marka Polski będzie skupiać się na PRZESZŁOŚCI TRAUMATYCZNEJ, automatycznie WYZWOLI u odbiorców międzynarodowych emocje ŻALU i WSPÓŁCZUCIA (»co za kraj, co za los«), ale NIE ASPIRACJI czy PODZIWU (»chciałbym być jak ten kraj«). To będzie marka »OFIARY«, a nie marka »LIDERA« czy »INNOWATORA«" – podkreślono w raporcie.

Jako wzór do naśladowania przywołano Niemcy. „Po II wojnie światowej nie budują marki na temat Holocaustu, ale na temat »German engineering«". Trudno, żeby Niemcy budowali markę kraju w oparciu o zbrodnie, których dokonali na innym narodzie, ale podobnych nieścisłości (oraz literówek, co szczególnie oburza w kontekście wsparcia dokumentu ze środków rządowych) jest więcej. Jako kolejny pozytywny przykład podaje się w raporcie Izrael. „Pomimo konfliktów – buduje markę na innowacji technologicznej, nie przeszłości" – czytamy. Tu również pudło, ponieważ obecnie działania Izraela w Strefie Gazy krytykuje zarówno prawica, jak i skrajna lewica.

Choć organizacja Barbary Mróz-Gorgoń chce uchodzić za nowoczesną, to nie dostrzega aktualnych trendów społecznych. Retoryka think tanku brzmi wręcz jak wyjęta z najbardziej ojkofobicznych tekstów „Gazety Wyborczej". Jeżeli mowa o Polsce, to takiej, która jest promowana przez noblistów – Lecha Wałęsę i Olgę Tokarczuk – i sprowadzona do dobrego jedzenia, sukcesu Solidarności i kilku znanych sportowców. Z oceną działań pełnomocnik rządu trzeba poczekać, jednak jej dotychczasowa aktywność raczej nie napawa optymizmem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



Rafał A. Ziemkiewicz

Nic w tym zaskakującego, że wieloletnia publicystka „Gazety Wyborczej", Dominika Wielowieyska, dołączyła do kampanii dyskredytowania Krzysztofa Stanowskiego i jego internetowych mediów po tym, jak portal zero.pl ujawnił, a youtube'owy Kanał Zero skutecznie nagłośnił skandale Warszawskiego Szpitala Południowego, dewastujące dla wspieranej gorliwie przez „Wyborczą" władzy. Jednak sposób, w jaki to zrobiła, był na tyle charakterystyczny, że warto się nad sprawą pochylić



Stary strach przed nowymi mediami

Krzysztof Stanowski… nie jest dziennikarzem. Jest youtuberem, celebrytą i przedsiębiorcą. Dlaczego to jest ważne? Bo nie chodzi mi o samego Stanowskiego, tylko o istotne rozróżnienie… Media tradycyjne nadal odgrywają kluczową rolę w życiu publicznym… z założenia pracują tam dziennikarze, których praca jest weryfikowana, ponoszą osobistą odpowiedzialność za swoje informacje i komentarze, nie mogą wchodzić w konflikt interesów i nie są przybudówką żadnej partii… natomiast celebryci i influencerzy reklamują, co się da, wrzucają treści bez weryfikacji, ponoszą ograniczoną odpowiedzialność za swoje przekazy w sieci".

Te wyższościowe urojenia „prawdziwej" dziennikarki zaowocowały w sieci burzą negatywnych, kpiarskich komentarzy, w których największą uwagę przyciągnęła, jak należało się spodziewać, deklaracja „niebycia przybudówką żadnej partii", w ustach publicystki tej akurat gazety brzmiąca wyjątkowo obłudnie. Ale, można sparafrazować: nie chodzi tu o samą Wielowieyską ani nawet o jej gazetę, od 35 lat będącą polskim benchmarkiem politycznej propagandy.

Problem w tym, że atak na Stanowskiego i stworzone przez niego media doskonale wpisuje się w prowadzone przez UE próby ocenzurowania Internetu w duchu dyrektywy Digital Service Act. Mecenas Jerzy Kwaśniewski z Ordo Iuris słusznie przypomniał, że 10 lipca Komisja Europejska zakończyła kolejny etap tej procedury – proces naboru „factcheckerów", czyli cenzorów, którzy w imieniu UE wskazywać mają internetową „dezinformację" do usunięcia i obłożenia karami finansowymi. Jak należało się spodziewać, zaufaniem KE obdarzone zostały niemal wyłącznie organizacje o jednoznacznie lewicowym obliczu ideowym.

ORWELL SIĘ KŁANIA

Główny argument, stojący za „konieczności uregulowania usług cyfrowych", na którym opiera swój wywód także Wielowieyska, użyty jest tu w sposób iście orwellowski. Bez wątpienia proces demokratyczny wymaga dostępu obywateli do rzetelnej informacji. Nie ma mowy o racjonalnych decyzjach przy wyborczych urnach, jeśli społeczeństwa są na masową skalę okłamywane i poddawane emocjonalnym manipulacjom, jeśli wprawiane są w panikę i histerię zmyślonymi zagrożeniami lub wyssanymi z palca oskarżeniami. Ostatnie dziesięciolecia w UE i w Polsce pokazały dobitnie, że tak właśnie demokracja umiera i przy zachowaniu wszystkich swych cech formalnych de facto zmienia się w oligarchiczne rządy tych, którzy kontrolują medialny przekaz.

Czy jednak to szeroko pojmowane „nowe media", wytworzone przez Internet, są źródłem zagrożenia? Przeciwnie. One właśnie wytworzyły szczelinę, która postępowo-progresywnej oligarchii uniemożliwiła, także w Polsce, domknięcie systemu „hakowania umysłów".

Bez długiego namysłu podać można bardzo wiele przykładów „fejkniusów" czy też „faktów prasowych", które posłużyły do masowej manipulacji i zmiany wyborczych decyzji „demosu". Nigdy np. nie było „sześciuset tysięcy wiz sprzedanych na afrykańskich targowiskach", nie było też żadnych nieprawidłowości przy zakupie i używaniu systemu Pegasus, nie było rtęci w Odrze, śmierć „Izabeli z Pszczyny" i kilku innych ofiar błędów lekarskich lub nieszczęśliwych przypadków nie miała nic wspólnego z rządami PiS i ustawą antyaborcyjną – zresztą statystyki takich

eprasa.pl 2f31385647

zgonów wypadają w Polsce dużo lepiej niż w krajach, które dopuszczają aborcję bez ograniczeń. Opowieść o prześladowaniu „Joanny z Krakowa" oparto na łatwych do zdemaskowania kontaminacjach osoby wyraźnie zaburzonej, a na poparcie do dziś intensywnie podgrzewanej w elektoracie lewicowo-liberalnym propagandy o „aferach PiS" i „co najmniej 100 mld zł", które partia ta miała jakoby podczas swych rządów ukraść, pomimo prawie trzyletnich starań specjalnych zespołów prokuratorskich, dziesiątek przeszukań, represji i „aresztów wydobywczych" wciąż nie udało się znaleźć żadnych dowodów. Przeciwnie, pisane byle jak, tylko na użytek propagandy, wnioski o uchylanie immunitetów i nakazy aresztowania są przez sądy odrzucane, a tam, gdzie dochodzi do rozprawy, zapadają wyroki uniewinniające (tak np. niedawno cichutko zdechła gromko kiedyś otrąbiana w mediach sprawa rzekomych nadużyć polityków Zjednoczonej Prawicy w Lasach Państwowych).

SPRZEDAWCY FEJKÓW

Nie ograniczajmy się do przykładów z najnowszych wyborów – pięć wyroków sądowych zamykających sprawę Barbary Blidy, a nawet raport komisji sejmowej, mimo rozpaczliwego tachlowania w nim przez przewodniczącego Kalisza, wykazały, że w przejmującej i latami agregowanej opowieści o „zaszczutej Ślązaczce" nie było słowa prawdy. Na „fejkniusie" oparta była także medialna histeria, jakoby aresztowanie za łapówki dr. Garlickiego spowodowało „załamanie polskiej transplantologii". Całymi girlandami medialnych fejków obrosła tragedia w Smoleńsku: w istocie nie było żadnej „kłótni na lotnisku" przed startem, nie było „siadaj, zmieścisz się" ani „jak tu nie wyląduję, to on mnie zabije". Generał Błasik nie pił przed śmiercią alkoholu – wystarczy w ramach „weryfikowania pracy" jeden telefon do patologa, by dowiedzieć się, że w każdych zwłokach pewien czas po śmierci stwierdzić można „alkohol endemiczny", który powstaje w procesach rozkładu w sposób naturalny. A piloci ignorowali „pull up" systemu TAWS nie dlatego, że ktoś im kazał lądować za wszelką cenę, tylko dlatego, że wycofane z eksploatacji lotnisko Siewiernyj nie figurowało w systemie, więc TAWS nakazywałby przerwać zniżanie w każdej sytuacji i każdym wariancie lotu.

Dodajmy, że ten zalew „fejkniusów", skłaniających do nieracjonalnych decyzji wyborczych, motywowanych masowymi histeriami i lekiem przed urojonymi zagrożeniami, nie jest polską specyfiką – jest typowy dla obecnego etapu rozwoju tzw. demokracji liberalnej. Całkiem niedawno kanadyjska gazeta przyznała, że jej publikacja o rzekomym odkryciu masowych grobów indiańskich dzieci, mordowanych jakoby przed stuleciem w katolickich szkołach, była wyssana z palca. A przecież jej upowszechnienie spowodowało wiele napaści na świątynie i podpaleń, bo nasyceni przez media nienawiścią do Kościoła konsumenci mediów przyjęli ją równie bezkrytycznie, jak w Polsce podobni im konsumenci TVN, „Wyborczej" i Onetu bezkrytycznie uwierzyli w sensacje o „alfonsie", mimo ich oczywistej nielogiczności.

Wszystkie te dezinformacje i propagandowe manipulacje, jak również wiele, wiele innych, których listę można by dłużyć przez wiele stron – mają jedną wspólną cechę: żadna z nich nie wyszła od internetowych influencerów i celebrytów. Wszystkie sfabrykowane zostały przez „nadal odgrywające kluczową rolę w życiu publicznym" media tradycyjne, przez „dziennikarzy, których praca jest weryfikowana" i którzy „ponoszą osobistą odpowiedzialność" – ale bynajmniej nie za podanie nieprawdy, jak sugeruje Wielowieyska, tylko za odstępstwa od redakcyjnej „linii" (jak swego czasu wyleciał z „Wyborczej" Roman Graczyk). Anna Kanigowska, skazana prawomocnie oszustka, swoich sensacji o „wyłudzeniu kawalerki" nie upowszechniła na własnym blogu ani w mediach społecznościowych – nagłośnili je dziennikarze koncernu Ringier Springer, których pracę tak „weryfikowano", żeby wyroki dyskredytujące informatorkę zataić. Podobnie nie influencerskimi narzędziami upowszechnił swe obliczenia dowodzące rzekomego sfałszowania wyborów dr Kontek. Owszem, gdy już media tradycyjne wylansowały go na autorytet, próbował przedłużyć swoje pięć minut, ogłaszając, jak to naprawdę było z lotami na Księżyc (nie było ich, bo – jak naukowo udowodnił autorytet – USA nie dysponowały wtedy odpowiednio wydajnymi komputerami – te, które są w muzeach, podobnie jak zdjęcia i filmy z lotu, to oczywiście wszystko gigantyczna manipulacja, podobnie jak liczenie głosów w 2025 r.). Ale jako internetowy celebryta, bez wsparcia mediów, które sławi Wielowieyska, już się Kontek ze swymi sensacjami nie przebił.

W innym niezacytowanym wyżej miejscu swego apelu podważa Wielowieyska wiarygodność internetowych celebrytów, gdyż ci „sprzedają produkty". Jak wiadomo, media tradycyjne reklam nie przyjmują, a już na pewno nie od koncernów, chcących mieć dobre układy z politykami, których dane medium wspiera. Głupio kobiecie wypominać wiek i staż pracy, ale Dominika po prostu nie może nie pamiętać spółki J&S, swego czasu monopolisty w handlu paliwowym z Rosją, której zagrażające Polsce powiązania jej gazeta demaskowała, a potem z dnia na dzień od tych demaskacji odstąpiła, gdy J&S zaczęła zamieszczać u niej liczne i zapewne nienajgorzej płatne reklamy.

NARZĘDZIA PERSWAZJI

Maszyna mediów tradycyjnych, wrośniętych w symbiozę z elitami władzy i biznesu, funkcjonowała latami bez przeszkód. To nic, że prawie połowa obywateli UE opowiadała się przeciwko liberalnym nowinkom obyczajowym, to nic, że ponad połowa nie chciała wspólnej waluty i „pogłębionej" integracji. Do mediów tradycyjnych nie przeniknął żaden głos wyrażający ich poglądy, dziennikarze stali się zdyscyplinowanym narzędziem masowej perswazji i „wychowywania" społeczeństw. Aż nagle pojawił się Internet. I wzbudził w tych dziennikarzach, jak i w ich mocodawcach, oburzenie. Takie samo oburzenie, jakie musiało ogarniać przed wiekiem fabrykantów, gdy im robotnicy zaczęli się organizować w związki zawodowe, takie samo, jakim przejęte były „komisje weryfikacyjne", usuwające w stanie wojennym z dziennikarskiego zawodu odstępców, którzy w dobie Solidarności, stając po stronie reakcji i amerykańskiego imperializmu, rozsiewali „fejkniusy" – wówczas zwano je „rozpowszechnianiem fałszywych informacji o ustroju PRL" (w zagrożeniu do lat trzech bezwzględnego więzienia).

Na szczęście jedni i drudzy od dawna są już na tym samym śmietniku historii, na który zmierzają raźno lewicowo-liberalne „elity" i ich media, do końca pełne wiary, że nadal odgrywają kluczową rolę w życiu publicznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

Promocja dzięki wojnie



Audiowizualna instalacja „Powtarzajcie za mną II" kolektywu Open Group (Jurij Biłej, Pawło Kowacz, Anton Warga) w galerii Zachęcie FOT. ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI



Monika Małkowska

Systematyczne wsączanie „ukraińskości" pomiędzy młodych ludzi jest najskuteczniejszym sposobem zmiany mentalności. To, co jest eksponowane w naszych najważniejszych galeriach i muzeach, zawsze pozostaje zgodne z polityczną poprawnością. I tak goście zza Buga powoli stają się współgospodarzami w naszych przybytkach sztuki

W Zamku Ujazdowskim gorąca zbiorówka zatytułowana „Ten kot został narysowany w czasie wojny". Wśród 27 autorów niemal połowa pochodzi z Ukrainy, kuratorka, zarazem uczestniczka pokazu, Łada Nakoneczna także.

My ich nie doceniamy, przekonani o naszej przewadze, którą zawdzięczamy wielowiekowemu zadomowieniu w europejskiej historii sztuki. Kiedy tam, za Bugiem, jedyną tradycją plastyczną były ludowe hafty, pisanki, zdobnictwo dekorujące przedmioty codziennego użytku, malarstwo naiwne, ewentualnie twórczość sakralna, polscy artyści stawali w szranki z zachodnią konkurencją. I to jeszcze w okresie niebytu Polski na mapach.

Tymczasem o ukraińskich twórcach nikt nie słyszał jeszcze dekadę temu, nie mówiąc o imiennej rozpoznawalności – bo naciąganiem jest przypisywanie ukraińskiej tożsamości Kazimierzowi Malewiczowi czy Aleksandrowi Archipience, którzy, choć urodzeni w Kijowie, gdzie indziej rozwijali karierę.

To dzieje się po cichu, niezauważalne dla większości obywateli zamieszkujących kraj nad Wisłą: nasze najważniejsze narodowe instytucje sztuki przestały być tylko „nasze". W ciągu ostatnich kilku lat zadomowili się w nich nasi goście. Zarówno w gremiach kuratorskich, jak i wśród wystawiających. I już nie bardzo wiadomo, czy występują pod polską czy ukraińską banderą. Agresywna strategia polityczna prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i jego obozu, prowadząca – jak sądzą niektórzy – do przejęcia prowadzenia wśród państw Europy Środkowo-Wschodniej, ma też dyskretniejszą formę: lansowanie ich kultury na międzynarodowych forach. W ten sposób zapuszczają korzenie tam, gdzie jeszcze do niedawna nie istnieli. I my mamy ogromne zasługi we wbijaniu w powszechną świadomość wielu ukraińskich nazwisk, których międzynarodowe kariery zaczynają się nad Wisłą.

ZACZĘŁO SIĘ 20 LAT TEMU

Przez dziesiątki powojennych lat, jeszcze za PRL, dzierżyliśmy prym w kulturze wśród państw socbloku. Po roku 1989 wydawało się, że nie tylko przodujemy w dziedzinie sztuk plastycznych, jeśli chodzi o postkomunistyczne kraje, lecz także już zyskujemy światową rozpoznawalność. To akurat pozostało w strefie marzeń. Zaledwie kilkoro naszych artystów udało się wypromować na Zachodzie. Pracowała na nich cała promocyjna machina, poczynając od prywatnych kontaktów i niepublicznych galerii, za to uczestniczących w międzynarodowych targach, przez instytucje z górnej półki, jak narodowe muzea, publiczne galerie i centra, po Instytut Adama Mickiewicza. Ani wtedy, ani nigdy wcześniej, kiedy Polacy masowo emigrowali, żadna zachodnia (zwłaszcza ważna) instytucja sztuki nie otworzyła dla nas podwoi tylko dlatego, że w ojczyźnie mamy kiepsko. A my udostępniamy Ukraińcom nasze budżetowe parnasy, nie zauważając, że tym samym zabieramy miejsca, nagłośnienie oraz publiczną kasę naszym twórcom.

Człowieka sowieckiego cechują oportunizm i koniunkturalizm oraz podatność na korupcję; oczekiwanie, że „ktoś coś załatwi"; brak samodzielnego myślenia; agresja wobec słabych, uniżoność wobec silnych – tak uważał filozof Leszek Kołakowski, a wtórowali mu filozof ks. Józef Tischner i publicysta Jerzy Turowicz. Czy Ukraińcy wyzbyli się tych negatywnych

eprasa.pl 2f31385647

cech po uzyskaniu niepodległości? Skąd! Takie cuda się nie zdarzają. Przekonujemy się o tym w różnych sytuacjach i na różnych polach – ale tu zajmę się tylko sztukami wizualnymi. Pamiętam moją pierwszą (i ostatnią) wizytę w Kijowie w roku 2006, której powodem była wystawa „Terytoria", złożona z prac artystów polskich, białoruskich i ukraińskich, na różne sposoby interpretujących prawosławie. Od momentu, kiedy stanęłam na płycie lotniska Boryspol, pojawił się przy mnie „anioł stróż". Dusza chłop! Nawet nie udawał dyskrecji. Kontrolował mnie przez cały pobyt – pod pretekstem gotowości do pomocy. Nie prezentował się trendy w błękitnym tergalowym garniturze, nie mówiąc o rozeznaniu w trendach artystycznych. Rok później spotkałam mojego „anioła" w… Wenecji jako kuratora współorganizatora ukraińskiego Pawilonu Narodowego, którego nasi sąsiedzi właśnie dorobili się pod dachem Arsenału. Kto zna układy na najstarszym światowym przeglądzie sztuki, ten wie, jaki to był sukces. To miejsce, którego żaden z kuratorów, przedstawicieli mediów czy gości nie pomija, zwiedzając biennalowe wystawy. Odczuła to również Ukraina, która zadebiutowała na lagunie w roku 2001, gdzieś w przestrzeniach wynajętych na terenie miasta, jednak ta ich prezentacja i dwie kolejne przeszły bez echa.

DWIE PIECZENIE NA JEDNYM OGNIU

Najostrzejszy szturm Ukraińcy przypuścili na międzynarodową arenę sztuk wizualnych „dzięki" rosyjskiej agresji. W roku 2022 zostali zauważeni, omawiani, komplementowani. Już dwa tygodnie przed oficjalnym startem imprezy w samym pępku Giardini, w sąsiedztwie pawilonu Stanów Zjednoczonych, zaaranżowano przestrzeń zwaną Piazza Ukraina. Stały za tym ogromne pieniądze z Fundacji Wiktora Pinczuka, dzięki którym regularnie są organizowane duże prezentacje współczesnej sztuki ukraińskiej na terenie Wenecji. To był przedbieg – do oficjalnych kompetycji Ukraina przystąpiła z pokazem „This Is Ukraine: Defending Freedom". Wydarzenie otworzył prezydent Zełenski, łącząc się zdalnie z gośćmi wernisażu.

Dwa lata później to my „zasponsorowaliśmy" naród, który „za nas walczy": oddaliśmy naszą miejscówkę w Giardini. Dla przypomnienia – elegancki, modernistyczny Pawilon Pologna powstał w roku 1932 i należy do najbardziej uprzywilejowanych lokalizacyjnie. I oto w roku 2024 oddaliśmy tę wspaniałą przestrzeń w Wenecji na audiowizualną instalację „Powtarzajcie za mną II" autorstwa ukraińskiego kolektywu Open Group (Jurij Biłej, Pawło Kowacz, Anton Warga). W konsekwencji weneckiego wydarzenia wystawa powędrowała do siedmiu miejsc na świecie: Nowego Jorku, Brukseli, Finlandii, Berlina, Wrocławia, Budapesztu i Korei Południowej. A rząd Donalda Tuska upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: z jednej strony przymililiśmy się Ukrainie, z drugiej – wyeliminowany został z konkurencji projekt Ignacego Czwartosa, szykowany na weneckie kompetycje przez PiS-owski rząd. Warto dodać, że głównym komisarzem weneckiego wydarzenia był Bartłomiej Sienkiewicz, ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego, a następnie pałeczkę przejęła jego następczyni Hanna Wróblewska. Ukraińską instalację pokazano też na Open'er Festival (2024) oraz w galerii Zachęcie (2025). Intensywność lansu nie pomogła, „dzieło" nie zyskało uznania.

ODDANIE POLA

Jak to się stało, że nacja, o udziale której w zakresie współczesnej sztuki wizualnej mało kto słyszał do 2014 r., dziś stanowi konkurencję dla polskich artystów na naszym własnym terenie? Czyżby za sprawą nagłej erupcji talentów za Bugiem? Nie, wystarczy obejrzeć ukraińskie plastyczne dokonania – są estetycznie wtórne, nieudolne bądź łopatologiczne. Może się komuś wydawać, że Ukraińcy dopiero zaczęli poszukiwać własnego głosu po roku 1991. Również pomyłka. Trampoliną do „skoku" Ukrainy na międzynarodowe salony sztuki jest Polska. Stopniowe, systematyczne wyrównywanie szans ukraińskich autorów i naszych twórców to element polityki. Tej podskórnej, prowadzonej dyskretnie – ale groźniejszej w skutkach niż oficjalne ustalenia decydentów. Nobilitując dokonania autorów z Ukrainy, dajemy jej „prawo" włączenia się w krwiobieg kultury europejskiej: wydeptywania ścieżki do Unii Europejskiej. Drugą stroną tego zjawiska jest zacieranie granic polsko-ukraińskich: wasza sztuka to też nasza, wystawiamy ramię w ramię, po bratersku, bo wy „za nas walczycie".

Istotny jest też odbiór po polskiej stronie. Systematyczne wsączanie „ukraińskości" pomiędzy młodych ludzi to najskuteczniejszy sposób zmiany mentalności. To, co jest eksponowane w naszych najważniejszych galeriach i muzeach, zawsze pozostaje zgodne z polityczną poprawnością. Ogromne znaczenie ma także przekaz medialny – te wszystkie powtarzane wielekroć „nie przegap" i „must see" każą nam wierzyć w wartość twórczości naszych wschodnich sąsiadów. I tak goście zza Buga powoli stają się współgospodarzami w naszych przybytkach sztuki. Bo chodzi o to, żeby „rozpuścić" niebiesko-żółtą wkładkę w czerwono-białej materii. A lewicowe elity przyklaskują temu procesowi.

Czy dziś ktoś jeszcze pamięta symbolikę pomarańczowego koloru, który pojawił się także w naszym pejzażu na przełomie lat 2013 i 2014? Tak, chodzi o Majdan, krwawe niepodległościowe zajścia w Kijowie. Oranż znaczył wtedy sprzeciw wobec prezydenta Wiktora Janukowycza niechętnego podpisaniu umowy stowarzyszeniowej z UE (było to też nawiązanie do pomarańczowej rewolucji, która dziewięć lat wcześniej wyniosła do prezydentury Wiktora Juszczenkę). Rychło ten protest przybrał formę buntu wobec polityki wewnętrznej i korupcji, a także wobec samego oligarchy Janukowycza. Tenże „bohater" dał dyla z ojczyzny 22 lutego 2014 r., co uznano za zwycięstwo rewolucji godności. Wtedy, na fali emocjonalnego wzmożenia, zaczęto rozpowszechniać u nas narrację o polsko-ukraińskim „braterstwie". Niespełna pół roku po Majdanie krakowskie Muzeum Sztuki Współczesnej (MOCAK) gościło zbiorową wystawę kijowskich twórców „Jestem kroplą w morzu. Sztuka ukraińskiej rewolucji". Widziałam ten pokaz, relacjonowałam (dla „Rzeczpospolitej"). Niektóre obiekty robiły wrażenie z racji swego autentyzmu i gorącej temperatury, jednak wiele raziło łopatologią. To był przedsmak fali ukraińskiej sztuki, przetaczającej się przez nasz kraj od ponad czterech lat. Nacisk położono na podkreślanie korzeni. W tytułach musiało być słowo „Ukraina": „Ukraiński haft w Polsce", „Ukraina. Wzajemne spojrzenia", „Ukraiński świat Marii Prymaczenko", „Byłem Polakiem – obywatelem Ukrainy", „Arcydzieła z Ukrainy na wystawie w Zamku Królewskim", „Bastion. Artyści ukraińscy

eprasa.pl 2f31385647

o wojnie", „W oku cyklonu. Modernizm w Ukrainie". Zapamiętane? No!

Po roku 2022 Polacy nie tylko otworzyli przed Ukraińcami serca, domy i inne dobra, lecz także przyjęli na uczelnie artystyczne wielu naszych sąsiadów chętnych studiować sztuki wizualne. Zamiast oddelegowania na front młodzi ludzie poczuli w sobie twórczy potencjał. Polskie uczelnie artystyczne dały im wiele priorytetów – stypendia, darmowe miejsca do mieszkania. Nie muszę dodawać, że jakość artystycznego kształcenia w Polsce przewyższa tę za Bugiem. Ranga dyplomu także inna. To nie wszystko. Dzięki nam nierozpoznawalni przed wojną ukraińscy autorzy wpisują w CV udział w pokazach w najważniejszych w Polsce miejscach. Stołeczne Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski; łódzkie Muzeum Sztuki; krakowskie Międzynarodowe Centrum Kultury i MOCAK; białostocki Arsenał… Wymieniam tylko najbardziej znane lokalizacje, bo lista polskich publicznych galerii, gdzie pojawia się sztuka ukraińska, jest długa i rozciągnięta na cały kraj. Jednak nie tylko „osoby artystyczne" zaliczają stałą obecność w polskich świątyniach kultury. Pojawiły się tam również „osoby kuratorskie" z Ukrainy i Białorusi, w sposób zauważalny wpływając na repertuar wystawowy.

Proponuję zajrzeć do kilku naszych świątyń sztuki. Co obecnie mają w programie? W Zamku Ujazdowskim gorąca zbiorówka zatytułowana „Ten kot został narysowany w czasie wojny". Wśród 27 autorów niemal połowa pochodzi z Ukrainy, kuratorka, zarazem uczestniczka pokazu, Łada Nakoneczna także (drugą kuratorką jest szefowa centrum Anna Łazar). Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki ma w ofercie „Dojrzewanie", także zbiorówkę z liczną reprezentacją ukraińską (w opisie czytamy m.in.: „Wspólnym wątkiem […] jest doświadczenie dojrzewania w realiach współczesnego świata. Z jednej strony wojna tocząca się w bliskim sąsiedztwie i katastrofa klimatyczna wzmacniają w osobach nastoletnich przeświadczenie o braku pewnej przyszłości". Również warszawskie MSN systematycznie promuje bratnich artystów. W tym roku na 61. Biennale Sztuki w Wenecji Ukrainę w ich pawilonie i w plenerze



„Jeleń origami" Żanny Kadyrowej zawędrował aż na Biennale Sztuki w Wenecji FOT. JAN SZEWCZYK

Giardini reprezentuje Żanna Kadyrowa (projekt „Gwarancje bezpieczeństwa"). Jej asfaltowa kula została umieszczona przy wejściu do MSN, a betonowy jeleń origami, zanim dotarł do Wenecji, miał postój na wystawie w białostockiej galerii Arsenał. Wracając nad Adriatyk – wydarzeniem towarzyszącym głównym konkursom jest pokaz zatytułowany „Still Joy – From Ukraine into the World", dzieło trojga autorów, w tym często obecnego w MSN Nikity Kadana. Prezentację i jej pobyt w Palazzo Continari Polignac finansuje kijowski Pinchuk Art Centre.

ZYSKI Z PRZYJAŹNI

Teraz sypnę trochę piachem w tryby. Od wybuchu „pełnoskalowej wojny" Polacy na różne sposoby wspierali poszkodowany/zaatakowany naród. Czasem bezinteresownie, ale trzeba przypomnieć, że co bardziej kumaci wyczaili zyski z pomocy Ukraińcom. Byli tacy, którzy kalkulowali, jak ich „dobroć" będzie wyceniona. Bo okazało się, że rodacy gotowi wesprzeć uciekinierów z terenów zagrożonych rosyjską agresją mogli skorzystać z ułatwień podatkowych. Na stronie Gov.pl pojawił się taki oto zapis, dotyczący dobroczynności na rzecz uciekinierów ze Wschodu: „Zwolnione z podatku dochodowego będą […] świadczenia pieniężne od rządu dla tych podatników, którzy udzielają pomocy uchodźcom. Chodzi o osoby i firmy, które przyjmą pod swój dach uchodźców wojennych z Ukrainy i będą otrzymywać od państwa dodatkowe środki na każdego uchodźcę. Dzięki preferencji podatkowej otrzymywane świadczenia będą wolne zarówno od PIT, jak i CIT". I jeszcze taka deklaracja: „Rozporządzenie dotyczące stawki 0 proc. VAT w przypadku pomocy materialnej to ukłon w stronę tych obywateli naszego kraju, którzy nie są obojętni na potrzeby osób dotkniętych działaniami wojennymi w Ukrainie. To również sygnał, że wspieranie potrzebujących ma zawsze sens".

Po roku 2022 Polacy nie tylko otworzyli przed Ukraińcami serca, domy i inne dobra, lecz także przyjęli na uczelnie artystyczne wielu naszych sąsiadów chętnych studiować sztuki wizualne

Ten zapis miał fatalne konsekwencje – w wielu firmach związanych z kulturą zatrudniano Ukraińców, żeby zyskać wspomniane ulgi. Tak też stało się w galeriach, gdzie nie brak uchodźców na różnych stanowiskach, od wspomnianych już kuratorów po „osoby oprowadzające" w języku ukraińskim. Jak wiadomo, są już szkoły i licea z językiem ukraińskim, a także inicjatywy edukacyjne, jak Ukraińska Szkoła Sobotnia w Lublinie i w Gdyni; działają u nas naprawdę liczne ukraińskie organizacje publiczne (budżetowe) oraz organizacje pozarządowe, rozrzucone po całym kraju, których z dnia na dzień przybywa. Warto też nadmienić, że finansujemy ogólnopolski, ukraińskojęzyczny kanał Slawa TV i Polskie Radio Ukraina oraz regionalne radia i telewizje nadające programy po ukraińsku.

Już wkrótce, 24 sierpnia, po raz kolejny największe polskie miasta fetować będą Dzień Niepodległości Ukrainy. Jak wiadomo, w stolicy wydarzenie obejmą patronatem prezydent m.st. Warszawy, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz ambasada Ukrainy w Polsce. Dzień wcześniej, 23 sierpnia, celebrowany jest Dzień Ukraińskiej Flagi. Organizacją obchodów zajmie się Fundacja Stand With Ukraine, powołana przez inicjatywę obywatelską Euromaidan-Warszawa – formacja działająca od 2013 r. na rzecz współpracy i dialogu między naszymi narodami, której liderką jest Natalia Panczenko. Tylko… dlaczego Rafał Trzaskowski nie obejmuje patronatem dnia niepodległości Polski?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



FOT. TOBIASZ PAPLICZYS

Źle ma się świat



Grzegorz Kondrasiuk

Bernhard. Mało kto tyka się dziś tego autora. Może dlatego, że ciężko się czyta książki i wyłapuje teatralne sensy po Krystianie Lupie? Agnieszka Olsten i ekipa pracująca w wałbrzyskim „Szaniawskim", biorąc się do „Immanuela Kanta", nie przestraszyli się obu tych wielkości, autora i reżysera – wielkiego bernhardoznawcy. Nie są też bynajmniej pozbawieni poglądów, mają swoje obsesje, na czele z jakże częstym dziś katastrofizmem klimatycznym. Wskazuje na to jasny w wymowie pomysł scenograficzny. Wchodzimy tu do świata „po", wypełnionego szczątkami, śmieciami. Nad statkiem, który tu jest raczej byle jak skleconą tratwą, wisi rybacka sieć przepełniona plastikowymi butelkami i innymi odpadami. To pierwsza duża korekta w stosunku do dramatu, który wszak ma się dziać na luksusowym transatlantyku. A poza tym tytułową postać gra aktorka. Zapowiada się więc na nudne i przewidywalne, słusznościowe wypracowanie „na temat". Idąc do teatru, ryzykujemy dziś nader często spotkanie z takimi, pisanymi na scenie, wypracowaniami. Pozornie na temat wystawianego tekstu, a tak naprawdę odsłaniającymi wyłącznie poglądy i filtry, za pomocą których postrzegają świat twórcy przedstawienia.



FOT. TOBIASZ PAPLICZYS

U Olsten te dwa wspomniane inscenizacyjne pomysły są rzucone lekko, ot tak, pozostawione jako podtekst, podczas gdy resztę dramatu gra się tak, jak autor przykazał. Do tego dochodzi wyrafinowany, lekki ton, w który trafiają bezbłędnie wszyscy aktorzy. Grają Bernharda tak, jak chyba się grać go powinno, z powagą traktując generowany przez postaci konwersacyjny, towarzyski bełkot. Powstaje z tego dziwna zabawa w teatr buffo, z poważnym podtekstem, ujawnianym stopniowo i bez zadęcia. Taka formuła sprawia, że naprawdę zaczynamy się zastanawiać, o czym autor pisał i jak to się ma do współczesnych zagadnień. Zwłaszcza że fabuła nie należy do szczególnie zajmujących, bo u tego autora, jak wiadomo, co innego jest gwoździem programu: dialog skrzący się mikrosentencjami i nieco zgniły humor, za którym kryje się dogłębnie przemyślana diagnoza świata w kryzysie.

Tytułowa postać jest ośmieszającym się bez przerwy nieznośnym, kostycznym tetrykiem. Zabieg autorski dość czytelny: skoro to jest najważniejszy filozof naszego świata, to jaki jest ten świat? Agnieszka Kwietniewska tego bernhardowskiego, na wpół ślepego Kanta gra mocno, bezbłędnie, bez zbędnego przerysowania, nie ośmieszając go dodatkowo. Sprawia, że myśli jak sztylety ukryte pomiędzy zrzędzeniem starego idioty („Ludzkość oszalała", „Niczego się już nie boi prócz samej siebie", „Dopuściła się zdrady") wybrzmiewają z całą mocą. Nie zestarzały się te tyrady przeciwko cywilizacji cierpiącej nieuleczalnie na hipokryzję, niedającej się naprawić, działającej w myśl zasady: „Im gorzej, tym lepiej". ©℗

THOMAS BERNHARD, „IMMANUEL KANT"
TEATR DRAMATYCZNY IM. J. SZANIAWSKIEGO W WAŁBRZYCHU
REŻ. AGNIESZKA OLSTEN
SCENOGRAFIA: JÓZEF GAŁĄZKA
PREMIERA: 27 MARCA 2025 R.
POKAZ NA WARSZAWSKICH SPOTKANIACH TEATRALNYCH: 16 CZERWCA 2026 R.

eprasa.pl 2f31385647



Piotr Gociek



Kadr z filmu „Proces" w reżyserii Orsona Wellesa. W środku: Anthony Perkins w roli Józefa K.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czyj to proces?

Jeden z najsłynniejszych filmów lat 60. po raz pierwszy wchodzi do polskich kin. Niewiele w nim Franza Kafki, ale bardzo wiele Orsona Wellesa

Wedle obiegowej opinii Orson Welles był twórcą jednego filmowego arcydzieła – „Obywatela Kane'a" – a potem już do końca życia próbował dorównać legendzie, którą sam stworzył. Prawda jest inna – wśród jego kolejnych filmów znajdziemy dokonania wybitne, takie jak „Wspaniałość Andersonów" czy „Dotyk zła". A wśród tych innych wybitnych dokonań osobne miejsce zajmuje film „Proces", który po raz pierwszy trafia w Polsce do dystrybucji kinowej. W czasach PRL pokazywany był jedynie w Dyskusyjnych Klubach Filmowych i na nielicznych przeglądach. W tym przypadku mamy więc do czynienia nie z repremierą, jak zaczęto określać wprowadzenie ponowne na duże ekrany dawnych hitów, lecz po prostu z premierą.

Już po śmierci Orsona Wellesa filmowcy zafascynowani jego opus magnum kręcili na różne sposoby opowieści o największej, jak uważano, bitwie jego życia, czyli kręceniu filmu „Obywatel Kane". Tak było w filmie „Obywatel Welles" („RKO 281") czy w wyprodukowanym przez Netflixa filmie „Mank" (o scenarzyście „Kane'a" – Hermanie J. Mankiewiczu). Tymczasem sensacyjne fabuły dałoby się nakręcić o kulisach powstawania także innych filmów Wellesa. Również o kręceniu „Procesu".

KŁOPOTY FINANSOWE NA PLANIE

Zaczęło się, jak to w show-biznesie bywa, od wielkich marzeń i zerowego budżetu. Posiłkował się tu będę książką Martina Fitzgeralda „Orson Welles", w której ze szczegółami opisywał perypetie reżysera podczas pracy nad rozmaitymi projektami. Zatem tak: producenci filmowi Alexander i Michael Salkind rozmawiali z Wellesem w 1959 r. na planie filmu „Austerlitz" Abela Gance'a (to ten od przedwojennego niemego fresku filmowego „Napoleon"). Welles grał epizod, drugorzędną rolę Roberta Fultona, amerykańskiego wynalazcy. Alexander Salkind był producentem filmu. Bracia Salkindowie roztoczyli przed Wellesem wizję rozmaitych ekranizacji klasyki europejskiej, zagrali na jego próżności i zaproponowali, by sam wybrał kolejny projekt z listy wielkich powieści, którą mu przedstawili. Stanęło na „Procesie" Franza Kafki. To na tę książkę wskazał ostatecznie Welles. Co do pieniędzy – cóż, bracia Salkindowie twierdzili, że mają je mieć. Organizowanie budżetów w wysokości 1,3 mln dol. zajęło im kolejne dwa lata. Pieniądze pochodziły od tajemniczych inwestorów z Niemiec, Francji i Włoch.

Zdjęcia zaczęły się 26 marca 1962 r. w Paryżu, potem ekipa przeniosła się na trzy tygodnie do Zagrzebia w ówczesnej Jugosławii. Praca przebiegała dobrze, Welles na planie był wylewny i pełen optymizmu – być może było to wywołane faktem, że poznał na planie 21-letnią Olgę Palinkaš (potem znaną jako Oja Kodar), w której zakochał się bez pamięci. Z wzajemnością – aktorka, scenarzystka i projektantka była jego kochanką i muzą aż do śmierci reżysera w 1985 r. Z pieniędzmi na planie był jednak kłopot, m.in. brakowało taśmy filmowej. Długą, kilkuminutową scenę wizyty policjantów u Józefa K. można było nakręcić zaledwie dwa razy. Anthony Perkins grający główną rolę opowiadał potem, że mocno go takie kłopoty stresowały. Być może widać to na ekranie – jeśli tak, tym lepiej dla filmu.

Po premierze ostro krytykowano Wellesa za obsadzenie w roli Józefa K.

eprasa.pl 2f31385647

właśnie Perkinsa, aktora, który zdobył sławę jako psychopatyczny Norman Bates w „Psychozie" Alfreda Hitchcocka. W rozmowach z Barbarą Leaming, autorką biografii Wellesa, reżyser tłumaczył wybór tak: „Wszyscy wyobrażają sobie K. jako kogoś w rodzaju młodszej wersji Woody'ego Allena". Tymczasem wedle Wellesa „w książce wyraźnie zaznaczono, że to młody menedżer, który pnie się po szczeblach kariery".

Gdy zdjęcia w Zagrzebiu dobiegły końca, ekipa miała przenieść się do Pragi. W przededniu wyjazdu producent Alexander Salkind oświadczył, że wycofał się jeden z partnerów finansowych, więc funduszy na ten wyjazd nie ma. Nie były to pierwsze kłopoty finansowe na planie, skończyło się nawet na tym, że części aktorów i ekipy Orson Welles zapłacił za pracę z własnej kieszeni. John Gielgud mógł kiwać głową i powtarzać: „A nie mówiłem?". Odrzucił kilka miesięcy wcześniej propozycję zagrania Adwokata, bo obawiał się, że nikt mu nie zapłaci. Ostatecznie Adwokata zagrał sam Orson Welles, zresztą z korzyścią dla filmu.

Na razie był jednak film do ukończenia. Ekipa wróciła do Paryża, nastroje były ponure. Podczas nocnego spaceru po mieście Welles natknął się na opuszczoną stację kolejową Gare d'Orsay. Powstała w 1900 r. na Wystawę Światową, potem zamknięto ją u progu drugiej wojny światowej. Pomysł Wellesa, by wykorzystać ją jako plan „Procesu", okazał się genialny. (Dziś budynek dawnej stacji kolejowej jest siedzibą słynnego Musée d'Orsay, mekki dla wszystkich miłośników obrazów impresjonistów). Nocny Paryż podsunął też reżyserowi pomysły na inne sceny, które można było nakręcić niewielkim kosztem. Tak „Proces" ocalał i został ostatecznie nakręcony w takim kształcie, jaki wyobrażał sobie reżyser. Uważany jest, obok „Obywatela Kane'a", „Dotyku zła" i „Wspaniałości Andersonów", za dzieło najbardziej wellesowskie.

GŁÓWNA POSTAĆ – FILAR SYSTEMU

Oglądany dziś na dużym ekranie „Proces" wciąż robi ogromne wrażenie. Strona wizualna jest fascynująca i zarazem niepokojąca. Tak, znamy (zwłaszcza pamiętając „Dotyk zła") skłonność Wellesa do ekspresjonistycznych skrótów perspektywy, perfekcyjnego wykorzystania gry czerni i bieli, nietypowe położenie kamery, nieustanne poszukiwanie zaskakujących punktów widzenia. Jednocześnie ten ekspresjonizm bywa surrealistyczny, jak w scenie biurowej, gdy widzimy halę wypełnioną setkami pracowników czy gdy montaż prowadzi nas z barokowego wnętrza do minimalistycznego świata po drugiej stronie drzwi. Wnętrze mieszkania Józefa K. obroniłoby się jako lokum z czasów c.k. imperium, ale zewnętrzna galeria prowadząca do mieszkania to już modernizm lat 60. Ciągle się to wszystko miesza, nocne miasto raz jest socjalistycznym blokowiskiem, raz podmiejskim Paryżem, a kiedy indziej robi wrażenie planu kryminału noir. Lokum Adwokata przypomina scenę teatralną, zresztą pierwsze spotkanie Józefa K. z Adwokatem ma właśnie taki posmak (głównie za sprawą kreacji Orsona Wellesa, którego ekspresja i ruchy są właśnie przesadzone, teatralne).



REŻ. ORSON WELLES „PROCES" FRANCJA, WŁOCHY, RFN 1962

Józef K. u Wellesa jest człowiekiem aroganckim, chwilami bezczelnym i skłaniającym nas do nieustannego podejrzewania, że może jednak jest czemuś winien

No dobrze, a czy „Proces" broni się jako ekranizacja dzieła Franza Kafki? Tu już mamy większy problem, bo Welles dokonuje autorskiej reinterpretacji. Otwiera film montażem grafik i opowieścią narratora, który przekazuje widzowi słynną przypowieść o człowieku czekającym pod bramami prawa. W literackim oryginale opowiada ją Józefowi K. ksiądz w rozdziale IX powieści („W katedrze"). Pytanie o samą naturę sprawiedliwości, o naszą nadzieję na sprawiedliwość (fałszywą) jest tu prologiem opowieści o K., a nie finałem jego absurdalnej odysei. W filmie niewiele jest prozy Franza Kafki – mnóstwo za to tematów, do których Orson Welles powracał obsesyjnie – wspomnijmy choćby absurdalny proces z filmu „Dama z Szanghaju".

Sam reżyser wskazywał na różnicę między własnym podejściem a literackim oryginałem tak: „Kafka nienawidzi prawa. Ja nienawidzę nadużyć". Jakich nadużyć? Tu już wchodzimy w świat traum reżysera, którego cała kariera rozwijała się w cieniu bojów o „Obywatela Kane'a", sporów z hollywoodzką hierarchią władzy i pieniędzy; wreszcie w cieniu prasowej wojny (procesu?) wytoczonej reżyserowi przez magnata medialnego Williama Randolpha Hearsta. Jak bronić się przed oskarżeniami, które są z natury absurdalne? To dzieło niemożliwe. Ale konsekwencje są realne i groźne. Oto pułapka, z której wyjścia nie ma. Tu jest pełna zgodność z Kafką. Ale…

Ale Józef K. u Wellesa jest człowiekiem aroganckim, chwilami bezczelnym i skłaniającym nas do nieustannego podejrzewania, że może jednak jest czemuś winien. Jak twierdzi Martin Fitzgerald, Welles atakuje społeczeństwo/system, wykorzystując do tego figurę głównego bohatera, który dostaje to, na co zasłużył, bo sam jest tego społeczeństwa filarem, bo współtworzy system. System, który sam niszczy swoich obiecujących, rozpoczynających karierę przedstawicieli? Są w tym filmie i sceny, które przypominają sowieckie partyjne wiece (scena przed prokuratorem), jak i takie, które przywodzą na myśl niemieckie bestialstwo z czasów drugiej wojny światowej (ludzie z tabliczkami z numerami czekający przed wejściem do prokuratury wyglądają jak więźniowe obozu koncentracyjnego). A jako że mówimy o filmie czasów rozkwitu zimnej wojny, to i symboliczny grzyb nuklearnej zagłady też się tu pojawi.

Filmowiec buntownik Welles mógłby powtórzyć słowa bohatera granego przez Marlona Brando w filmie „Dziki". Gdy dziewczyna pyta go, przeciw czemu się buntuje, ten odpowiada: „A co macie?". Ta niezgoda na świat daje nam Józefa K. zupełnie odmiennego od tego z powieści. U Kafki następowała rezygnacja i poddanie się. U Wellesa K. walczy do końca. Wygrana nie jest możliwa. Można jedynie wybrać, w jaki sposób przegrywamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Stuart w podróży



★★★★★★

SEZON 1
„STUART NIE RATUJE WSZECHŚWIATA"
USA 2026

wyst. Kevin Sussman, Lauren Lapkus, Brian Posehn, dystr. HBO Max

Dla jednych cyniczne odcinanie kuponów od popularności dawnego hitu, dla drugich nostalgiczny i zabawny powrót do świata ulubionych bohaterów. Wśród krytyków przeważają ci pierwsi, wśród widzów – ci drudzy. Serial „Stuart nie ratuje Wszechświata" wskrzesza bowiem drugoplanowych bohaterów jednego z najpopularniejszych sitcomów w historii – „The Big Bang Theory" – i wysyła ich w podróż przez multiwersum.

Prym wiodą więc tym razem Stuart, pechowy właściciel sklepu z komiksami, oraz sympatyczny, wielki jak góra Bert, czyli najmilszy geolog w dziejach telewizji (w dodatku obdarzony talentami muzycznymi). Stuart, cóż... popsuł Wszechświat, niezręcznie obsługując machinę stworzoną przez Sheldona i Leonarda, a teraz skacze między alternatywnymi liniami czasowymi, aby wszystko naprawić. I aby ocalić swą ukochaną Denise.

Dostajemy więc tym razem więcej fantastyki niż humoru; ten spin-off przypomina czasem satyryczną serię „Cudotwórcy" (zwłaszcza apokaliptyczny sezon czwarty) oraz zapomnianą klasykę telewizyjnej SF z lat 90., czyli serial „Sliders", którego bohaterowie zmieniali linie czasowe równie sprawnie, jak my przesiadamy się z tramwaju na autobus. Najważniejsze zawsze w takich przypadkach są dwa pytania: „Czy chce nam się kibicować bohaterom?" oraz: „Co w alternatywnych światach jest wyolbrzymiane, znaczy wyszydzane?".

Odpowiedź na obydwa pytania jest w miarę pozytywna i znów – zależy od tego, czy widz jest/był fanem „The Big Bang Theory" (u nas wyświetlanej jako „Teoria wielkiego podrywu"). Obiektywnie rzecz biorąc, kolejne fantastyczne światy są mało oryginalne i miłośnicy fantastyki niczego nowego dla siebie nie znajdą. Ale jednocześnie Stuart, Denise, Bert i dodatkowo sepleniący Barry Kripke to ekipa, którą oglądamy z uśmiechem, a frajdę zwiększają jeszcze liczne występy gościnne bohaterów znanych z oryginalnego sitcomu. W pierwszym epizodzie pojawia się więc Raj Koothrappali jako szalony więzień dyktatury Kripkego; w drugim Penny rozbija szczęki jako liderka ruchu oporu wobec dyktatury sztucznej inteligencji itd. Bawiłem się dobrze, ale gwarancji na takie same wrażenia u innych nie wystawię – ten serial to jednak po prostu ekstrawagancki fan service. ©℗

GRA TYGODNIA: „THE ELDER SCROLLS IV: OBLIVION REMASTERED"

Dla graczy, u których siwych włosów na głowie nie da się już policzyć na palcach jednej ręki albo których wszystkie włosy da się policzyć na palcach obu rąk, nastały piękne czasy. Można się zżymać, że moda na wszelkiej maści remastery i rimejki świadczy o słabej kondycji branży, no ale dzięki temu dostajemy prawdziwe perełki w nowych szatach. Kolejną jest „The Elder Scrolls IV: Oblivion Remastered", który na „duże" konsole trafił przed rokiem, a właśnie ląduje na Nintendo Switch 2. Doskonały towarzysz w dalekiej podróży. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

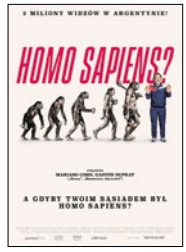
Radosław Wojtas

- ***Gatunek:** jRPG, TPP*
- ***Platforma:** NS2, PS5, XSX, PC*
- ***Producent, wydawca:** Virtuos, Bethesda*

eprasa.pl 2f31385647

KINO

Szesnaście mgnień Argentyny



★★★☆☆☆

REŻ. MARIANO COHN, GASTÓN DUPRAT
„HOMO SAPIENS?" („HOMO ARGENTUM")
ARGENTYNA 2025

wyst. Guillermo Francella, Clara Kovacic, Eva de Dominici

Na tychże łamach zdemaskowano Christophera Nolana jako mizantropa. Co w takim razie powiedzieć o duecie Mariano Cohn/Gastón Duprat? Na język cisną się takie określenia jak „skrajna ojkofobia" i „pedagogika wstydu". Ich film niewątpliwie jest zabawny, lecz gra na jednej tylko, szyderczej nucie. Panowie żyją i tworzą w Buenos Aires, może widzą więcej. Patrząc z naszej perspektywy, Argentyńczycy po prostu lubią mocne wrażenia. Najpierw wielbili Perona i jego żony, potem próbowali rzucić na kolana Wielką Brytanię, a ostatnio popadli w taką desperację, że powierzyli swą przyszłość anarchokapitaliście z piłą łańcuchową.

Czasy, gdy ojczyzna tanga była celem emigrantów, minęły. Dziś młodzi marzą, by z niej uciec, a jeśli są patriotami, to kochający rodzice i tak kupią im bilet do Europy (w jedną stronę). Cohna i Duprata polityka nie kręci. Owszem, w jednym z epizodów ostrzą sobie dowcip na prezydencie elekcie, lecz najcięższe armaty wytaczają przeciwko społeczeństwu. Jeśli im wierzyć, prawie każdy Argentyńczyk ma dwie twarze. Pierwsza to maska. Pod nią skrywa się oblicze kłamcy, tchórza, sępa, zawistnika, pyszałka lub hipokryty. Człowiek ze społecznych nizin już na tych nizinach zostanie. Może co najwyżej liczyć na kaprys króla kryptowalut lub litość nimfomanki.

Zaraz na wstępie z ekranu pada diagnoza: „Jesteśmy beznadziejni". Z wyjątkiem piłki kopanej, ale ten Messi nie jest jednym z nas. Na obczyźnie całkiem się zhiszpańszczył. Jadowite ostrze satyry nikogo nie oszczędza, nawet księdza prowadzącego darmową jadłodajnię Szczęśliwe Brzuchy. Cohn i Duprat kalają też własne gniazdo, epatując chamem reżyserem z gębą pełną humanistycznych frazesów. W finale panowie trochę spuścili z tonu, przyznając, że inne narody mogą być równie zepsute. Jak na mój gust z tych smolistych opowiastek bronią się tylko niektóre (np. historyjka o szantażu w windzie i nawiązująca do „Sukcesji" intryga rodzinna). Bezapelacyjnym zwycięzcą jest natomiast odtwórca 16 ról, Guillermo Francella. Do rekordu Guinnessa daleko, ale robi wrażenie. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

DAMA Z...

arte

Symbol Jezusa, niewinności, męstwa, Szkocji i ruchu LGBTQ+. Rycerski herb i kiczowata zabawka. Jego rogu, po sproszkowaniu, używano w charakterze odtrutki tudzież leku na wszystkie choroby. Imponująca kariera, jak na zwierzę którego nikt nie widział na oczy. Jednorożec, powołany do istnienia siłą wyobraźni, był tak płochliwy, że okiełznać mogła go tylko dziewica. Zanim stał się podobny do konia, przypominał kozę lub jelenia. Wiedzę o nim czerpano z dzieł antycznych autorów (takich jak Arystoteles i Pliniusz Starszy) oraz z Biblii. Tłumacze paskudnie się pomylili, bo naprawdę chodziło o tura. Ślady, pozostawione przez jednorożca w kulturze i historii tropiły w tym roku wystawy w Poczdamie i paryskim Hôtel de Cluny. Na co dzień kuzynów mitycznego stworzenia można obejrzeć w ogrodach zoologicznych. To narwale. ©℗



★★★★☆☆

REŻ. MATHIAS FRICK
„JEDNOROŻEC. MITYCZNE ARCYDZIEŁO"
NIEMCY 2025



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Piękno średniowiecza



FOT. KAJA OSSOWSKA

GDZIE? ***Wrocław, Pawilon Czterech Kopuł***
KIEDY? ***Do 30 grudnia***

Wystawa „Stulecie. W rocznicę wielkiej wystawy śląskiej sztuki średniowiecznej" wraca do wydarzenia z 1926 r., kiedy kuratorzy Heinz Braune i Erich Wiese zaprezentowali w tych samych murach ekspozycję rzeźby i malarstwa doby średniowiecza.

Na wystawie zgromadzono kilkadziesiąt obiektów. Wśród nich znajdują się zarówno dzieła prezentowane podczas ekspozycji przed stu laty, jak i zabytki, które w 1926 r. z różnych przyczyn wycofano lub które na nią nie dotarły (jak m.in. restaurowana „Chusta św. Weroniki"). Obiekty pochodzą ze zbiorów własnych wrocławskiego muzeum, a także z wypożyczeń z Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu oraz bezpośrednio z wnętrz sakralnych – w tym z bazyliki w Nysie i kościoła w Oleśnicy. Znaczna część gotyckich rzeźb i obrazów ołtarzowych przeszła przed wrocławską prezentacją kompleksowe prace konserwatorskie.

Ekspozycja przybliża również historię identyfikacji średniowiecznych mistrzów. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Płaszcz Leonarda Cohena

To, że nie było takiej książki o Leonardzie Cohenie jak „Świadek upadku aniołów" Christophe'a Lebolda, to jeszcze nic takiego. Ale powiem więcej, że nie przypominam sobie biografii innych, nawet sławniejszych od autora „I'm Your Man" artystów, z Bobem Dylanem włącznie, prawdziwych ikon światowej popkultury, które by tak jak ta weszły w ich życie wewnętrzne, sięgnęły do ich najbardziej skrytych emocji, refleksji, zwątpień i uniesień. Fakty są tu oczywiście ważne, ale nie najważniejsze. Po części dlatego, że zmarły 10 lat temu bard, poeta i pisarz był postacią wyjątkową, ale przede wszystkim miał on szczęście trafić na jeszcze bardziej wyjątkowego interlokutora. Tak, na rozmówcę, bo w gruncie rzeczy Lebold toczy ze swoim bałwochwalczo wręcz uwielbianym twórcą niekończący się dialog.

„Już w okresie pierwszych sukcesów w Kanadzie – czytamy w tej znakomicie przełożonej przez Filipa Łobodzińskiego książce – poeta wykreował intrygującą postać publiczną, na poły melancholijnego Don Juana, na poły Żyda tułacza, a do tego prowokatora".

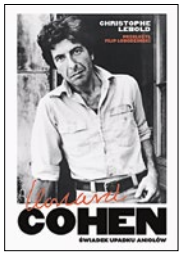
Rodzinę swoją Cohen tak charakteryzował: „Jesteśmy wiktoriańskimi dżentelmenami wyznania mojżeszowego". Tyle że w tej rodzinie – rzec można, lokalnych Rockefellerów – ojciec artysty, Nathan, popełnił mezalians, żeniąc się z 16 lat od siebie młodszą, przybyłą z Wołkowyska pielęgniarką. Była córką rabina Solomona Klonickiego-Kline'a, dyrektora jesziwy kowieńskiej, całym sobą osadzonego w świecie aszkenazyjskich sztetli. A uchodzący za buntownika Leonard Cohen nigdy – jak pisze Christophe Lebold – „nie buntował się przeciwko tradycji, bo nigdy żadnej tradycji mu nie narzucono. Dlatego przez większość życia w każdy piątkowy wieczór zapalał świeczki w menorze (chyba że akurat tego nie zrobił), odmawiał modlitwy (chyba że zapomniał) i przestrzegał dnia szabasu (chyba że postanowił popracować). Czynił tak w stroju bitnika, jako ortodoksyjny Żyd, jako mnich zen czy jako gwiazda rocka, i zawsze chętnie sprawdzał, czy świece szabasowe płoną z należytym blaskiem w różnych miejscach – w Grecji, w Paryżu, w Los Angeles bądź w klasztorze buddyjskim w górach. Już w 1961 r. zapowiadał swoje liczne apostazje:

Dla ciebie będę Żydem apostatą,
doniosę hiszpańskiej inkwizycji
o ślubach krwi z Talmudu
i gdzie ukryto kości dziecka.

Nie znam drugiego artysty, tak bardzo zafascynowanego kobiecością. Niezależnie od mistycyzmu, „w pociągu, który Cohen odczuwał wobec kobiet, było też coś neurotycznego, potrzeba zdobycia wszystkich, co przez większą część dorosłego życia czyniło zeń już to kogoś na kształt Lotharia, już to poetę miłości i platonicznego wyznawcę, już to wreszcie cynicznego łowcę spódniczek". W każdym razie bardzo długo usilnie starał się, by zostać wielkim kochankiem. Był ambitny, może więc największym z wielkich. Wyciągnął też wszystkie możliwe wnioski z jednej z narzuconych sobie reguł: nigdy nie opieraj się kobietom. No przecież.

Powiadał, że zaczął grać na gitarze i śpiewać piosenki swoim charakterystycznym barytonem tylko dlatego, że z pisania trudno mu było wyżyć. To akurat bajka, bo całkiem nieźle dawał sobie radę. Na przykład w 1959 r. od Rady Sztuki Kanady dostał grant w wysokości 4 tys. dol. (dziś byłoby to dziewięć razy tyle) i prawo do bezpłatnego podróżowania kanadyjskimi liniami lotniczymi, zamierzał bowiem – jak twierdził – odwiedzić wielkie stolice starożytności: Rzym, Ateny i Jerozolimę. I dlatego pewnie poleciał do… Londynu. A tam nabył nie tylko swoją sławną maszynę do pisania, lecz także jeszcze sławniejszy niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. „Widzimy go, gdy w 1965 r. okrywa poetę przed montrealskim śniegiem z deszczem (»Ladies and Gentlemen… Mr Leonard Cohen«), a sześć lat później wypływa w »Famous Blue Raincoat« (1971), być może najsmutniejszej balladzie pod słońcem. Korzyść uboczna z bycia wielkim poetą: można unieśmiertelnić własną garderobę. Oscar Wilde byłby dumny".

Francuskiemu interpretatorowi twórczości Cohena zdarzało się jednak popełniać błędy, dobrze, że skorygowane przez polskiego tłumacza. Podobnie jak Filip Łobodziński też byłem na pamiętnym koncercie twórcy „Partyzanta" w marcu 1985 r. w warszawskiej Sali Kongresowej i tak jak pamiętam jego słowa: „Jestem wdzięczny Rosjanom za zbudowanie dla mnie tej sali", tak ewentualne zaproszenie przez barda na scenę Lecha Wałęsy jest wytworem fantazji. Co nie zmienia faktu, że atmosfera na koncercie była tak naładowana elektrycznością, że zdawało się, iż wystarczy iskra, by wzniecić rewolucję społeczną. Lebold wolał jednak pisać o „kraju, gdzie dokonano Holokaustu" i o „potrzebie posiadania lewej i prawej nogi". Zgodnie z faktami zwrócił natomiast uwagę na inny problem znamienny dla tamtych lat: „[…] zespołowi zapłacono w złotówkach, a więc walucie, której nie dało się ani wymienić, ani wywieźć. Ale zapewne wystarczyło na opłacenie rachunku w barze". ©℗



★★★★★★

CHRISTOPHE LEBOLD „LEONARD COHEN. ŚWIADEK UPADKU ANIOŁÓW" ZNAK LITERANOVA, KRAKÓW

eprasa.pl 2f31385647



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

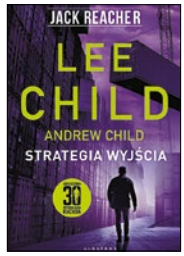
Inny Reacher

Mówił mi kiedyś w wywiadzie Lee Child („Do Rzeczy" nr 19/2018), że największy kłopot w pisaniu powieści o Jacku Reacherze to wymyślenie wiarygodnego powodu, dla którego wplątuje się w kabałę: Co sprawia, że wędrujący przez Amerykę nomad angażuje się akurat w taką, a nie inną kryminalną sprawę? W powieści „Strategia wyjścia" potrzebne są do tego aż dwa przypadki naraz i od początku fabuła wydaje się naciągnięta jak stringi na słoniu.

Od 2020 r., czyli od powieści „Strażnik", nowe książki serii ukazują się podpisane przez duet Lee Child – Andrew Child, ale tak naprawdę pisze je ten ostatni, bo Lee udał się na zasłużoną emeryturę. Umila ją sobie współpracą z Amazonem nad serialową adaptacją przygód Reachera oraz nagrywaniem pogadanek o pisarstwie dla BBC. Spadek jakości jest widoczny i znaczny, a „Strategia wyjścia" doskonale pokazuje, w czym tkwi problem. Otóż chodzi nie tylko o to, że fabuła jest naciągana, a finał zdecydowanie pospieszny i mało satysfakcjonujący. Otóż zmienił się sam Reacher, a właściwie funkcja, którą pełni w opowieściach.

Jack Reacher – od samego początku wymyślony trochę jako jeździec znikąd, a trochę jako skrzyżowanie Sherlocka Holmesa i Robin Hooda – zawsze był siłą natury. Większy od innych, silniejszy, mądrzejszy (lata służby jako śledczy w Żandarmerii Wojskowej), dostrzegający więcej, bo nie przesłaniają mu oczu sprawy tak błahe, jak dom, praca i codzienne obowiązki. Reacher jest wędrownym badaczem natury ludzkiej, ale gdy ruszy do akcji, jest niczym huragan: nie do powstrzymania. Jest bożym gniewem w ludzkiej postaci, ale idzie o Boga starotestamentowego. Zło zostaje ukarane w sposób najprostszy: Krzywdziłeś? Zostaniesz skrzywdzony. Zabijałeś? Zostaniesz zabity.

W „Strategii wyjścia" niby wszystko się zgadza, lecz przez większość książki Reacher jest statystą. Wpisano mu w biografię niechęć do nowoczesnych technologii, ale świat idzie naprzód i oto ulubiony bohater thrillerów XXI w. byłyby bezradny, gdyby nie pomoc osobników doskonale obeznanych z sekretami netu, komórek i fachowego oprogramowania. To zaś zmienia go z mózgu śledztwa w gościa od fizycznej roboty, który czeka cierpliwie, aż będzie mógł złamać komuś nogę albo wyrwać ze ściany kabel. Nie takiego Reachera pokochaliśmy i podziwialiśmy. Zamiast więc czekać na nowe książki, lepiej czekać na ekranizacje starych. ©℗,



★★★☆☆☆

LEE CHILD, ANDREW CHILD „STRATEGIA WYJŚCIA" ALBATROS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak mówi popularny banał, wspinamy się na góry, gdyż one są. Prawda jest bardziej złożona i w swoim eseju autor rozkłada ją na części: czego innego szukali badacze, czego innego poeci, a czego innego nałogowi ryzykanci.



ROBERT MACFARLANE „GÓRY. STAN UMYSŁU" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Wybór bohaterek dość arbitralny, ale też różne są to oblicza zdrady: Zofia O'Bretenny donosiła SB na własnego męża, Pawła Jasienicę; Wanda Wasilewska czy Zofia Dzierżyńska wyrzekły się polskości, sławiąc Sowiety.



SŁAWOMIR KOPER „POLSKIE ZDRAJCZYNIE" FRONDA

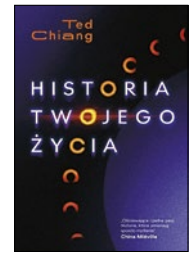
Druga powieść z nowego cyklu kryminałów retro, których bohaterem jest Herbert Anwaldt. Poznaliśmy go w książce „Głos z piekła", wcześniej przewinął się jako drugoplanowa postać w powieści „Śmierć w Breslau".



MAREK KRAJEWSKI „DROGA KRWI" ZNAK

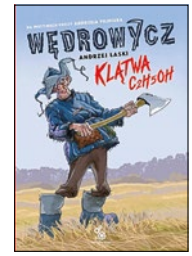
Fantastyka dla wymagających: zbiór opowiadań jednego z najważniejszych współczesnych twórców SF (cztery nagrody Hugo i cztery Nebule). Tytułowe opowiadanie było podstawą filmu Denisa Villeneuve'a „Nowy początek".

recenzuje Piotr Gociek



TED CHIANG „HISTORIA TWOJEGO ŻYCIA" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
Ilustrator prozy Andrzeja Pilipiuka tym razem występuje także jako scenarzysta, tworząc adaptację rysunkową przygód egzorcysty bimbrownika. Dobra wiadomość dla fanów, którzy tęsknią za najsłynniejszym bohaterem Pilipiuka, ostatnio dostając jednak głównie tomy opowiadań „bezjakubowych".



ANDRZEJ ŁASKI „WĘDROWYCZ. KLĄTWA C2H5OH" FABRYKA SŁÓW 2026

A wydawnictwo zapowiada kolejne komiksy według tekstów swoich znanych autorów.

Piotr Gociek

eprasa.pl 2f31385647



Z dr. Leszkiem Sykulskim, politologiem, prezesem Polskiego Towarzystwa Geostrategicznego, autorem książek „Geopolityka świata wielobiegunowego" oraz „Doktryny równowagi suwerennej"

rozmawia Tomasz Cukiernik

Koniec świata jednobiegunowego

eprasa.pl 2f31385647



FOT. ADOBE STOCK. ZDJĘCIE WYGENEROWANE PRZEZ SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ

TOMASZ CUKIERNIK: W swojej najnowszej książce „Geopolityka świata wielobiegunowego" stawia pan tezę, że świat jednobiegunowy z amerykańskim hegemonem się skończył. Tymczasem jeden z byłych posłów napisał w mediach społecznościowych, że utrata jednobiegunowości to bzdura, bo Szwecja i Finlandia w NATO, Wenezuela jako prorosyjska dekapitowana, Syria – bazy i Baszar al-Asad w Moskwie, a centralna Azja łączy się z USA. Co pan na to?

DR LESZEK SYKULSKI: To jest klasyczny błąd pomylenia poziomów analizy. Kenneth Waltz, jeden z głównych przedstawicieli amerykańskiego realizmu, uczył, żeby odróżniać strukturę systemu międzynarodowego od pojedynczych zdarzeń. Jednobiegunowość nie oznacza, że dotychczasowy hegemon wygrywa wszystkie poszczególne rozdania. Oznacza, że nikt nie jest w stanie prowadzić wobec niego samodzielnej gry o reguły. Taki układ skończył się na naszych oczach i nie jest to teza żadnej „wrogiej propagandy", tylko wynika to jasno z amerykańskich dokumentów strategicznych. Narodowa Strategia Bezpieczeństwa z 2025 r. i Narodowa Strategia Obrony z 2026 r. wprost zrywają z traktowaniem globalnej dominacji jako fundamentalnego interesu narodowego USA i koncepcji równowagi sił. Waszyngton sam opisuje świat jako asymetrycznie multipolarny, z uprzywilejowaną, ale nie hegemoniczną pozycją USA i Chin. W nowej hierarchii regionów półkula zachodnia awansowała na pierwsze miejsce, Indo-Pacyfik jest drugi, a Europa spadła na trzecie. Kto twierdzi, że utrata jednobiegunowości to bzdura, ten polemizuje nie ze mną, tylko z Pentagonem.

A przykłady, które pan podał, w rzeczywistości potwierdzają moją tezę. Akcesja Szwecji i Finlandii to konsolidacja bieguna zachodniego na własnej flance. To typowe zachowanie bloku w warunkach rywalizacji wielobiegunowej, a nie dowód, że jeden ośrodek dyktuje reguły całemu systemowi międzynarodowemu. Helsinki zapłaciły za członkostwo utratą elastyczności w polityce wschodniej, którą przez dekady umiały wykorzystywać. Upadek al-Asada to porażka Moskwy, ale beneficjentem nie jest Waszyngton, tylko Ankara i aktorzy regionalni. Próżnię po słabnącym mocarstwie wypełnia mocarstwo regionalne. To podręcznikowa dynamika świata posthegemonicznego. Stany Zjednoczone porządkują własną półkulę zgodnie z nową hierarchią priorytetów. Mamy powrót do logiki doktryny Monroego, która jest sygnałem kurczenia się globalnej projekcji siły, a nie jej triumfu. Astana czy Taszkient rozmawiają z Waszyngtonem, ale równolegle pogłębiają relacje z Pekinem, Moskwą i Ankarą w ramach Szanghajskiej Organizacji Współpracy i BRICS+. To się nazywa hedging, wielowektorowość państw średnich, zachowanie racjonalne dokładnie w takim świecie, jaki opisuję w książce. Suma taktycznych epizodów nie składa się na strukturę. O strukturze mówią trendy: przesunięcie centrum gospodarki światowej do Azji, dedolaryzacja, alternatywne instytucje finansowe, fragmentacja łańcuchów dostaw. System Pax Americana po prostu wyczerpał się strukturalnie.

Czy NATO gwarantuje Polsce bezpieczeństwo?

W teorii sojuszy nie ma czegoś takiego jak gwarancja. Są zobowiązania, które w dniu próby zostają poddane rachunkowi kosztów i interesów. Realizm każe traktować sojusze jako odwoływalne kontrakty zawierane dla interesu, a nie jako „wspólnotę losu". Artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego jest skonstruowany tak, aby pozostawić każdemu członkowi znaczną swobodę interpretacyjną. Każdy podejmuje „taką akcję, jaką uzna za konieczną". Żadnego automatyzmu tam nie ma. Wiarygodność odstraszania rozszerzonego zawsze była problematyczna. To zresztą stare pytanie gen. Charlesa de Gaulle'a, czy Ameryka zaryzykuje Nowy Jork za Paryż. Dziś brzmi ono nieco inaczej: Czy zaryzykuje Chicago za Suwałki?

Do tego dochodzi to, co Glenn Snyder [amerykański politolog] nazwał dylematem bezpieczeństwa w sojuszach. Chodzi o napięcie między ryzykiem porzucenia (abandonment) a ryzykiem uwikłania (entrapment). Polska polityka ostatnich dekad minimalizowała pierwsze kosztem radykalnego zwiększenia drugiego. Władze w Warszawie przyjęły bezkrytycznie rolę państwa frontowego, wysuniętego bastionu, płacąc pełną ekspozycją własnego terytorium za ochronę warunkową. I jeszcze jedno: sam „patron" każe nam dziś odczytywać rzeczywistość geopolityczną na nowo. Pentagon oczekuje przejęcia przez Europę większości zdolności

eprasa.pl 2f31385647

obrony konwencjonalnej NATO do 2027 r. i sygnalizuje możliwość wycofania się z części mechanizmów koordynacji obronnej. To zawiera koncepcja NATO 3.0 lansowana przez amerykańskiego podsekretarza wojny Elbridge'a Colby'ego. Nie namawiam nikogo do porzucania sojuszu, ponieważ NATO realnie podnosi koszty ewentualnej agresji na Polskę i to jest wartość. Ale sojusz jest narzędziem, a nie polisą. Bezpieczeństwo państwa opiera się na trzech filarach: własnej zdolności obronnej czyniącej agresję nieopłacalną, zdolności deeskalacji na kierunku, z którego wojna mogłaby przyjść, oraz wewnętrznej spójności państwa. Wszystko inne jest wzmocnieniem, nie substytutem siły własnej.

Po co Polsce ostatnie traktaty z Wielką Brytanią i Francją, skoro jesteśmy w NATO? Czy one służą nam czy komuś innemu?

Z perspektywy Londynu i Paryża to ruch racjonalny. W warunkach amerykańskiego retrenchmentu, czyli redukowania zaangażowania, oba mocarstwa budują sobie pozycję współgospodarza europejskiego filaru NATO. Polska jako największy rynek zbrojeniowy kontynentu i główny „dostawca masy wojskowej" (żeby nie powiedzieć „mięsa armatniego") na tzw. wschodniej flance jest im do tego niezbędna. Wielka Brytania od stuleci prowadzi politykę równowagi na kontynencie rękami państw lądowych; Francja szuka rynków dla swojego przemysłu obronnego i legitymizacji dla ambicji przywódczych, z ofertą „europejskiego parasola nuklearnego" włącznie. Z perspektywy Warszawy dywersyfikacja wewnątrz zachodniej kotwicy jest zgodna z logiką hedgingu asymetrycznego. Lepiej mieć trzy kanały niż jeden, zwłaszcza gdy wiarygodność głównego gwaranta słabnie. Ostatecznie liczy się to, co realnie zostaje w Polsce. Transfer technologii, produkcja i serwis na miejscu, klauzule konsultacyjne, których uruchomienie sami kontrolujemy? Czy raczej zobowiązania ekspedycyjne i polityczne dopięcie nas do cudzych inicjatyw, choćby kolejnych „koalicji chętnych" na kierunku ukraińskim?

Historia każe nam tu zachować daleko posuniętą ostrożność. Polska już raz oparła swoje bezpieczeństwo na gwarancjach odległych mocarstw morskich i w 1939 r. przekonała się, czym są sojusze egzotyczne, niezdolne do przełożenia się na realną pomoc w decydującym momencie. Nie twierdzę, że historia się powtórzy. Twierdzę, że mechanizm strukturalny jest ten sam. Mocarstwa morskie mają trwały interes w wiązaniu potęgi lądowej cudzymi rękami, z bezpiecznej odległości. Traktaty bilateralne – tak, ale tworzone przez pryzmat polskiej racji stanu, z pytaniem o załączniki, a nie o nagłówki i uściski dłoni.

Twierdzisz, że polskie służby specjalne zostały przejęte przez CIA. Możesz to wyjaśnić?

Doprecyzujmy, bo to jest teza o strukturze, a nie o spisku. Nie twierdzę, że w centralach naszych służb siedzą amerykańscy oficerowie prowadzący. Mówię o zależności strukturalnej, która narosła przez trzy dekady: szkolenia, technika operacyjna, systemy łączności, bazy danych, wymiana informacji i – co najważniejsze – priorytety analityczne budowane w symbiozie z jednym partnerem. W świecie wywiadu obowiązuje żelazna zasada: kto definiuje ci obraz zagrożeń, ten „współsteruje" twoimi decyzjami. Państwo, które przez lata „outsourcuje" analizę strategiczną i technikę, dochodzi do punktu, w którym jego służby widzą świat oczami patrona – bez żadnego formalnego „przejęcia". To mechanizm klienteli wywiadowczej, nie agentury.

Do ilustracji asymetrii wystarczą fakty publicznie znane: tajne ośrodki CIA na terytorium RP, za które to Polska, nie Ameryka, płaciła odszkodowania zasądzone przez Europejski Trybunał Praw Człowieka; udział naszych służb i wojska w cudzych operacjach od Iraku po Afganistan; jednokierunkowość zakupów techniki i systemów. Pytanie realisty brzmi: Czy polskie służby są dziś zdolne wygenerować samodzielną, wolną od sojuszniczych filtrów ocenę sytuacji na Wschodzie i na Zachodzie? Moja odpowiedź: w stopniu dalece niewystarczającym. Dlatego w doktrynie równowagi suwerennej kładę nacisk na odbudowę suwerennej analityki – polskiej szkoły wschodoznawczej – oraz na zasadę, że kontrwywiadowcza ochrona państwa obejmuje wszystkie kierunki, również sojusznicze. Państwo, które nie rozumie samodzielnie przeciwnika i partnera, nie może nimi grać. Może być tylko rozgrywane.

Kto wpędził Polskę w sytuację bezalternatywną i dlaczego nie jest to dla nas korzystne?

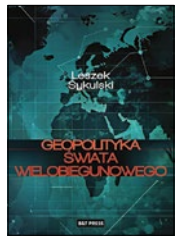
W polityce zagranicznej funkcjonuje przekleństwo zwane TINA – there is no alternative. Sytuacja bezalternatywna oznacza pełne uzależnienie. Wpędził nas w nią ponadpartyjny konsensus elit III RP, który po 1989 r. zdefiniował polską politykę jako jednostronne, bezwarunkowe związanie z jednym biegunem potęgi. Proszę zwrócić uwagę na charakterystyczny rys naszego sporu wewnętrznego: on toczy się o wybór protektora – Waszyngton czy Bruksela z Berlinem – a nie o podmiotowość. Obie strony barykady łączy założenie, że ktoś musi nas prowadzić. Nałożyła się na to zwulgaryzowana wersja doktryny Giedroycia–Mieroszewskiego, organizująca politykę wschodnią wokół powstrzymywania Rosji i roli wysuniętej rubieży Zachodu, czyli wpisująca Polskę w rolę „zderzaka strategicznego", poligonu cudzych rywalizacji.

Dlaczego to niekorzystne? Po pierwsze, negocjacyjnie: kto nie ma alternatywy, ten nie ma siły przetargowej. Zero opcji odejścia oznacza zero dźwigni, przyjmuje się wtedy takie warunki, jakie dają: offsety symboliczne, serwis za granicą, gwarancje warunkowe. Po drugie, strukturalnie: bezalternatywność przekształca sojusz w stosunek klientelistyczny, a klient ponosi koszty cudzych konfrontacji, nie uczestnicząc w decyzjach; dyscyplina sojusznicza wyznaczana jest przez ośrodki decyzyjne poza Warszawą. Po trzecie, ekonomicznie: rola frontowa odcina nas od renty geograficznej, tranzytu na osi Wschód – Zachód, dostępu do tańszych surowców, rynków wschodnich, czyli od naturalnego dochodu z położenia w handlowym sercu Eurazji. Ten koszt ponosimy codziennie, niezależnie od tego, czy konfrontacja kiedykolwiek przerodzi się w wojnę. W kategoriach teorii sojuszy: zminimalizowaliśmy ryzyko porzucenia, maksymalizując ryzyko uwikłania i koszty bieżące. To najgorszy z możliwych bilansów.

Czy polscy politycy nie widzą, że jest to sprzeczne z polską racją stanu?

Część to widzi, część nie chce widzieć, a system sprawia, że widzieć się nie opłaca. Wyjaśnienie ma tu charakter strukturalny, a nie spiskowy. Po pierwsze,

eprasa.pl 2f31385647



LESZEK SYKULSKI „GEOPOLITYKA ŚWIATA WIELOBIEGUNOWEGO" B&T PRESS 2026

socjalizacja. Całe pokolenie elit ukształtowało się w jednym paradygmacie, w którym orientacja atlantycka była tożsama z racjonalnością, a każda próba dyskusji nad jej kosztami – z herezją. Po drugie, bodźce takie jak: kariery, stypendia, granty, think tanki, media – cała infrastruktura prestiżu polskiej polityki zagranicznej jest sprzężona z ośrodkami zainteresowanymi utrzymaniem obecnego kursu. Odstępstwo skutkuje często ostracyzmem i etykietą „onucy", „agenta", „poplecznika Kremla" itp. Współcześni realiści, od Stephena Walta, amerykańskiego politologa z Harvard Kennedy School, po Johna Mearsheimera, amerykańskiego politologa z Uniwersytetu w Chicago, opisują dokładnie ten mechanizm. Elity krajowe potrafią latami podejmować decyzje sprzeczne z obiektywnym układem sił, bo wewnętrzna struktura bodźców nagradza konformizm, a nie trafność diagnozy. Po trzecie, horyzont czasowy. Cykl wyborczy trwa cztery lata, cykl geopolityczny – dekady. Politykowi bardziej opłaca się mobilizować elektorat strachem, niż mozolnie budować kanały deeskalacji, których owoce zbierze następca.

I rzecz najważniejsza: w Polsce wyłączono mechanizm korekty, czyli rzetelną debatę strategiczną. Cenzurowanie debaty publicznej prowadzi do upadku kultury strategicznej i wyłączenia instynktu samozachowawczego aparatu państwa. Państwo bez pluralizmu strategicznego, bez zinstytucjonalizowanego zespołu testującego założenia własnej polityki, czyli tego, co w dobrych praktykach z cyberbezpieczeństwa nazywa się red teamem, nie widzi własnych błędów aż do zderzenia z rzeczywistością. Dlatego moja autorska doktryna równowagi suwerennej przewiduje ustawowy, coroczny przegląd strategiczny i stały zespół „celowo nielojalnych" ekspertów. Nie dlatego, że ufam sobie bardziej niż innym. Dlatego że nie ufam nikomu bez weryfikacji.

Które kraje są teraz największym zagrożeniem dla Polski?

Uczciwa analiza ryzyka musi mieć charakter kierunkowo neutralny. Kryterium stanowi presja na polską podmiotowość, a nie geografia jej źródła. Z Rosją i Białorusią mamy długotrwałe napięcia, które wynikają m.in. z doktryny frontowej, którą przyjęła III RP, i z różnych form ingerencji geopolitycznej w przestrzeń posowiecką. Odpowiedzią Państwa Związkowego Rosji i Białorusi jest pakiet presji: potencjał wojskowy i szantaż eskalacyjny, z sygnalizacją jądrową włącznie, operacje hybrydowe poniżej progu wojny, instrumentalizacja migracji, operacje cybernetyczne i informacyjne, penetracja wywiadowcza itd. To stały element rachunku bezpieczeństwa i nawet rozpoczęcie normalizacji tych założeń nie zawiesza. Ze strony ośrodków zachodnich ryzyka są innej natury, ale realne: uwikłanie w cudze priorytety i automatyzm ekspozycji, transakcyjne warunkowanie lub wycofywanie gwarancji, eksterytorialne stosowanie prawa i sankcje wtórne, presja regulacyjna ograniczająca samodzielność decyzyjną, asymetria kapitałowa w strukturze gospodarki. Ze strony Chin to z kolei: asymetria potencjałów w projektach infrastrukturalnych, praktyki uzależniania kredytowego i standaryzacja technologiczna jako narzędzia wpływu.

Ale największym zagrożeniem dla Polski nie jest żadne państwo z osobna, tylko konfiguracja, w którą sami weszliśmy: rola państwa frontowego w cudzej konfrontacji. To ona sprawia, że eskalacja między mocarstwami – na której przebieg mamy wpływ minimalny – natychmiast konwertuje się na ryzyko egzystencjalne dla naszego terytorium i naszej ludności. Ryzyko frontowej konfrontacji ponosi Polska; korzyści z wysuniętego bastionu czerpią mocarstwa oddalone o tysiące kilometrów, dla których to tani sposób wiązania Rosji cudzymi rękami. Pytanie „Kto nam zagraża?" jest więc źle postawione. Właściwe pytanie brzmi: Która konfiguracja czyni z Polski pole starcia i jak z niej wyjść? Na to drugie mamy realny wpływ.

Polska wydaje gigantyczne pieniądze na obronę – prawie 47 mld dol. w 2025 r. Na co one idą, skoro zdaniem rządzącej koalicji konieczny jest jeszcze dodatkowo kredyt SAFE?

Budżet obronny nie jest miarą bezpieczeństwa. Miarą bezpieczeństwa jest koszt, jaki musiałby ponieść agresor, a te dwie wielkości w polskim przypadku niebezpiecznie się rozjechały. Wydajemy najwięcej w NATO w relacji do PKB, a jednocześnie zapasy amunicji krytycznej liczymy w dniach walki, wielowarstwowa obrona powietrzna pokrywa ułamek kluczowych aglomeracji, nasycenie systemami antydronowymi jest symboliczne, a obrona cywilna i schrony praktycznie nie istnieją. Skąd ten paradoks? Ze struktury wydatków, która jest kliencka, nie suwerenna. Kupujemy z półki, za gotówkę i na kredyt, głównie za granicą, często w trybie pilnym, bez pełnego transferu technologii, z serwisem, częściami i amunicją po stronie dostawcy. Część zakupów pełni funkcję polityczną, staje się rodzajem składki na przychylność protektora, biletem wstępu do gabinetów, a nie budową zdolności. Pieniądz wypływa, mnożnik przemysłowy zostaje u sprzedawcy, a my zostajemy z flotą drogich platform, których nie potrafimy samodzielnie utrzymać, zintegrować i wykarmić amunicją.

Kredyt SAFE jest logiczną konsekwencją tej architektury: skoro bieżące dochody państwa nie wystarczają na obsługę tak skonstruowanego strumienia zakupów, to sięga się po dług, czyli podatek odroczony na następne pokolenie. I po instrument, który przy okazji pogłębia zależność regulacyjną. Kwestionuję zarówno formę takiego finansowania wydatków na obronność, jak i ich architekturę. Test, który proponuję w doktrynie równowagi suwerennej, jest mierzalny: udział amunicji produkowanej krajowo, pokrycie aglomeracji obroną powietrzną, dni zapasów, liczebność wyszkolonych rezerw, udział jednego sojusznika w zakupach uzbrojenia, ludność objęta schronami. Dopóki te wskaźniki nie rosną, dopóty miliardy pozostają statystyką, a nie odstraszaniem. Można wydawać 5 proc. PKB i pozostać łatwym celem.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Leszek Sykulski *– politolog, geopolityk i publicysta, specjalizujący się w geopolityce, geografii politycznej i wojnie informacyjnej. Jeden z założycieli Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego.*

eprasa.pl 2f31385647

Hegemonia USA jest przeszłością



Sanae Takaichi, od 2025 r. premier Japonii FOT. DAVID MAREUIL/ANADOLU/GETTY IMAGES



Krystian Kamiński

Dwie pozornie niezwiązane ze sobą decyzje – w Japonii i Arabii Saudyjskiej – składają się na obraz znacznie szerszego procesu. Coraz więcej państw zaczyna zakładać, że w nadchodzącym świecie bezpieczeństwo trzeba będzie opierać na własnym potencjale atomowym

Niedawno minister obrony Japonii, Shinjiro Koizumi, powiedział, że jego kraj „nie może unikać" rozważenia zagadnienia broni atomowej. Jak uznał, Japończycy muszą rozpocząć publiczną debatę w tej sprawie, ponieważ zmienia się środowisko międzynarodowe, w którym funkcjonują. Koizumi nie powiedział wprost, że jego kraj powinien dążyć do wyprodukowania tego rodzaju broni. Wskazał jednak na przykład Finlandii, która w czerwcu br. przyjęła ustawę zezwalającą na obecność broni atomowej na swoim terytorium, co Helsinki tłumaczą obecnie wolą uczestnictwa w programie Nuclear Sharing. Japoński minister zadbał jednak o to, by jego wypowiedź wpisywała się w podobną narrację dążenia do dyslokacji broni amerykańskiej, bez naruszania oficjalnych zobowiązań wynikających z faktu bycia stroną Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni atomowej (NPT), który Japonia ratyfikowała w 1976 r.

W Japonii broń atomowa była tematem zakazanym znacznie bardziej niż w zajmującej przez dekady neutralistyczne stanowisko Finlandii. Po pierwsze, Japonia jest jedynym państwem świata, które zostało zaatakowane bronią atomową, a moralne i emocjonalne uwarunkowania japońskiego społeczeństwa silnie nastawiały je nie tylko przeciw militarnemu wykorzystaniu energii atomowej, lecz także jej cywilnym zastosowaniom. Znajdowało to wyraz w szybkim zamknięciu niemal wszystkich elektrowni atomowych po awarii w Fukushimie w 2011 r. Decyzja ta jest zresztą właśnie odwracana – po dekadzie obowiązywania hasła „zero energii z atomu" i nieskutecznych poszukiwaniach alternatywnych źródeł energii w państwie pozbawionym znaczących złóż surowców energetycznych.

Dość wspomnieć, że czynniki te były na tyle silne, iż w 1967 r. premier Eisaku Satō ogłosił tzw. Trzy Zasady Nieatomowe, to jest nieprodukowania broni atomowej, nieposiadania jej oraz niedopuszczania do dyslokowania takiej broni przez inne państwo na terytorium Japonii.

KOSZT WASALIZMU

Jednak słowa Koizumiego są przełomowe nie tylko w kontekście traumy Hiroszimy, Nagasaki i Fukushimy, lecz także w szerszym kontekście pacyfi-

eprasa.pl 2f31385647

stycznej postawy japońskiego społeczeństwa i elit, dominującej przez wiele powojennych dekad. Po wojennej klęsce Japończycy radykalnie przenieśli swoje ambicje ze sfery politycznej do gospodarczej i pogodzili się z rolą bogatego oraz innowacyjnego protektoratu Stanów Zjednoczonych. Było to źródłem ich burzliwego rozwoju gospodarczego, ale od schyłku lat 80. XX w. również wieloletniej stagnacji, zapoczątkowanej Porozumieniem z Plaza z 1985 r. Japończycy do dziś nie podnieśli się po narzuceniu nowych warunków wymiany finansowej między imperium a protektoratem, co pokazuje, jak wielki bywa koszt wasalizmu.

Dopiero rządy Shinzo Abe w poprzedniej dekadzie przyniosły pierwsze instytucjonalne działania na rzecz odejścia od konstytucyjnego pacyfizmu. Nowa premier, Sanae Takaichi, zrywa z nim już wprost, otwarcie deklarując możliwość militarnej interwencji w ewentualnym konflikcie między Pekinem a Tajpej. Deklaracja jej ministra obrony to krok dalej, a właściwie wyżej na strategicznej drabinie – krok jeszcze na początku bieżącej dekady niewyobrażalny. Tym bardziej znaczący, że Japonia jest państwem technologicznie tak zaawansowanym, iż jej droga do broni atomowej, gdyby Tokio zdecydowało się ją rozpocząć, zostałaby przebyta sprintem. Warto w końcu dodać, że głośno wyrażone rozważania Koizumiego nie wywołały poważniejszej reakcji w Stanach Zjednoczonych.

Dwa tygodnie temu podobne sygnały nadeszły również z dużo bardziej niestabilnego państwa i regionu, tym razem z inicjatywy samego Waszyngtonu. W czwartek ministrowie energii Arabii Saudyjskiej i USA podpisali 30-letnią umowę o transferze amerykańskiej technologii atomowej do bliskowschodniego królestwa. Amerykanie zagwarantowali sobie monopol na budowę, serwis, szkolenie i monitoring systemu elektrowni atomowych w bogatym państwie, co w doraźnym wymiarze gospodarczym oznacza oczywiście duże zyski i uderzenie w interesy głównych konkurentów – Chińczyków i Rosjan.

Umowa wywołała jednak kontrowersje ze względu na przewidzianą w niej możliwość stworzenia w Arabii Saudyjskiej zakładu wzbogacania materiału rozszczepialnego. Jest to zapis rzadko spotykany we wcześniejszych porozumieniach tego rodzaju (USA dopuściły go wcześniej jedynie w umowach z Brazylią i Japonią), które dotychczas zawierali Amerykanie, zdecydowanie przeciwni rozpowszechnianiu zdolności do wzbogacania. Sprzeciwiali się temu z oczywistego względu – posiadanie przez państwo na swoim terytorium tego elementu cyklu technologicznego daje mu możliwość opanowania procesu niezbędnego do budowy broni atomowej. Umowa z Saudami zawiera jednak istotne zastrzeżenie – dwuletni okres analizy warunków inwestycji, po którym Amerykanie dopiero odpowiedzą na pytanie, czy budowa instalacji umożliwiających wzbogacanie materiału rozszczepialnego na terytorium królestwa jest konieczna.

Nowa premier Japonii, Sanae Takaichi, zrywa z konstytucyjnym pacyfizmem wprost, otwarcie deklarując możliwość militarnej interwencji w ewentualnym konflikcie między Pekinem a Tajpej

Ta umowa daje Donaldowi Trumpowi i jego następcy przestrzeń polityczną oraz lewar na Saudów. Niecierpliwy Trump już postanowił go wykorzystać, deklarując jeszcze tego samego dnia, w którym podpisano umowę, że warunkiem jej realizacji jest uznanie przez Arabię Saudyjską Państwa Izrael i nawiązanie z nim stosunków dyplomatycznych. To bardzo daleko idący warunek, który moim zdaniem oddala perspektywę nuklearyzacji arabskiego państwa.

Wskazuje to zresztą, jak wielki wpływ na politykę obecnego prezydenta USA ma agenda Izraela. Wystarczyły gwarancje bezpieczeństwa dla Arabii Saudyjskiej udzielone we wrześniu zeszłego roku przez atomowe mocarstwo muzułmańskie – Pakistan – by w państwie syjonistycznym rozległy się głosy, że wrogami są już nie tylko Iran oraz jego sprzymierzeńcy, lecz trzeba przygotowywać się również do konfrontacji z „osią sunnicką", do której zaliczono m.in. królestwo Saudów. Trudno nie zauważyć, że Izrael zdołał zmobilizować Trumpa do rozpoczęcia katastrofalnej dla niego, a także dla świata, wojny z Iranem pod hasłem zniszczenia jego programu atomowego, czego – notabene – Trump i Beniamin Netanjahu nadal nie zdołali osiągnąć.

EPOKOWA ZMIANA

Przechodząc do wniosków, w węższym ujęciu fakt podpisania mimo wszystko umowy o transferze technologii atomowej do Arabii Saudyjskiej pokazuje, że Amerykanie uznali, iż nie są już w stanie samodzielnie obezwładnić Iranu, i dopuszczają konieczność równoważenia jego siły potencjałem, który we własnym zakresie powinny rozwijać dotychczasowe arabskie protektoraty. Zdecydowanie najsilniejszym z nich, jedynym dysponującym głębią strategiczną, znaczącą populacją i wewnętrznymi podstawami siły, jest właśnie monarchia saudyjska. Oczywiście ruch Saudyjczyków w tym kierunku uruchomi podobną kalkulację w czołowych państwach regionu, takich jak Turcja i Egipt, o Iranie nie wspominając.

Skoro jednak Amerykanie liczą się z taką koniecznością równoważenia, to – w szerszym ujęciu – jest to kolejny sygnał, że nie są już światowym hegemonem. W czasach swojej globalnej dominacji konsekwentnie egzekwowali, a przynajmniej dokładali wszelkich starań, by ograniczyć rozprzestrzenianie broni atomowej oraz technologii umożliwiających jej konstruowanie przez państwa, które zdołały ją uzyskać w poprzedniej epoce bipolarności zimnej wojny. Dysponowanie takimi technologiami miało pozostać przywilejem globalnego imperatora i najsilniejszych baronów, dziedziczących swoją pozycję z poprzednich epok, niczym miejsca w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, w systemie określanym przez uniwersalne reguły ustanawiane właśnie przez hegemona. Ten świat hegemonii Waszyngtonu odszedł do przeszłości, co znajduje już wyraz w samych działaniach USA. Niestety, Polska pozostaje zdominowana przez mentalnych wasali Waszyngtonu, niedostrzegających tej epokowej zmiany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

Krzyż wyrwany z korony



Krzysztof Kawęcki

Rząd Donalda Tuska zapowiada nową ustawę o symbolach państwowych, rzekomo w imię heraldycznej poprawności. Szkoda jedynie, że w tych szumnych zapowiedziach – podobnie jak za rządów Zjednoczonej Prawicy – brakuje miejsca na sprawę fundamentalną

Jeszcze w tym roku ma zostać przedstawiony opinii publicznej projekt ustawy o symbolach państwowych Rzeczypospolitej Polskiej. To kolejna zapowiadana „konsultacja", tym razem przez rząd Donalda Tuska. Jeszcze w 2018 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości w oświadczeniu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zapowiadał przyjęcie w czwartym kwartale tego roku ustawy mającej na celu uporządkowanie symboli narodowych zgodnie z wymogami heraldyki. W projekcie przedstawiono niezbędną propozycję przywrócenia dla Prezydenta RP Chorągwi Rzeczypospolitej. Polska jest jedynym państwem w Europie, w którym prezydent nie ma własnej flagi. Dopiero w październiku 2021 r. MKiDN skierowało do konsultacji społecznych projekt ustawy o symbolach państwowych Rzeczypospolitej Polskiej. Przyjęte tempo prac nie pozwoliło na realizację tych zamierzeń, w tym niezbędnego wprowadzenia nowej kolorystyki – karmazynu (odcień ciemnej czerwieni z domieszką błękitu), który jest symbolem dostojeństwa, bogactwa i przelanej przez Polaków krwi w walce o niepodległość. Prace nad ustawą nie przewidywały jednak możliwości przywrócenia wizerunku Orła Białego z zamkniętą Koroną i Krzyżem.

Sejm niepodległej Polski ustawą z 1 sierpnia 1919 r. o godłach i barwach Rzeczypospolitej Polskiej, podpisaną m.in. przez marszałka Sejmu Wojciecha Trąmpczyńskiego i premiera Ignacego Paderewskiego, ustalił, że herbem Rzeczypospolitej jest orzeł w koronie z krzyżem.

MASOŃSKIE GWIAZDY ZAMIAST KRZYŻA

Po zamachu majowym usunięto krzyż i zastąpiono koronę zamkniętą koroną otwartą, a tradycyjne trójliście zastąpiono pięcioramiennymi gwiazdami masońskimi. Nastąpiło to na mocy rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 13 grudnia 1927 r. o godłach i barwach państwowych oraz o oznakach, chorągwiach i pieczęciach. Artykuł 1 precyzował: „Herb państwowy – wizerunek orła białego z głową zwróconą w prawo, ze skrzydłami rozwiniętymi, z koroną i dziobem oraz szponami złotymi na prostokątnej tarczy w polu czerwonym". Poza prezydentem Ignacym Mościckim rozporządzenie podpisali premier Józef Piłsudski oraz 13 członków rządu. Co najmniej sześciu z nich było masonami: Kazimierz Bartel, Gustaw Dobrucki, Stanisław Jurkiewicz, Felicjan Sławoj Składkowski, August Zaleski, Bogusław Miedziński. Zmiana godła nastąpiła, gdy prezydent Ignacy Mościcki rozwiązał Sejm i na mocy wprowadzonej po zamachu majowym tzw. noweli sierpniowej wydawał rozporządzenia z mocą ustawy.

Ustanowienie godła państwowego w 1927 r. było poprzedzone konkursem. Rada Ministrów zatwierdziła projekt Zygmunta Kamińskiego, rysownika, malarza i grafika, profesora Politechniki Warszawskiej. Przeciwko zmianie wizerunku zaprotestował prymas Polski kard. August Hlond, który jednoznacznie zaznaczył, że godłem Polski ma być orzeł z przywróconym krzyżem w koronie. Projekt spotkał się wówczas z krytyką wielu heraldyków, którzy zwracali uwagę na liczne błędy – w koronie na głowie orła powinny być prześwity, łapy orła powinny być złote, podobnie jak przepaska, której uwieńczeniem powinien być potrójny liść, a nie pięcioramienne gwiazdy. Niektórzy wskazywali, że jest on kopią (plagiatem) wizerunku polskiego orła stworzoną przez francuską rzeźbiarkę Élisę Beetz Charpentier.

Po drugiej wojnie światowej władze „Polski Ludowej" wprowadziły nowy symbol państwowy – orzeł bez korony. Wcześniej pojawił się on na czapkach utworzonej w 1943 r. dywizji kościuszkowskiej. Taki wizerunek został zatwierdzony w konstytucji PRL z 1952 r.

EMIGRACJA BRONI DZIEJOWEJ PRAWDY

W tym czasie na emigracji podjęte zostały inicjatywy na rzecz przywrócenia krzyża na koronie. W tej sprawie Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii przyjął uchwały na zjazdach w latach 1952 i 1953. Instytut 23 kwietnia 1953 r. zwrócił się z tym postulatem do prezydenta RP Augusta Zaleskiego. Wkrótce zaczęły wpływać do rządu emigracyjnego podobne rezolucje różnych organizacji oraz pojawiły się artykuły w prasie emigracyjnej. 6 czerwca 1953 r. rząd przyjął projekt dekretu Prezydenta RP o przywróceniu znaku krzyża. Komisja Prawnicza Rady Narodowej RP (organ konsultacyjny i opiniodawczy prezydenta i rządu RP na uchodźstwie) zwróciła się do Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii o wyrażenie opinii. W orzeczeniu Towarzystwo zwróciło uwagę, że „na koronie otwartej

eprasa.pl 2f31385647

nie można umieszczać krzyża, gdyż dla braku podstawy wyrastałby wprost z głowy orła". Profesor Oskar Halecki, uznawany przez emigracyjnych historyków i heraldyków za najwybitniejszego znawcę w tej dziedzinie, uznał, że to uzasadnia tym samym wniosek końcowy orzeczenia, że przywrócenie krzyża wymaga też przywrócenia orłowi korony zamkniętej.

Szczególne znaczenie miały ustalenia badawcze przedstawione przez Stanisława Strońskiego, profesora romanistyki UJ, współtwórcę polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Udowodnił on, że korona z krzyżem nie pochodzi z czasów schyłkowych ani stanisławowskich Rzeczypospolitej (jak uznawał w orzeczeniu Zarząd Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii), lecz pojawia się od początku wieku XVI i zachowuje ponad 400-letnią ciągłość. Po rozbiorach, w wieku XIX, korona z krzyżem występuje w powszechnym użyciu w różnych wydarzeniach niepodległościowych. Tym samym usunięcie krzyża z korony w roku 1927 było rażącą nie tylko prawnie, lecz także naukowo dowolnością.

Stanisław Stroński w „Życiu", tygodniku religijno-kulturalnym wydawanym w Londynie przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", pisał: „Rozwój dziejowy naszego godła państwowego był piękny, szlachetny, związany z prawdą naszego bytu. Niczego białemu ptakowi nie ujął. A dodał na głowę orła koronę i krzyż: krzyż naszej wiary, krzyż naszego świata, krzyż naszej doli".

Profesor Oskar Halecki docenił zebrany przez prof. Strońskiego materiał historyczny i potwierdzał, że już od początku XVI w. na pieczęciach, monetach, medalach, jak również na rycinach ówczesnych historyków pojawia się zamknięta korona królewska, zaopatrzona w łuk, na którym umieszczony jest krzyż. Tym samym, zdaniem Haleckiego, ustalenia te przemawiają za przywróceniem w godle państwowym korony z krzyżem. Podzielił opinię Strońskiego i uznał, że „w chwili obecnej, gdy toczymy tak ciężką walkę o Krzyż Chrystusa, przywrócenie tego świętego godła odpowiednio ustylizowanej koronie Orła Białego jest bezspornie słusznym postulatem ideowym".





Projekt godła zgłoszony przez Ministerstwo Sprawiedliwości, gdy szefował mu Zbigniew Ziobro. Najważniejsze zmiany dotyczą korony. Pojawia się na niej krzyż FOT. ADOBE STOCK, DOMENA PUBLICZNA

11 listopada 1956 r. podpisany został przez prezydenta RP Augusta Zaleskiego dekret o zmianie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 13 grudnia 1927 r. Do dokumentu załączony został wizerunek Orła Białego w zamkniętej koronie zwieńczonej krzyżem. W dekrecie precyzowano: „Herbem państwowym jest wizerunek orła białego z głową zwróconą w prawo, ze skrzydłami rozwiniętymi, ze złotą koroną, z czterech lilii zamkniętą skrzyżowanym pałąkiem, na którego wierzchołku jest równoramienny krzyż, oraz z dziobem i szponami złotymi".

W uzasadnieniu podane zostały wszechstronne argumenty uwzględniające przesłanki wynikające z historii i heraldyki. Dodatkowo zapisano: „Zarówno tradycja heraldyczna i historyczna, jak i tradycja ustawodawcza dają całkowite podstawy do tego, aby korona na głowie orła państwowego była z krzyżem. Za umieszczeniem krzyża na koronie Orła Białego przemawiają także względy religijno-uczuciowe. Dla uzewnętrznienia głębokiego przywiązania Narodu Polskiego do wiary chrześcijańskiej należy umieścić w godle państwowym Rzeczypospolitej Polskiej znak krzyża w Koronie Orła Białego".

HISTORYCZNY OBOWIĄZEK

Niestety, przez dwie kadencje rządów Prawa i Sprawiedliwości niepodjęta została inicjatywa zmierzająca do przywrócenia godła z koroną i krzyżem. Zapowiadana nowa ustawa o symbolach państwowych Rzeczypospolitej Polskiej ma wprowadzić zmiany wizerunku orła. Usunięte mają zostać błędy heraldyczne sanacyjnej ustawy z 1927 r., powtórzone w ustawie z 1990 r. Jednak niezbędne z heraldycznego punktu widzenia zmiany nie mogą przesłaniać faktu, że absolutnym wymogiem, wynikającym z polskiej tradycji historycznej, powinno być odrzucenie obecnego wizerunku na rzecz orła w zamkniętej koronie zwieńczonej krzyżem. Korona Bolesława Chrobrego – zamknięta korona z krzyżem, najważniejsze insygnium koronacyjne królów polskich – symbolizowała mistyczne pochodzenie władzy od Boga i suwerenność Królestwa Polskiego.

Nie powinniśmy pogodzić się z tym, że w dobie liberalnej demokracji, zbudowanej na idei „umowy społecznej" Rousseau, nie ma miejsca dla krzyża w przestrzeni publicznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



Zdaniem heraldyków „śląska flaga" jest wzorowana na niemieckim herbie Provinz Oberschlesien

FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA KRZYSTYNIAKA

Kłopoty z symboliką



Andrzej Krzystyniak

Dążenie do poczucia wspólnoty, które oznacza tworzenie podziału między Ślązakami a Polską, jest fałszywe. W tym przypadku odrębność i różnorodność służą niczemu innemu jak wymazaniu ze Śląska polskości. Trzeba być naprawdę bardzo naiwnym, by w tego typu działalności nie dostrzec tendencji separatystycznych o podłożu proniemieckim

Jak co roku w okolicach 15 lipca niektóre ze śląskich miast, w chwili obecnej to większość, dekorują swoje, zwykle główne ulice oraz urzędy, flagami w barwach, które nazywają oficjalnie symbolami Śląska. Przy czym samorządy, które przystrajają ulice swoich miast wraz z urzędami, często same nie bardzo orientują się, jakiej symboliki użyły i gdzie znajduje się jej geneza.

15 lipca został na Śląsku, a ściślej mówiąc – na Górnym Śląsku, ogłoszony Dniem Śląskiej Flagi. Data nie jest przypadkowa. Dla niezorientowanych jest to dzień ustanowienia przedwojennej autonomii dla województwa śląskiego, znajdującego się wówczas w granicach II Rzeczypospolitej. Potoczny obserwator tego, nazwijmy umownie, święta najpewniej nie orientuje się, że zarówno owo świętowanie, jak i „śląskie flagi", które wywieszane są na ulicach oraz na urzędach śląskich miast, nie zostały w żaden sposób zatwierdzone ani też usankcjonowane prawnie. Inicjatorem obchodów Dnia Śląskiej Flagi był w 2011 r. nieżyjący już ówczesny europoseł Platformy Obywatelskiej, Marek Plura, gorący orędownik odrębności Śląska od Polski. W 2013 r. wraz ze stowarzyszeniem Ślōnskŏ Ferajna usunął on w Mysłowicach, na obelisku upamiętniającym tzw. Trójkąt Trzech Cesarzy, tablicę z napisem informującym, że było to miejsce styku granic trzech zaborców Polski, umieszczając nową ze zmienionym napisem, informującym, że w tym miejscu stykały się dawniej granice nie zaborców, a „trzech państw". Swoją decyzję motywował później w wypowiedziach dla prasy tym, że „Śląsk nigdy nie był pod zaborami". Ponadto – jak twierdził – „naszej historii nie będziemy się wstydzić". I dodał: „Nie chcemy też jej homogenizować z historią Polski, żeby nie zubożyć naszych dzieci i wnuków".

Wspomnijmy, że usunięcie tablicy i umieszczenie nowej bez wymaganych zezwoleń, opinii i zgód obyło się bez jakichkolwiek reperkusji prawnych. Warto również odnotować inną zgłoszoną przez Plurę propozycję nowego śląskiego święta. A mianowicie polityk ten w czerwcu 2015 r., w ślad za niemieckim rządem, który ustanowił 20 czerwca narodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Ucieczek i Wypędzeń, zaproponował ustanowienie śląskiego „Dnia Wypędzonych". Swoją inicjatywę argumentował m.in. dramatem Ślązaków, „narodu, który przez wiele stuleci żył harmonijnie, łącząc tożsamość słowiańska i germańska". Zdaniem Plury „po 1945 roku zmuszano Ślązaków, by wyrzekli się swej tożsamości, by stali się Polakami pozostającymi w swoich domach bądź Niemcami wygnanymi w nieznane". Akurat ta inicjatywa Marka Plury nie spotkała się jednak z akceptacją i dziś śląski „Dzień Wypędzonych" nie jest obchodzony, choć trudno to wykluczyć w przyszłości. W odróżnieniu od Dnia Śląskiej Flagi, kiedy to samorządy w większości miast, chwaląc się przyłączeniem do owego święta na swoich stronach internetowych czy też w wydawanych biuletynach, z dumą

eprasa.pl 2f31385647

pokazują „śląskie flagi" wiszące na urzędach i ulicach.

WBREW USTAWIE

Można przy tym odnieść wrażenie, że niewielu przedstawicieli śląskich samorządowców wie, jaki symbol właśnie wywiesiło. Dla jednych jest to „symbol Górnego Śląska", dla innych „herb województwa". Odpowiedź uzyskana od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji wskazuje jasno, że „nie ma podstaw prawnych do ustanowienia takich symboli (jak herb i flaga) dla regionu rozumianego inaczej niż jako województwo – jednostka samorządu terytorialnego. Stanowisko takie podziela Komisja Heraldyczna, działająca jako organ opiniodawczo-doradczy MSWiA". A zatem mamy do czynienia z samozwańczym ustaleniem regionalnego symbolu w postaci herbu i flagi?

Niewielu zapewne zdaje sobie sprawę, że flaga, którą dekorują swoje urzędy, z orłem nazywanym śląskim, jest wzorowana na przedwojennym herbie niemieckiej części Górnego Śląska, obowiązującym od 1 czerwca 1926 do 1938 r., według projektu Ottona Huppa, ustanowionym przez pruski rząd. Nawet pobieżna analiza porównawcza „współczesnej wersji herbu Górnego Śląska" z niemieckim herbem Provinz Oberschlesien skłania ku poglądowi, że mamy do czynienia z prawie identycznymi symbolami, z tą różnicą, iż we „współczesnej wersji" usunięto kosę i młotki. Rodzi się pytanie: Dlaczego to śląskie samorządy tak ochoczo dekorują urzędy i ulice podobnym symbolem? Po interpretacjach, które publikują z okazji „święta śląskiej flagi", można odnieść wrażenie, że jest im wszystko jedno, skoro „wszyscy tak robią". Niektórzy przypominają biesiadników na „weselu u szwagra", kiedy – będąc na dużym rauszu – ochoczo wznoszą nieznany toast, by po chwili, w najlepszym wypadku, zapytać, o co tak naprawdę w nim chodziło.

Na moje pytanie zadane drogą e-mailową Urzędowi Miasta Katowic, czy władze miasta orientują się w wywieszanej symbolice, otrzymałem odpowiedź: „Wywieszone zostały flagi Górnego Śląska. Przedstawiają one herb województwa na tle dwóch poziomych pasów jednakowej szerokości w kolorach złotym i błękitnym. Flagi wywieszane są od kilku lat w związku z Marszem Autonomii Śląska oraz Dniem Śląskiej Flagi, przypadającym na 15 lipca". To dosyć ciekawa i odważna interpretacja, bo herb województwa ustanowiony oficjalnie w 2001 r. różni się zdecydowanie od używanej 15 lipca symboliki. Dodajmy, że zwykle w okolicach 15 lipca odbywa się rokrocznie Marsz Autonomii organizowany przez Ruch Autonomii Śląska, z tej też okazji miasto Katowice dekoruje ulice wspomnianymi flagami. Specjaliści od heraldyki, których pytałem o opinię, są zgodni, że herb przedstawiony na „śląskiej fladze" jest wzorowany na niemieckim herbie Provinz Oberschlesien. Przypomnijmy, że sprawy związane ze stanowieniem symboli jednostek samorządu terytorialnego reguluje ustawa z dnia 21 grudnia 1978 r. o odznakach i mundurach (Dz.U. 2016, poz. 38). Zgodnie z jej przepisami „jednostki samorządu terytorialnego mają prawo do stanowienia (w drodze uchwały organu stanowiącego) własnych herbów, weksyliów (flaga, chorągiew, sztandar)". Jednakowoż „nie można odwoływać się do herbów terytorialnych tworzonych przez władze zaborcze z lat 1772–1918". Co prawda, herb Provinz Oberschlesien obowiązywał od 1926 r., ale nawet jeśli jego symbolika odnosi się do okresu zaborczego, to przecież Śląsk „nigdy nie był pod zaborami" – jak twierdzą śląscy „regionaliści".

Państwo polskie nie tylko nie reaguje na niebezpieczne dla jego spójności tendencje, lecz także je ochoczo wspiera

OKAZJA DO DEMONSTRACJI

Mamy do czynienia z sytuacją, w której to samorzutnie utworzono własne święto, „święto śląskiej flagi", używając do tego symbolu używanego przez obce państwo. Na marginesie warto wspomnieć, by organizatorzy w swym szczerym entuzjazmie nie pomijali tak istotnych szczegółów jak to, że głowa orła na jednych flagach jest odwrócona w prawo, na innych w lewo. Co ciekawe, do obchodów „święta śląskiej flagi" nie są wykorzystywane oficjalna flaga i godło województwa śląskiego – jak widać, są za mało śląskie. Na portalu internetowym, należącym do jednego ze śląskich samorządów, możemy przeczytać, że „święto zostało ustanowione w 2011 roku z inicjatywy śląskich regionalistów również jako szeroko rozumiany dzień radości ze wspólnoty tworzonej przez wszystkich mieszkańców regionu oraz symbol współpracy pomiędzy górnośląskimi wspólnotami samorządowymi". Takich oświadczeń znajdziemy wiele w prawie każdym mieście śląskiej aglomeracji. Można by je potraktować jako szablon z górnolotnymi frazesami bez cienia refleksji nad istotą, genezą i prawdziwymi celami inicjatorów. To fałszywe dążenie do poczucia wspólnoty odbywa się poprzez tworzenie podziału między Ślązakami a Polską. Odrębność, autonomia i różnorodność, które służą niczemu innemu jak wymazaniu ze Śląska polskości. Nawet przy dosyć pobieżnej i przypadkowej analizie działalności Ruchu Autonomii Śląska trzeba być naprawdę bardzo naiwnym, by nie zauważyć tendencji separatystycznych o podłożu proniemieckim, jednocześnie wierząc w hasła typu „autonomia to normalność". Można zauważyć, że każda okazja zademonstrowania odrębności tych ziem od Polski jest dobra.

Nawet w przypadku wspomnianego „święta śląskiej flagi" inicjatorzy unikają używania oficjalnego herbu województwa śląskiego. Jest zbyt polski, poza tym ustanowiony przez polską administrację, a ta przecież – zdaniem wielu – jest tu tylko tymczasowa lub stanowi wręcz administrację okupanta. Swoją drogą ustanawianie „święta śląskiej flagi" w dniu powołania przez Polskę autonomii dla przedwojennego województwa śląskiego, do tego flagą wzorowaną na niemieckim herbie, jest – delikatnie mówiąc – dosyć karkołomne. Podobnie jak częste wzorowanie się przez „regionalistów" na przedwojenną autonomię Śląska, z jednoczesnym dogmatem, że Polska Śląsk wyzyskała i zmarnowała. Państwo polskie, jak widać, nie tylko nie reaguje na niebezpieczne dla jego spójności tendencje, lecz także ochoczo je wspiera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

Liturgiczna bezczynność



Paweł Chmielewski

Dlaczego papież Leon XIV nie zrobił nic w sprawie Mszy trydenckiej? Chociaż Robert Prevost zapowiadał dobre rozwiązanie konfliktu liturgicznego, to ponad rok jego pontyfikatu upłynął bez żadnej decyzji

FOT. ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Kiedy Amerykanin objął tron św. Piotra, bardzo wielu miało nadzieję, że wreszcie skończą się „prześladowania" tradycyjnej liturgii. Papież zapowiadał, że chce działać na rzecz pokoju, również wewnątrz Kościoła. W sprawie Mszy Świętej pokój panował od roku 2007, kiedy Benedykt XVI uwolnił liturgię trydencką; spór rozgorzał na skutek działań papieża Franciszka w roku 2021. Wydawałoby się, że nie ma nic prostszego: wystarczy wrócić do rozwiązań Józefa Ratzingera. W jednym z pierwszych wywiadów Leon XIV zapowiadał przecież, że zadba o pojednanie w tej kwestii; kilku konserwatywnych kardynałów zapewniało opinię publiczną, że tak rzeczywiście się stanie…

Problem w tym, że Leon XIV nie zrobił jeszcze niczego – choć wydawałoby się, że ma ku temu dobrą okazję. W końcu 16 lipca tego roku minęło pięć lat od promulgacji motu proprio „Traditionis custodes", którym Jorge Mario Bergoglio utrudnił sprawowanie Mszy trydenckiej. Taka okrągła rocznica to dobry moment, by dokonać jakiejś rewizji. Co więcej, 1 lipca udzielono święceń biskupich w Bractwie Kapłańskim św. Piusa X, co zapowiadano od kilku miesięcy. Kluczowym elementem „sprawy Bractwa" jest właśnie tradycyjna liturgia. Gdyby Leon XIV zdecydował się na cofnięcie decyzji Franciszka, mógłby ograniczyć ostrość sporu z Bractwem i wysłać sygnał do katolików na całym świecie, że nie będzie walczył z tradycjonalistami.

IDEOLOGIA ZERWANIA

Być może oczekujemy dziś od papieża zbyt szybkich decyzji. Ostatecznie watykańskie młyny mielą powoli. Leon XIV to nie premier państwa demokratycznego, podpisujący dekrety w pierwszych dniach urzędowania. Jeżeli papież chce podejść do tematu poważnie, to powinien dać sobie czas. Wprawdzie długą encyklikę „Magnifica humanitas" udało mu się przygotować dość szybko, ale stanowiło to w pewnym sensie prostsze zadanie: temat nie wzbudzał tak poważnych kontrowersji. Tymczasem spór, który narósł wokół tradycyjnej liturgii, dotyka kwestii absolutnie fundamentalnych. Można powiedzieć, że choć bezpośrednio dotyczy formy kultu, to tak naprawdę chodzi w nim o samorozumienie Kościoła.

Żeby dobrze zrozumieć, o co toczy się gra, trzeba wczytać się w argumenty przeciwników Mszy trydenckiej. Ostatecznie to tylko z ich powodu nie ma dziś swobody odprawiania starożytnego kultu. Otóż krytycy tej formy liturgii twierdzą, że jest fundamentalnie przeterminowana: że nie odpowiada ani aktualnej katolickiej teologii, ani wyzwaniom, przed którymi stoi ewangelizacja. Innymi słowy, Msza trydencka byłaby „trydencka" właśnie – miałaby wyrażać starą wizję wiary, która bardzo zmieniła się w ciągu pięciu wieków; a poza tym miałaby nie uwzględniać głębokich przemian społecznych, na które Kościół musi odpowiedzieć, by móc docierać do współczesnych ludzi.

Pisał o tym niedawno czeski biskup Tomas Holub, ordynariusz Pilzna. Swoją karierę biskupią rozpoczął za pontyfikatu Franciszka i mocno nasiąknął bergogliań-

eprasa.pl 2f31385647

ską wizją Kościoła. W obszernym artykule Holub stwierdził, że wierni, którzy chodzą na Mszę trydencką, otrzymują niewłaściwy obraz sytuacji. Otóż mamy dziś Kościół synodalny – wskazywał – a w Kościele synodalnym nie można już akcentować silnego rozróżnienia na duchowieństwo i świeckich, bo nową podstawą naszego funkcjonowania ma być wspólnotowość oraz tożsamość chrzcielna. Mówiąc krótko, Kościół synodalny ma swoją własną eklezjologię, czyli naukę o tym, czym jest, i synodalny Kościół potrzebuje synodalnej liturgii. Według Holuba taką rolę może odgrywać wyłącznie zreformowana liturgia; przeżywanie synodalnego wymiaru Kościoła przy jednoczesnym uczestnictwie w Mszy trydenckiej jest po prostu karkołomne.

Bardzo podobnie rzecz ujmuje czołowy włoski liturgista, Andrea Grillo, profesor z Papieskiego Uniwersytetu św. Anzelma. Grillo uchodzi za inicjatora „Traditionis custodes" papieża Franciszka. Z Mszą trydencką walczy od lat, ale ostatnio opublikował kolejną obszerną serię tekstów na ten temat, poruszony sprawą Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X. Podobnie jak Holub Grillo uznał dawną liturgię za archaiczną z powodów teologicznych: miałaby prezentować całkowicie nieaktualny obraz Kościoła. Jego zdaniem Msza trydencka „wywyższa prezbitera", a liturgia posoborowa, wprost przeciwnie, oddaje się w ręce całego ludu katolickiego. Grillo sądzi, że w Kościele niemożliwy jest paralelizm liturgiczny, to znaczy zgoda na to, by stary i nowy ryt funkcjonowały obok siebie. Rzeczywistość współczesnego, synodalnego Kościoła wymaga liturgicznej jednolitości i może ją zapewnić tylko posoborowa Msza Święta.

Te dwa głosy nie są oczywiście jedyne; zwłaszcza w języku włoskim przeciwko Mszy trydenckiej publikuje się naprawdę dużo tekstów. Tezy wygłoszone przez Holuba i Grilla odzwierciedlają jednak istotę całego problemu. Otóż zdaniem autorów progresywnych po Soborze Watykańskim II doszło de facto do założenia jakiegoś nowego Kościoła, a nowy Kościół musi mieć oczywiście nową liturgię. Co kluczowe, tacy ludzie nie byliby wcale zadowoleni z tego, jak nowa Msza Święta sprawowana jest w większości krajów świata, w tym w Polsce – chcieliby pójść dalej, tak żeby jeszcze bardziej ograniczyć rolę kapłana, dowartościować wiernych, zlikwidować różne „stare" formy pobożności liturgicznej, które przywołują na myśl „trydenckiego ducha"…

Ktoś mógłby powiedzieć, że mamy do czynienia z jakąś dziwaczną ideologią zerwania, zupełnie sprzeczną z tym, jak Kościół katolicki zawsze siebie rozumiał i jak rozumieli go tacy papieże jak Jan Paweł II czy zwłaszcza Benedykt XVI. Na ile to zerwanie jest zakotwiczone w dokumentach soborowych i wypowiedziach Magisterium Kościoła, można byłoby długo dyskutować. Dla naszej problematyki najważniejsze jest stwierdzić, że tacy ludzie jak Holub i Grillo… po prostu istnieją i wywierają rzeczywisty wpływ na horyzont papieskich decyzji.

PAPIEŻ NIE ZADOWOLI WSZYSTKICH

Jeżeli Leon XIV chce zaprowadzić w Kościele katolickim pokój liturgiczny, rozumiany tak, by dogodzić wszystkim, to jest to po prostu niemożliwe. Gdyby Ojciec Święty ogłosił teraz, że wraca do rozwiązań papieża Ratzingera i wymazuje „Traditionis custodes", wściekłość liturgicznych progresistów byłaby przemożna. Krzyczeliby o zdradzie soboru, a jeszcze głośniej – o zdradzie synodalności. Tak było również za Benedykta. Kiedy 7 lipca 2007 r. ogłosił w „Summorum pontificum", że Msza trydencka nie może być zakazana, spadła na niego wielka fala krytyki, we Włoszech i wielu innych krajach świata. Ci, którzy dążyli do ustanowienia całkowitego zerwania pomiędzy Kościołem katolickim przed Soborem Watykańskim II i po nim, poczuli się śmiertelnie zagrożeni. Ukochany projekt ich życia zaczął się chwiać… W sprawie liturgii Benedykt nie kierował się jednak pragnieniem pokoju. Chciał prawdy i jasno stwierdził to w swoim dokumencie. Dlatego jeżeli Leon XIV miałby dokonać naprawy obecnej sytuacji i uwolnić Mszę trydencką, to musi porzucić strategię dogadzania wszystkim, opowiadając się jednoznacznie przeciwko głosicielom „nowego Kościoła", który miał się rzekomo zrodzić w 1965 r. w atmosferze inkluzji i synodalności. Gdyby ważył się na taki krok, byłoby zrozumiałe, że musi poczekać i dobrze przygotować całą operację.

Kluczowe pytanie brzmi zatem: Czy papież Leon XIV jest do tego stopnia przekonany, że trzeba przywrócić swobodę Mszy trydenckiej, iż zaryzykuje dla tego dzieła konflikt z wpływowym środowiskiem liturgicznych progresistów i synodalistów, które znacząco urosło za pontyfikatu Franciszka? Nie mam co do tego przekonania. Jak dotąd Ojciec Święty wypowiedział się na temat zwolenników tradycyjnej liturgii tylko raz, w dużym wywiadzie dla dziennikarki Elise Ann Allen z połowy 2025 r. Zasugerował wówczas, że takim ludziom powinna wystarczyć nowa Msza Święta, ale odprawiana po łacinie. Od początku roku 2026 Leon wygłasza z kolei katechezy na temat Soboru Watykańskiego II. Mówił również o konstytucji „Sacrosanctum concilium", która zainicjowała reformę liturgiczną. Nie wspomniał nawet słowem o możliwości odprawiania liturgii przedsoborowej. Jedyną konkluzją całej tej katechezy było wezwanie do „zachowywania szacunku dla tekstów i norm liturgicznych". Tak naprawdę to powtórzenie tego, co powiedział we wspomnianym wywiadzie: niechże tradycjonaliści sprawują godnie nową liturgię. Czego można chcieć więcej?

FUNDAMENTALNY PODZIAŁ?

Co ostatecznie zrobi Leon, dopiero się okaże; w przypadku liturgii długotrwały brak decyzji również będzie decyzją. Trudno jednak wyrazić jakąś racjonalną aprobatę dla tego, co dzieje się dziś w Kościele wokół Mszy trydenckiej. Ostatecznie rzecz biorąc, liturgia jest kultem Bożym, a nie narzędziem ewangelizacji. Dlaczego nie pozwolić katolikom na to, by chwalili Pana Boga w tradycyjny sposób, tak jak ich przodkowie – i tak jak uważają za słuszne i uroczyste? Jeżeli nawet przyjąć argument progresywny o ewangelizacyjnym potencjale liturgii, to przecież tym bardziej należałoby uwolnić Mszę trydencką, skoro jest tak popularna w wielu krajach świata zachodniego…

Dlatego dalsze trwanie we wrogości do tradycji liturgicznej można wytłumaczyć chyba tylko przekonaniem decydentów o tym, że wraz z Soborem Watykańskim II faktycznie doszło do jakiegoś fundamentalnego zerwania, co wymaga wymyślenia Kościoła na nowo. Pytanie tylko: W jakim celu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2f31385647



Z prof. Mirosławem Szumiłą, historykiem, wykładowcą akademickim, autorem książki „Tajni księża”
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Księża Jozef Šabo i Robert Borík w Pieniężnie, 1964 r.
FOT. ARCHIWUM POLSKIEJ PROWINCJI ZGROMADZENIA SŁOWA BOŻEGO W PIENIĘŻNIE

Ateizm albo śmierć.
Niezwykła historia „tajnych księży”

eprasa.pl 2f31385647

TOMASZ D. KOLANEK: Panie profesorze, czy nie będzie przesadą stwierdzenie, że Kościół w Polsce w latach 1945–1989 nie miał tak źle w porównaniu z tym, co wówczas działo się w Czechosłowacji?

PROF. MIROSŁAW SZUMIŁO: Nie będzie. Mimo wszystkich represji, których doświadczył wówczas Kościół w Polsce, nasza sytuacja była nieporównywalnie lepsza, szczególnie po roku 1956, kiedy nastąpiła u nas pewna „liberalizacja" systemu komunistycznego. W Czechosłowacji zaś odwilż nastąpiła dopiero w czasie Praskiej Wiosny w roku 1968. Przez ten czas Kościół w Polsce miał dużo większe możliwości działania, zachowując niezależność od państwa. Polscy hierarchowie nie dali się podporządkować komunistom. Z kolei w Czechosłowacji w tamtym okresie wciąż trwały aresztowania, procesy sądowe księży i zakonników oraz inne formy prześladowań, łącznie z działalnością tzw. nieznanych sprawców.

Z kolei przed rokiem 1956 komunistyczna ofensywa przeciwko Kościołowi różniła się w obu państwach swoim tempem i zasięgiem. W Polsce do takiego ostatecznego ataku na Kościół doszło w roku 1953, kiedy wszedł w życie dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, kiedy internowano prymasa Wyszyńskiego, kiedy próbowano uzależnić Kościół od państwa. Natomiast w Czechosłowacji tego typu działania rozpoczęły się w roku 1949, kiedy to internowano kard. Josefa Berana w Pradze i rozpoczęto proces podporządkowywania Kościoła państwu, m.in. poprzez zmuszenie księży do tego, żeby składali przysięgę na wierność komunistycznej republice, czy poprzez aresztowania większości biskupów.

O tym, jak bardzo komuniści w Czechosłowacji byli zdeterminowani w walce z Kościołem, chyba najlepiej świadczy to wszystko, co działo się w nocy z 13 na 14 kwietnia 1950 r., kiedy zlikwidowano praktycznie wszystkie zakony, a braci i siostry zakonne internowano w tzw. klasztorach koncentracyjnych.

Skala „barbarzyńskiej nocy", bo tak nazwano tamto tragiczne wydarzenie, była ogromna. Bracia zakonni w Czechosłowacji zostali zamknięci w tzw. klasztorach koncentracyjnych i byli zmuszani przez komunistów do ciężkiej pracy przymusowej. Młodzi zakonnicy zostali wcieleni do służby wojskowej w Pomocniczych Batalionach Technicznych, wykorzystywanych jako tania siła robocza w kopalniach, budownictwie i kamieniołomach.

Cały czas jest dla mnie zastanawiająca determinacja komunistów w Czechosłowacji, którą wykazali się w przeprowadzeniu tej akcji. Przecież przeprowadzenie „barbarzyńskiej nocy" wymagało tygodni, miesięcy starannych przygotowań i mobilizacji ogromnej liczby ludzi. Druga kwestia: Dlaczego w Polsce komuniści nie zdecydowali się na aż tak daleko idące działania? Komuniści nad Wisłą też mieli plany likwidacji klasztorów, ale nieustannie je opóźniali, aż w końcu porzucili w 1956 r.

Być może wynikało to z faktu, że Kościół w Polsce był po prostu zbyt silny i mocno zakorzeniony w społeczeństwie, a w Czechosłowacji okazał się jednak dużo słabszy. Już w okresie międzywojennym w Czechosłowacji, a konkretnie w części czeskiej, utworzono Kościół narodowy, husycki, jako reakcję na wcześniejsze związanie Kościoła z władzami austriackimi. Działo się to pod hasłami „Precz od Wiednia!" i „Precz od Rzymu!", prowadząc do stopniowej ateizacji. Po stronie słowackiej problem polegał zaś na tym, że Kościół był związany z państwem słowackim ks. Jozefa Tisy, co skrupulatnie wykorzystała „czerwona" propaganda, która na lewo i prawo rzucała hasła o „klerofaszystach", czyli księżach powiązanych z faszyzmem, Hitlerem etc.

Tak w bardzo dużym skrócie wyglądała wówczas sytuacja, ale proszę pamiętać, że czynników, które ułatwiały komunistom atak na Kościół w Czechosłowacji, było dużo więcej.

Kim byli „tajni księża", którym poświęcił pan profesor solidną monografię wydaną przez IPN? Zapytam prowokacyjnie: Czy to w ogóle byli księża?

Jak najbardziej...

Ale przecież komuniści w Czechosłowacji stwierdzili, że „tajni księża" zostali „nielegalnie wyświęceni".

Wszystko, co odbywało się w tajemnicy przed komunistami, było dla nich nielegalne.

Po likwidacji klasztorów, aresztowaniu biskupów, podporządkowaniu struktury kościelnej państwu w Czechosłowacji w latach 50. powstał tajny Kościół, czyli równoległa struktura, która działała w zupełnej konspiracji.

Zgodnie już z uprawnieniami nadanymi przez Watykan biskupi czescy i słowaccy mogli wyświęcać potajemnie innych biskupów – swoich następców, którzy po ich aresztowaniu mogli dalej funkcjonować, działać i wyświęcać z kolei księży. Ta działalność była legalna z punktu widzenia Kościoła i Stolicy Apostolskiej.

Wobec ogromnej skali prześladowań Kościoła w Czechosłowacji księża, zakonnicy i kandydaci na kapłanów szukali pomocy i wsparcia w krajach sąsiednich, przede wszystkim w Polsce. Było to możliwe dzięki uruchomieniu wiosną 1956 r. turystycznego ruchu przygranicznego. I w ten sposób pod koniec lat 50. w Polsce zaczęło się tajne wyświęcanie kapłanów z Czechosłowacji przez polskich biskupów. Działo się to w ukryciu przed władzami państwowymi, ale zgodnie ze wszelkimi normami przyjętymi w Kościele, więc te święcenia były jak najbardziej ważne.

Większość wyświęconych przebywała w Polsce bardzo krótko. Wracali oni do swojego kraju, żeby tam prowadzić działalność duszpasterską

Po likwidacji klasztorów, aresztowaniu biskupów, podporządkowaniu struktury kościelnej państwu w Czechosłowacji w latach 50. powstał tajny Kościół, czyli równoległa struktura, która działała w zupełnej konspiracji



„TAJNI KSIĘŻA. HISTORIA NIELEGALNEGO POBYTU SŁOWACKICH WERBISTÓW W POLSCE W LATACH 1957–1964"
IPN 2022

eprasa.pl 2f31385647

w podziemnym, tajnym kościele. Wyjątkiem byli bohaterowie mojej książki „Tajni księża" – trzej słowaccy werbiści: Štefan Horváth, Jozef Šabo i Róbert Borik. Przekroczyli oni nielegalnie granicę i ukrywając się w polskich klasztorach, studiowali potajemnie teologię. Następnie zostali w tajemnicy wyświęceni na księży w Gnieźnie przez bp. Lucjana Bernackiego.

W sumie do 1989 r. w Polsce wyświęcono 53 kapłanów z Czechosłowacji. Część z nich jeszcze w trakcie okresu komunistycznego przechodziła do normalnej, legalnej działalności duszpasterskiej w parafiach i została uznana nawet przez władze czechosłowackie.

Ale w książce „Tajni księża" zwraca pan profesor uwagę, że niektórzy domagali się dla wyświęconych w Polsce kapłanów kary śmierci...

Niestety tak... Nie było to zresztą niczym, jakkolwiek to zabrzmi, nadzwyczajnym. W Czechosłowacji w tamtym czasie organizowano liczne procesy pokazowe, które kończyły się wysokimi karami więzienia dla tych, którzy prowadzili potajemną działalność.

Natomiast w stosunku do tych trzech słowackich werbistów, którym poświęciłem moją książkę, dochodził jeszcze zarzut nielegalnego opuszczenia Republiki.

Jakie działania przeciwko „tajnym księżom" podjęły władze PRL?

Štefan Horváth dosyć szybko został namierzony w Pieniężnie w seminarium werbistów, dlatego że jeden z okolicznych księży, Feliks Kowalik, okazał się donosicielem, tajnym współpracownikiem. Miał pomóc Horváthowi w wyrobieniu fałszywego dowodu osobistego na polskie nazwisko, ale natychmiast doniósł o tym bezpiece.

Z kolei o obecności w PRL Jozefa Šabo i Róberta Borika komuniści dowiedzieli się dosyć późno, a potem przez długi czas nie mogli wpaść na ich trop i nie wiedzieli, gdzie się w ogóle znajdują.

Sprawa była jednak bardzo poważna, ponieważ komuniści dodatkowo wykorzystywali ją do ataku na zakon werbistów i na jego prowincjała, ks. Feliksa Zapłatę. To bardzo ciekawy wątek. Bezpieka mogła zatrzymać Štefana Horvátha dość szybko, ale tego nie zrobiła. Komuniści chcieli rozpracowywać tę sytuację, żeby użyć tego argumentu do zaszantażowania ks. Zapłaty i pozyskania go do współpracy jako TW. Horváth jednak im uciekł sprzed nosa, a esbecy na długi czas stracili za nim trop.

Jozef Šabo „wpadł", próbując uciec z PRL do Szwecji. Został aresztowany na statku w Gdyni w październiku 1962 r. Następnie przetrzymywano go w słynnym więzieniu politycznym na warszawskim Mokotowie. Razem z nim na Rakowiecką trafili wówczas trzej polscy werbiści. Równocześnie komuniści zorganizowali wielką akcję poszukiwawczą pod kryptonimem Werban. Polegała ona na obserwacji klasztorów, inwigilacji, rewizji w klasztorach etc. Zaangażowano ogromne siły i środki do poszukiwania dwóch pozostałych werbistów z Czechosłowacji. Praktycznie cały zakon polskich werbistów, współpracujące z nim zakony żeńskie, wiele polskich rodzin i katolików świeckich, którzy byli zaangażowani w pomoc Słowakom, było pod nieustanną obserwacją i naciskiem bezpieki.

Watykan prawdopodobnie próbował zorganizować ucieczkę słowackich księży z Polski na Zachód, ale ostatecznie te plany nie zostały zrealizowane

Pytanie tylko: Po co? Nie lepiej było „przymknąć oko" i odpuścić? Po co było uruchamiać cały potężny aparat bezpieki? Chodziło przecież tylko o trzy osoby, które w dodatku nie popełniły niczego złego...

To bardzo dobre pytanie. Z dokumentów, do których dotarłem, wynika, że w całej tej sprawie nie chodziło tylko o trzech Słowaków, ale o zakon werbistów w Polsce. Komuniści uznali, że jeśli uda im się skompromitować werbistów, to można będzie przy tym skompromitować cały Kościół oraz prymasa Stefana Wyszyńskiego. Komuniści zamierzali podjąć akcję propagandową, w której ogłosiliby, że nielegalny pobyt obywateli Czechosłowacji w Polsce był tak naprawdę pomysłem władz kościelnych z prymasem na czele.

Mówiąc krótko: komuniści chcieli to przedstawić jako antypaństwową działalność Kościoła. Ostatecznie im się to nie udało. Wówczas przyjęto inne rozwiązanie: skoro nie odnaleziono dwóch pozostałych poszukiwanych, postanowiono podjąć działania mające na celu skłonienie ich do dobrowolnego ujawnienia się. Latem 1964 r., w związku z obietnicą amnestii i pozostania w Polsce, Borik i Horváth zgłosili się na milicję, po czym razem z Šabo zostali deportowani do Czechosłowacji.

Co spotkało „tajnych księży" po powrocie do ojczyzny? Czy rzeczywiście groziła im kara śmierci?

W tym czasie już nie, stopniowo nadchodziła bowiem odwilż w Czechosłowacji. Ponadto ogłoszono amnestię na 20-lecie „zwycięstwa nad faszyzmem". Ostatecznie otrzymali oni łagodne wyroki – od 6 do 10 miesięcy pozbawienia wolności. Po wyjściu z więzienia Borik uciekł do wolnej Austrii, jego współbracia posługiwali jako księża w Czechosłowacji i doczekali upadku komunizmu.

Jak na całą sytuację reagował Watykan? Czy Watykan w ogóle wiedział, co się dzieje?

Watykan był informowany przez władze zakonu werbistów. Oficjalnie nie zajmował żadnego stanowiska. Prawdopodobnie próbował zorganizować ucieczkę słowackich księży z Polski na Zachód, ale ostatecznie te plany nie zostały zrealizowane.

Czy nie jest tak, że dzisiaj sytuacja się powtarza? Mam tutaj na myśli takie kraje jak Chiny, gdzie mamy do czynienia z Kościołem patriotycznym, w pełni uzależnionym od państwa, i Kościołem podziemnym – wiernym Chrystusowi, papieżowi, Rzymowi.

Oczywiście tak jest. Chiny są wciąż państwem komunistycznym i sytuacja jest analogiczna do tej w Czechosłowacji. Obok oficjalnego Kościoła uznawanego i kontrolowanego przez władze w Pekinie istnieje podziemny Kościół z tajnymi księżmi. Więc historia faktycznie się powtarza, ale tym razem na znacznie większą skalę. Według szacunków chiński podziemny Kościół liczy ponad 40 biskupów i nawet kilkanaście milionów wiernych. Prześladowania trwają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



KOMUCHOŻERCA

„Jak my coś chcemy”...

LESZEK ŻEBROWSKI

Dla bardzo wielu historyków skarby leżą nie tylko w archiwach, lecz także nawet w śmietnikach. Oto przykład. Pracownik jednego z towarzystw ubezpieczeniowych wziął list ze stosu makulatury, to był rok 1938. Wtedy nie było niszczarek, RODO itp. Zaintrygowała go treść, sam nic nie mógł z tym zrobić i po kilkudziesięciu latach przekazał go mnie, z prośbą, aby to wykorzystać. Co też bardzo chętnie czynię.

Rzecz dotyczy Riunione Adriatica di Sicurta (Włoska Spółka Akcyjna). Autorem niezwykłego listu jest osoba dziś nam już nieznana, a sprawa dotyczy jego szwagierki, niejakiej M. Frenkiel z Łodzi. Była ona właścicielką fabryki pudełek i opłacała składki za ubezpieczenie swego interesu w powyższej firmie. Może przez niedopatrzenie lub też „oszczędność” nie zmieniła zasad ubezpieczenia zgodnie z obowiązującą procedurą w przewidzianym terminie na następne dziesięciolecie i została wezwana do opłacania składki znacznie wyższej. I zrobił się dramat... Autor listu zaczyna od opisu tej „dramatycznej” sytuacji swego szwagrostwa i stwierdza wprost: „Szwagrowie moi ciężko na chleb pracują i ledwie wyżyć mogą, zwracam się do Was jak zawsze (jak bieda, to do żyda) o pomoc”. Ot, sprawa, jakich wiele, i w sumie nie byłaby godna uwagi, gdyby nie... No właśnie. Zaniedbania tego typu zdarzają się zawsze i tylko czasem ubezpieczyciel idzie klientce/klientowi na rękę, odnosząc się do przedstawionych argumentów. Mogą nimi być np. stan zdrowia klienta, długi pobyt za granicą itp. Ale w innych przypadkach płacić trzeba.

Szwagierka autora listu do Towarzystwa Ubezpieczeń w Tryjeście (Oddział w Krakowie), nie mogąc się pogodzić, że przez własne niedopatrzenie (lub wątpliwą oszczędność) będzie zmuszona opłacać wyższe składki, interweniuje po linii rodzinnej („jak bieda...”). Nie wiemy, jak ostatecznie sprawa została załatwiona. Archiwalny „śmietnik” już nam tego nie powie i upływ prawie dziewięciu dekad zrobił swoje. Jakaś nauka jednak z tego płynie, kto i jak załatwia swoje sprawy pozamerytorycznie. Mamy bowiem do wyboru: siłę argumentów (co byłoby jak najbardziej zrozumiałe) i argument siły.

Autor wybrał jedno z tych rozwiązań: „Nie widzę potrzeby Wam, jako staremu wydze, tłumaczyć, że jak my coś chcemy, to mimo wszelkich przeszkód wszystko potrafimy przeprowadzić, i dlatego proszę Was, nie róbcie jej krzywdy i przeprowadźcie tak, aby nie płaciła drożej jak poprzednio”. Znając praktykę podejścia do takich spraw, pewnie przeważył argument siły, czyli delikatne przypomnienie, że „jak my czegoś chcemy”... Między innymi stąd się biorą przeróżne teorie spiskowe? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bombowiec z ulicy Miodowej

SŁAWOMIR KOPER

Jedyną formą pomocy, której alianci zachodni mogli udzielić walczącej Warszawie, były lotnicze zrzuty zaopatrzenia. Było to jednak poważne wyzwanie logistyczne, gdyż Warszawa znajdowała się na granicy zasięgu samolotów operujących z bazy w Brindisi we Włoszech, a Sowieci odmówili zgody na międzylądowania na swoich lotniskach. Maszyny musiały pokonać nad terytorium wroga bez tankowania ponad 2,6 tys. km, a zdarzało się, że ostrzeliwała je także sowiecka artyleria przeciwlotnicza. Pomimo poważnych strat zorganizowano 20 tego rodzaju ekspedycji.

W nocy z 14 na 15 sierpnia 1944 r. przy ul. Miodowej rozbił się zestrzelony przez Niemców południowoafrykański (?) B-24 Liberator. Płonącej maszynie zabrakło 100 m do Pl. Krasińskich wyznaczonego na miejsce zrzutu. Powstańcy wyciągnęli z wraku siedmiu zmiażdżonych i na wpół spalonych lotników, których potem pochowano w sąsiedztwie kościoła przy Długiej. Nie jest prawdą informacja, że jeden z członków załogi przeżył katastrofę i zmarł kilka godzin później.

Tragedia przy Miodowej do dzisiaj jest przedmiotem dyskusji. Sugerowano, że załogę samolotu stanowili Polacy lub Kanadyjczycy, niektórzy twierdzili również, że rozbił się bombowiec typu Halifax, a nie Liberator. Na pewno jednak eksplozja zbiorników z paliwem zrujnowała dwie kamienice.

W zachowanych wspomnieniach powtarzały się również informacje o wymontowaniu z wraku samolotu sprawnego działka (!) czy też karabinu maszynowego użytego następnie w walce. Podobno były to działko kalibru 22 mm oraz taśmy z amunicją zawierające ok. 200 pocisków. Broń była nieco uszkodzona, ale można było z niej strzelać ogniem pojedynczym.

Jednak żaden z samolotów zrzucających zaopatrzenie nad Warszawą nie był uzbrojony w działka. Podany kaliber również nie odpowiadał standardom stosowanym przez aliantów, zapewne zatem chodziło o wielkokalibrowy karabin maszynowy 12,7 mm, gdyż w broń tego typu uzbrojone były Liberatory. Ale inny uczestnik walk, Jerzy Zarębski („Bazylewicz”), również twierdził, że chodziło o działko. Pomagał przy jego przenoszeniu i zapamiętał, że „było potężne”, miało „długą, osmaloną pożarem lufę” i „wielki, masywny zamek”. On także uważał, że sprzęt został wymontowany z Halifaxa, a nie z Liberatora.

Pochodząca z wraku broń (bez względu na jej rodzaj) była dla powstańców nieocenioną pomocą. Niestety, nie cieszyli się nią długo, wkrótce bowiem zabrakło amunicji i z żalem musieli ją porzucić. ©℗

eprasa.pl 2f31385647

Janczarzy Putina



Maciej Pieczyński

Czeczenia jest oczkiem w głowie Putina. Perłą w jego carskiej koronie. Symbolem politycznego sukcesu władcy Kremla. Sukcesu, do którego kluczem jest brutalna skuteczność klanu Kadyrowów

Ramzan Kadyrow w październiku skończy 50 lat, z których 19 przeżył jako dyktator Czeczenii. Miesiąc wcześniej zostanie po raz kolejny wybrany na szefa republiki. Jedyne, co może mu w tym przeszkodzić, to gwałtowne pogorszenie stanu i tak słabego zdrowia, względnie: ukraiński zamach. A Kadyrow jest Putinowi bardzo potrzebny. Podobnie jak jego synowie, którzy są typowani na naturalnych następców tronu.

Czeczenia przypomina karykaturę Rosji. Dyktatura, kult jednostki, fałszerstwa wyborcze, mordy polityczne, propaganda, prześladowanie opozycji, promowanie niektórych konserwatywnych wartości – wszystko jest tu podobnie jak w państwie Putina, tyle że 100 razy bardziej, radykalniej, absurdalniej. Rosja przy Czeczenii wygląda niemal jak zachodnia demokracja liberalna. We wrześniu odbędą się trzecie wybory na szefa republiki, w których startuje Ramzan Kadyrow. W 2016 r. zdobył 98 proc. głosów. W 2021 r. – 99,7 proc. Prawdopodobnie pobije ten „rekord". Przecież nie może się okazać, że spadło mu poparcie! Oczywiście, nie ma mowy o niezależnych obserwatorach. Władze raportują o braku jakichkolwiek incydentów, naruszających przebieg wyborczych procedur. Do urn siłą zaciągani są pracownicy budżetówki. Fałszerstwa wyborcze prowadzone są na masową skalę. Dotyczy to nie tylko głosowań w ramach republiki. Kadyrow dba również o wyniki swojego patrona. Podczas wyborów prezydenckich w marcu 2024 r. Putin zdobył w Czeczenii 98,99 proc. głosów. Przy czym naiwnością byłoby twierdzenie, że absolutna większość mieszkańców nienawidzi obu przywódców, a wyniki



We wrześniu odbędą się trzecie wybory na szefa republiki, w których startuje Ramzan Kadyrow FOT. MIKHAIL METZEL/POOL/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2f31385647

nie mają kompletnie nic wspólnego z realnym poparciem. Putin zrównał Czeczenię z ziemią, ale nadał jej też sporą autonomię wewnętrzną – pod butem klanu Kadyrowów, ale jednak. Ponadto zalał tę kaukaską republikę pieniędzmi. Część środków trafiła do prywatnych kieszeni dyktatora i jego rodziny, część – na odbudowę ze zniszczeń czy na rozbudowę Groznego. W 2024 r. Czeczenia otrzymała z Moskwy ok. 121 mld rubli (ok. 5,64 mld zł), co stanowiło 82 proc. jej dochodów budżetowych.

SCHOROWANY CAR I WYŚCIG NASTĘPCÓW

Ramzan Kadyrow wieczny nie będzie. Pogłoski o jego fatalnym stanie zdrowia słychać od dawna (co najmniej od 2019 r.). Inaczej niż w przypadku Putina nie są one mocno przesadzone. Spekulowano o zapaleniu trzustki czy niewydolności nerek. Dyktator miał być poddawany dializom. To wszystko jedynie niepotwierdzone oficjalnie doniesienia medialne. Kadyrow kategorycznie zaprzecza, choć faktem jest, że coraz rzadziej pokazuje się publicznie. Niezależnie od tego, ile prawdy jest w tych doniesieniach, akurat mniej więcej w czasie, gdy się one pojawiły, dyktator zaczął mocniej konsolidować wpływy w rękach swojej rodziny. Ojciec Ramzana, Achmat, był pierwszym, wyznaczonym przez Putina, przywódcą republiki. Celem obecnego dyktatora jest utrzymanie władzy w rękach klanu Kadyrowów. Kluczowa jest kwestia następcy. Przez dłuższy czas faworytem do tej roli był Adam Kadyrow. Rocznik 2007. W wieku 15 lat stanął na czele Departamentu Bezpieczeństwa Szefa Republiki. W tym samym roku został kuratorem batalionu im. szejka Mansura, który krótko przedtem powstał. W kwietniu 2025 r. mianowany sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Czeczenii. Miał wtedy zaledwie 18 lat. Oficjalnie jego matką jest żona Ramzana Medni Kadyrowa. Jak jednak wynika ze śledztwa dziennikarskiego, przeprowadzonego przez portal Proekt.media, tak naprawdę jest synem Zamiry Dżabrailowej. W wieku 14 lat wygrała ona jedyny w historii konkurs Miss Czeczenii. Półtora roku później urodziła przywódcy kraju potencjalnego następcę tronu. W 2022 r. w tajemniczych okolicznościach zginęło dwóch bliskich współpracowników Adama Kadyrowa. Pierwszym był Abdulkerim Ediłow, zawodnik MMA, który trenował synów dyktatora, za co został wicepremierem. Drugim był osobisty ochroniarz Adama, Murat Agmierzojew pseudonim Bars. Być może padli ofiarą zemsty młodego Kadyrowa. Za co? Proekt.media wskazuje na dwie wersje, krążące na obrzeżach czeczeńskiego Internetu. Albo przeoczyli uzależnienie następcy tronu od narkotyków, pod których wpływem spowodował śmiertelny wypadek samochodowy, albo ochroniarze i syn Kadyrowa okazali się gejami. To oczywiście plotki, których nie da się zweryfikować, ale które zarazem godzą w dobre imię rządzącego klanu. Kadyrow konsekwentnie i brutalnie prześladuje zarówno narkomanów, jak i homoseksualistów. Możliwe więc, że wystarczył sam cień podejrzeń, aby Ediłow i Agmierzojew zapłacili życiem za obraźliwe pogłoski.

PRAWO PIĘŚCI

Adam Kadyrow od dzieciństwa trenuje bodaj najpopularniejszy w Czeczenii sport, czyli MMA – mieszane sztuki walki. W wieku ośmiu lat wziął udział w Grand Prix „Achmat" w Groznym. Stoczył zwycięski (zdaniem sędziów) pojedynek z Dawidem Chałatowem z Osetii Północnej, z którym podczas ważenia wdał się w bójkę. Było to złamanie przepisów federacji MMA, które zabraniają organizacji walk dzieci poniżej 14. roku życia. Władze w Groznym spotkała fala krytyki ze strony wpływowych postaci rosyjskiego sportu, w tym ze strony szefa Rosyjskiej Unii MMA Fiodora Jemielianienki. W odpowiedzi zarząd klubu sportowego Achmat zażądał przeprosin. Czeczeńscy urzędnicy w Internecie obrzucali Jemielianienkę stekiem wyzwisk. Ostatecznie rosyjskie Ministerstwo Sportu przeprowadziło dochodzenie, które wykazało, że udział dzieci w turnieju MMA naruszał zasady tej dyscypliny. Nikt jednak nie poniósł żadnej kary, a młody Kadyrow swoją karierę w ringu kontynuował. W 2018 r., w wieku 11 lat, wygrał walkę kickboxingową z rówieśnikiem Ałanem Biejczekujewem. Przegrany przeciwnik po wszystkim otrzymał od Fundacji Charytatywnej im. Achmata Kadyrowa 100 tys. rubli, co najpewniej tłumaczy okoliczności „zwycięstwa". To nie koniec wątpliwych sukcesów, odniesionych przez syna dyktatora na ringu przed 14. rokiem życia. W 2020 r., w ramach turnieju bokserskiego „Time of Legends", skrzyżował rękawice z Mukisą Ukashą. Ugandyjczyk w pierwszej rundzie prawie nie atakował, w drugiej zaś nagle, nie wskutek zadanego ciosu, tylko sam z siebie, klęknął i nie podnosił się przez 10 sekund, pozwalając sędziemu ogłosić zwycięstwo przeciwnika. Rok później doszło do jeszcze dziwniejszej sytuacji. Bliski przerwania zwycięskiej passy Adama Kadyrowa był Asłan Bittirow. Miał sporą przewagę. Jednak 11 sekund przed końcem drugiej rundy sędzia nagle złapał Bittirowa za rękę i zaczął odliczać, choć zawodnik chciał dalej walczyć. Ostatecznie syn czeczeńskiego przywódcy wygrał przez techniczny nokaut. Po raz kolejny wybuchł ogromny skandal, za który po raz kolejny nikt nie odpowiedział.

Najbardziej znana bójka z udziałem Adama Kadyrowa miała miejsce poza ringiem. Była równie nieuczciwa i jednostronna jak te, które stoczył oficjalnie jako sportowiec. W 2023 r. 19-letni Nikita Żurawel w Wołgogradu został zatrzymany za publiczne spalenie Koranu. Bez jakichkolwiek podstaw prawnych trafił do aresztu w Czeczenii. W celi „odwiedził" go sam przywódca republiki wraz z synem. Adam skatował więźnia, a dumny ojciec nagrał pobicie i opublikował na swoim Telegramie. Niespełna 16-letni dziedzic czeczeńskiego tronu nie tylko nie został za to ukarany, lecz także nagrodzony. Niedługo po wymierzeniu „sprawiedliwości" za obrazę uczuć religijnych otrzymał dziewięć odznaczeń w różnych, tradycyjnie muzułmańskich regionach Rosji. Wreszcie sam ojciec nagrodził go stanowiskiem szefa służby bezpieczeństwa właśnie po tym incydencie.

W styczniu tego roku Adam Kadyrow uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu, który sam spowodował. Jechał przez centrum Groznego na czele kolumny aut z ogromną prędkością. W pewnym momencie stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w ogrodzenie. W efekcie doszło do karambolu – jadące za Kadyrowem juniorem samochody zaczęły się ze sobą zderzać. Syn dyktatora został przewieziony samolotem rosyjskiego

eprasa.pl 2f31385647

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do Moskwy. Władze republiki oficjalnie wszystkiemu zaprzeczały. Kilkanaście godzin po wypadku Ramzan Kadyrow opublikował na Telegramie nagranie, na którym widać, jak jego syn, jako sekretarz Rady Bezpieczeństwa, prowadzi posiedzenie szefów resortów siłowych. Co więcej, na tym posiedzeniu syn czeczeńskiego przywódcy otrzymał kolejne odznaczenie – tym razem za ochronę Zaporoskiej Elektrowni Atomowej oraz za wkład w zwiększenie bezpieczeństwa elektrowni atomowych w ogóle. Metadane dowodzą jednak, że film został nagrany jeszcze przed wypadkiem.

Jak informuje „Nowaja gazieta. Jewropa", w rezultacie wypadku lekarze usunęli synowi Kadyrowa śledzionę. Z powodu uszkodzenia nerwu młody polityk może też oślepnąć na jedno oko. To wciąż informacje nieoficjalne. Ze śledztwa tego samego medium wynika, że ulubiony syn dyktatora popadł w niełaskę. Rolę potencjalnego następcy przejął starszy brat Adama – Achmat (rocznik 2005). Do tej pory pozostawał w cieniu. Po wypadku Adama to on zaczął pojawiać się podczas publicznych wydarzeń u boku swojego ojca. O Achmacie chodziły słuchy, że jest… opóźniony w rozwoju. Źródła „Nowej gaziety. Jewropa" wskazują, że choć jest wyciszony, nieśmiały i panicznie boi się wystąpień publicznych, to jednak inteligencją przewyższa swoich braci. Świetnie gra w szachy i jako jedyny syn Kadyrowa naprawdę ukończył szkołę średnią, a nie dostał, jak inni, matury za samo nazwisko.

To, że Achmat pozostawał dotychczas w cieniu, nie oznacza, że nie robił kariery. W 2022 r., w wieku 17 lat, został doradcą szefa republiki. W kolejnych latach pełnił funkcje wiceministra, ministra kultury fizycznej i sportu, ministra do spraw młodzieży, a od stycznia br. jest dodatkowo wicepremierem. Podobnie jak Adam, od najmłodszych lat trenował mieszane sztuki walki. Również odnosił zwycięstwa, ale nie były one aż tak groteskowe.

Ramzan Kadyrow ma łącznie 12 biologicznych dzieci oraz dwóch przysposobionych synów. Oprócz wspomnianych Adama i Achmata największą rolę odgrywają Zelimchan oraz córki: Aiszat, Chadiżat, Chutmat i Tabarik. Ramzan zaaranżował im małżeństwa, zawarte przed osiągnięciem wymaganego przez rosyjskie prawo wieku, z dziećmi lub krewnymi swoich najważniejszych współpracowników. Oplatającą Czeczenię siatkę wpływów rodziny Kadyrowów wyśledził i przeanalizował Ośrodek Studiów Wschodnich. Dziewiętnastoletni Zelimchan od dwóch lat stoi na czele klubu sportowego Achmat oraz Federacji Boksu Republiki Czeczeńskiej. Córki Kadyrowa zajmowały początkowo stanowiska polityczne. W 2025 r. Ramzan postanowił je z tych stanowisk przesunąć (ustąpiły miejsca swoim mężom) do biznesu. Teraz stoją na czele firm, czego nie mogłyby robić, będąc urzędniczkami państwowymi. Aiszat (rocznik 1998) jest właścicielką Czeczeńskich Wód Mineralnych (największego eksportera w republice). Jej mąż, Wichcan Macujew, jest wicepremierem i ministrem rolnictwa (pierwszą z tych funkcji pełniła wcześniej jego żona). Dwudziestodwuletnia Tabarik jest właścicielką aż 12 przedsiębiorstw. Jej mąż, Ramzan Wismuradow, pełni funkcję ministra do spraw młodzieży, a teść Abuzaid Wismuradow – wicepremiera do spraw organów siłowych.

MOSKIEWSKI DYLEMAT

Czy w tym gronie, oprócz Adama i Achmata, znajdują się potencjalni pretendenci do schedy po Ramzanie? Możliwe. Giełda nazwisk obejmuje także obecnego premiera Magomeda Daudowa oraz Adama Dielimchanowa – deputowanego do Dumy Państwowej, kuzyna Ramzana. Daudow był wcześniej przewodniczącym parlamentu. Od 2022 r. jest sekretarzem czeczeńskiego oddziału prezydenckiej partii Jedna Rosja. Roman Badanin i Michaił Magłow z portalu Proekt.media opisują zaskakujące okoliczności, w jakich Daudow stał się poplecznikiem klanu Kadyrowów. Na początku drugiej wojny czeczeńskiej walczył przeciwko Rosji. Podczas jednej z bitew kadyrowcy wzięli go do niewoli i przywieźli w bagażniku na spotkanie z Ramzanem. W efekcie Daudow zmienił front. – Przysiągł wierność nowemu panu. Od tej pory wykonuje dla niego brudną robotę – piszą Badanin i Magłow. Daudow odpowiadał za represje polityczne. Kierował m.in. kampanią zastraszania i zabijania czeczeńskich gejów. Dielimchanow, podobnie jak Daudow, początkowo walczył po stronie czeczeńskich separatystów. Był osobistym kierowcą jednego z watażków. Na początku drugiej wojny czeczeńskiej przeszedł na stronę Kadyrowów. Daudow wykonuje brudną robotę na terenie republiki, Dielimchanow – poza jej granicami. Organizował mordy polityczne, kierował też siłowym, nielegalnym przejmowaniem prywatnych firm na terenie całej Rosji. Dielimchanow ma dobre kontakty ze światem przestępczości zorganizowanej.

Choć Czeczenia jest państwem w państwie, to jednak nie jest monarchią dziedziczną. Ramzan Kadyrow nie może jednoosobowo namaścić czy to któregoś ze swoich synów, czy to któregoś ze współpracowników oficjalnie na swojego następcę. Potrzebna będzie zgoda Moskwy. Jak analizuje Miłosz Bartosiewicz z OSW, z punktu widzenia Kremla dobrym wyborem byłoby postawienie na czele republiki kogoś z otoczenia Kadyrowa, ale nieskompromitowanego w skali Rosji i bardziej sterowalnego, co zmniejsza szanse Dielimchanowa, premiuje zaś Daudowa. Niezależnie od tego, czy zmiana u steru w Groznym będzie konieczna niebawem (w związku z chorobą lub śmiercią dyktatora) czy też jest to bardziej odległa perspektywa, prędzej czy później Moskwa stanie przed dylematem. Albo zachować szeroką autonomię elity rządzącej republiką, albo wykorzystać sytuację, by tę autonomię ograniczyć. Drugi wariant byłby zgodny z aktualną tendencją dla centralizacji. Putin dąży do zwiększenia kontroli nad regionami, tak aby Rosja była federacją tylko z nazwy. Poza tym Kadyrowowie w elitach rosyjskich mają wielu wrogów, którzy mają dość bezkarności regionalnego watażki. Z punktu widzenia Putina bardziej rozsądny wydaje się jednak pierwszy wariant. Czeczenia ostatecznie ukorzyła się przed Moskwą również dlatego, że w zamian otrzymała autonomię. Między 1989 a 2010 r. odsetek Rosjan w republice spadł z 23 do ok. 2 proc. 96 proc. mieszkańców to muzułmanie. Próba ponownej rusyfikacji mogłaby doprowadzić do rozbudzenia na nowo nastrojów separatystycznych. Czeczenią wygodniej rządzić rękami Czeczenów. Nawet jeśli ceną za to jest ich bezkarność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

KAPIBARY W PARLAMENCIE

Do siedziby Zgromadzenia Ustawodawczego brazylijskiego stanu Mato Grosso w Cuiabie wtargnęły kapibary. Trwało głosowanie, kiedy gryzonie spokojnie weszły frontowymi drzwiami, chwilowo rozpraszając uwagę deputowanych. Budynek graniczy z parkiem pełnym dzikiej przyrody, stąd częste wizyty tych zwierząt. Pracownicy lokalnego parlamentu są zatem do takich sytuacji przyzwyczajeni. Kapibary szkód nie spowodowały.



FOT. WRAL TV/FACEBOOK

BITNI PODRÓŻNI

Kolejki do odprawy na lotnisku bywają dla wielu podróżnych wyczerpującym sprawdzianem cierpliwości. Przekonali się o tym uczestnicy bijatyki, do której doszło w Norymberdze. Na tamtejszym lotnisku dwie grupy (łącznie ok. 20 osób) pokłóciły się o miejsca w kolejce. Zaczęło się od tego, że 29-letni Turek rzekomo uderzył w twarz 43-letniego rodaka. To wywołało awanturę – obie grupy rzuciły się na siebie. Policja spisała uczestników i zabezpieczyła nagrania. Wezwano karetkę, ale nikt nie trafił do szpitala. Część osób została wykluczona z lotu.

AUTO W ŚCIANIE

W Backnang (Badenia-Wirtembergia) siedząca za kierownicą Mercedesa klasy E kobieta chciała zaparkować pojazd na zabudowanym parkingu. Zsunęła nogę z hamulca na gaz i wcisnęła go do końca. Auto uderzyło tyłem przez ceglaną ścianę i utknęło w połowie. Kobieta nie mogła wysiąść – drzwi były zablokowane. Z samochodu wyciągnęła ją dopiero straż pożarna. Kobieta nie odniosła obrażeń.

670 TYS. EURO

Plażowicze na Sycylii cieszyli się wakacjami, gdy nagle w wodzie pojawiły się paczki banknotów. Ludzie rzucili się do wody, odważnie je łapali i chowali do kieszeni. W sumie wyłowiono 670 tys. euro! Okazało się, że były one przemycane przez trzech Maltańczyków motorówką, która się popsuła z powodu awarii silnika. Ostatecznie pieniądze skonfiskowała policja, a prokuratura w tej sprawie prowadzi śledztwo.

SUGESTIA AI

Czy sztuczna inteligencja może uratować życie? Odpowiedź na to pytanie padła w Solingen (Nadrenia Północna-Westfalia). Pięciu mieszkańców kamienicy w tym mieście nagle dostało zawrotów i bólów głowy. Zapytali AI o przyczynę – ta zasugerowała zatrucie tlenkiem węgla. Wezwano straż pożarną. Ta nie wykryła substancji zasugerowanej przez sztuczną inteligencję. Okazało się jednak, że tlenek węgla był we krwi skarżących się na złe samopoczucie osób. W efekcie dom ewakuowano, a gaz wyłączono. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Widmo blackoutu

Potężne upały, które odczuwane są w wielu krajach Europy, sprawiły, że rośnie popyt na wakacje w chłodniejszych miejscach (moda na tzw. coolcation jest korzystna dla Islandii, Finlandii czy Norwegii, a także dla Polski).

Ostatnie tygodnie były jednak wyjątkowo gorące zarówno na południu Starego Kontynentu, jak i w Europie Środkowej. Susza na Dunaju sprawiła, że pierwszy raz w 44-letniej historii węgierskiej elektrowni atomowej Paks władze podjęły decyzję o jej wyłączeniu. Rekordowo niski poziom wody nie pozwala bowiem na odpowiednie chłodzenie reaktorów. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", wyłączono już trzy z czterech turbin, a elektrownia pracowała z wydajnością zaledwie 10 proc. Potężne problemy tego lata mają nie tylko Węgrzy (ich kraj musi nocą importować aż 60 proc. zużywanej energii), lecz także Rumuni, Słoweńcy, Serbowie czy Bośniacy.

Polska na swoją pierwszą elektrownię jądrową wciąż czeka – choć jej uruchomienie planuje się od lat 70. XX w. Małe reaktory modułowe (tzw. SMR-y) mają być gotowe na początku lat 30. XXI w., ale ani one, ani OZE, ani nawet potężna elektrownia atomowa nie zapewnią całkowitego bezpieczeństwa krajowemu systemowi energetycznemu. Obecny kryzys w Europie pokazuje jasno: najważniejsza jest dywersyfikacja. Tylko różnego typu źródła energii – w tym elektrownie konwencjonalne – mogą uchronić nas przed widmem blackoutu. I tu nie chodzi o lewicową czy prawicową ideologię. To wyłącznie kwestia naszego bezpieczeństwa i właściwego zarządzania ryzykiem...

eprasa.pl 2f31385647

Najbardziej lubiany prezydent na świecie



Jakub Wozinski

Prezydent Salwadoru Nayib Bukele dosłownie zdławił całą zorganizowaną przestępczość w swoim kraju, czym zaskarbił sobie rekordową popularność. Pomimo tego ewidentnego sukcesu jego rządy stoją pod znakiem sporych kontrowersji

Pierwszą i najbardziej oczywistą z nich jest już choćby sam fakt, że Bukele objął w 2024 r. roku urząd prezydenta po raz drugi, mimo że salwadorska konstytucja wyraźnie tego zakazuje. Po raz pierwszy został wybrany w 2019 r., lecz tuż przed końcem kadencji oficjalnie zrezygnował z urzędu i dzięki mocno naciąganej interpretacji prawa konstytucyjnego przeforsowanej przez sprzyjający mu Sąd Najwyższy ogłosił swoją kandydaturę w kolejnych wyborach. Wyborcy nie mieli nic przeciwko temu, ponieważ aż 85 proc. zagłosowało za jego reelekcją.

MIASTO BITCOINA

Nayib Bukele zbliżył się w ten sposób do wyników, które regularnie osiąga Alaksandr Łukaszenka, lecz – o dziwo – stosowane przez niego metody sprawowania władzy krańcowo różnią się od tych, które spotyka się na Białorusi. Liczący 45 lat polityk to zwolennik wolności rozumianej na modłę zachodnią, w tym przede wszystkim wielki entuzjasta kryptowalut. Początkowo wydawało się wręcz, że prawdziwym znakiem rozpoznawczym jego rządów będą bitcoin i inne alternatywne cyfrowe środki płatnicze.

Pierwotny plan Bukelego zakładał utworzenie tzw. Bitcoin City, w którym energia do kopania bitcoinów miała pochodzić ze źródeł geotermalnych wulkanu Conchagua. W regionie La Union miał zostać zbudowany od podstaw kompleks miejski, którego mieszkańcy byliby zwolnieni ze wszystkich podatków z wyjątkiem VAT i za wszystko płaciliby przy pomocy bitcoinów. W kształcie bitcoina miał być nawet centralny plac Bitcoin City.

We wrześniu 2021 r. Nayib Bukele uczynił bitcoina legalnym środkiem płatniczym, ustanawiając tym samym światowy precedens w tym zakresie. W Salwadorze bitcoin odgrywa także rolę waluty rezerwowej, a w marcu tego roku jego udział w całkowitych rezerwach banku centralnego wynosił aż 15 proc. Szacuje się, że latynoskie państewko posiada obecnie ok. 6,1 tys. jednostek najbardziej popularnego na świecie cyfrowego aktywa.

Mimo wszystko wielkie plany związane z uczynieniem kryptowalut podstawowego środka płatniczego w Salwadorze spaliły jednak na panewce. Bukele chciał, aby wszyscy mieszkańcy kraju korzystali

eprasa.pl 2f31385647


FOT. AL DRAGO/REUTERS/FORUM

ze specjalnej aplikacji na smartfony, umożliwiającej szybkie przekazy pieniężne, lecz okazała się ona niewypałem. Z kolei Bitcoin City nigdy nie powstało i pozostała po nim jedynie futurystyczna wizja kolistego ośrodka miejskiego, spełniającego wszelkie marzenia o zrównoważonym ładzie i cyfrowym zarządzaniu.

NAJPIERW BEZPIECZEŃSTWO

Idea bitcoinizacji Salwadoru i przekształcenia go w kryptowalutowy raj inwestycyjny od początku budziła liczne zastrzeżenia. Trudno bowiem było sobie wyobrazić, aby inwestorzy z innych krajów tłumnie przybyli do kraju, który wręcz słynął z ogromnej przestępczości i którego ludność nieustannie ubożała, nękana przez liczne gangi. Bukele już na samym wstępie musiał więc zająć się plagą zabójstw, napadów i gwałtów, które paraliżowały rozwój liczącego ok. 6,3 mln mieszkańców kraju. Sukcesy w tym zakresie okazały się tak znaczące, że pozwoliły skutecznie zatrzeć pamięć społeczeństwa o eksperymentalnym mieście zlokalizowanym u podnóża wulkanu.

Początkowe lata kariery politycznej Nayiba Bukelego w ogóle nie zdradzały tego, że może się kiedyś stać tak skutecznym pogromcą przestępczości zorganizowanej. Urodził się w zamożnej jak na salwadorskie warunki rodzinie, która na początku XX w. przybyła do Ameryki Łacińskiej aż z Palestyny. Dziadkowie Bukelego byli chrześcijanami, którzy zbiegli przed prześladowaniami muzułmanów, lecz – o dziwo – ich syn przeszedł na Salwadorze właśnie na islam. Jedna z jego sześciu żon, zachowująca wciąż wiarę katolicką, urodziła Nayiba.

W kraju takim jak Salwador trudno dystansować się od polityki. W latach 1979–1992 trwała tam krwawa wojna domowa między proamerykańską juntą a wspieranymi przez Sowietów formacjami Frontu Wyzwolenia Narodowego. Urodzony w 1981 r. Bukele swoje pierwsze kroki w polityce stawiał właśnie w lewicowym Froncie, który na początku ubiegłej dekady szukał nowych twarzy, niekojarzących się z dramatycznym konfliktem. W takich oto okolicznościach liczący zaledwie 30 lat lewicowy działacz został wybrany na burmistrza miasta Nuevo Cuscatlán.

Młodzian bardzo szybko udowodnił, że świetnie radzi sobie na piastowanym stanowisku i błyskawicznie zdobywa popularność. Gdy zatem w 2015 r. odbywały się kolejne wybory samorządowe, lewicowy Front poparł jego kandydaturę w wyścigu o fotel burmistrza stołecznego San Salvador. Bukele odniósł kolejne zwycięstwo i wiadomo było już, że na tym jego polityczna kariera się nie skończy.

Już wtedy zaznaczały się jednak coraz liczniejsze różnice światopoglądowe między nim a resztą partii. W 2017 r. wyrzucono go z Frontu Wyzwolenia Narodowego za zbyt śmiałą krytykę jej przywództwa. Wkrótce potem Bukele założył własną partię Nuevas Ideas (Nowe Idee), która w rekordowo szybkim czasie zrewolucjonizowała całą salwadorską scenę polityczną. W przeprowadzonych w 2021 r. wyborach parlamentarnych partia ta zdobyła ponad dwie trzecie głosów, zabezpieczając sobie aż 56 mandatów w liczącym 84 osób parlamencie. Dominujące dotychczas w krajowej polityce główne partie prawicowe i lewicowe zdobyły odpowiednio 14 i 4 mandaty.

Światowe media, analizując przyczyny ogromnej popularności Nayiba Bukelego, wskazują niezmiennie jego ogromne sukcesy w walce z przestępczością zorganizowaną

Sukces partii Nueva Ideas był niemal naturalną konsekwencją powszechnego zadowolenia ze sposobu, w jaki Nayib Bukele sprawował od 2019 r. urząd prezydencki. Wybory wygrał już w pierwszej turze, zgarniając 53 proc. głosów. Oznacza to, że praktycznie od 2012 r. polityk ten nie zanotował jeszcze żadnego regresu popularności, co w warunkach demokratycznych jest absolutnym ewenementem na skalę światową. Obecnie w sondażach poparcie dla niego wyraża nawet 91 proc. mieszkańców kraju.

MEGAWIĘZIENIE BUKELEGO

Światowe media, analizując przyczyny ogromnej popularności Nayiba Bukelego, wskazują niezmiennie jego ogromne sukcesy w walce z przestępczością zorganizowaną. Jeszcze w 2015 r. Salwador był krajem z najwyższą liczbą zabójstw przypadających na 100 tys. mieszkańców, bijąc w tym względzie na głowę nawet posiadające najgorszą sławę w tym zakresie państwa regionu, takie jak Meksyk czy Kolumbia. W 2025 r. to samo państwo zdołało zredukować wartość tego wskaźnika do rekordowo niskiego poziomu, ustępując jedynie takim krajom jak San Marino czy Wyspy Owcze.

Ujmując rzecz w największym skrócie, Bukele zdołał w ciągu sześciu lat swoich rządów zamknąć praktycznie całą populację gangów terroryzujących cały

eprasa.pl 2f31385647

Salwador w superwięzieniu o nazwie CECOT (Centrum Odosobnienia Terroryzmu). O placówce, w której umieszczono już ponad 80 tys. osób, mówi się też czasami jako o „megawięzieniu Bukelego". Na dostępnych w sieci nagraniach z CECOT obejrzeć można, jak wytatuowani na całym ciele członkowie gangów posłusznie wykonują zlecone im prace fizyczne lub w milczeniu przesiadują w naszpikowanych kamerami wieloosobowych celach.

Zamknięcie niemal wszystkich przestępców w ultranowoczesnym więzieniu o podwyższonym rygorze było prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Stosunkowo rzadko zadaje się jednak pytanie o to, jak w ogóle możliwe było to, że tak młody i działający wbrew swojej macierzystej partii polityk zdołał osiągnąć to, czego nie udało się dokonać w niemal żadnym innym państwie borykającym się z problemem wysokiej przestępczości. Bukele nie jest przecież pierwszym na świecie prezydentem, który obiecał twardy kurs wobec gangów, ale tylko jemu udało się spełnić tę zapowiedź w tak spektakularny sposób.

MODLITWA POD ŚCIANĄ PŁACZU

Wspominaliśmy już, że ojciec Nayiba Bukelego był muzułmaninem, a matka katoliczką. On sam wykazywał zawsze dystans wobec religii, lecz nieoczekiwanie w 2019 r. na swoim koncie na Instagramie zamieścił zdjęcie przedstawiające go modlącego się przy Ścianie Płaczu w Jerozolimie. Zostało ono wykonane rok wcześniej, w czasie pobytu polityka w Izraelu na konferencji dotyczącej polityki miejskiej. Bukele przybył tam na zaproszenie m.in. szefa Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego Jacka Rosena.

Współpraca z izraelskimi władzami jest dziś kluczowa dla całej prezydentury Bukelego, ponieważ to właśnie bliskowschodnie państwo dostarcza mu nowoczesnych narzędzi umożliwiających nie tylko funkcjonowanie superwięzienia CECOT, lecz także inwigilowanie opozycji. Salwador zaczął sprowadzać z Izraela sprzęt wojskowy oraz inne technologie związane z bezpieczeństwem już w czasach wojny domowej. W czasach prezydentury Bukelego współpraca ta wspięła się jednak na prawdziwe wyżyny.

W Salwadorze został zrealizowany rodzaj eksperymentu, który być może będzie kiedyś wcielany w życie także w innych krajach

Od momentu, gdy Nayib Bukele został zaprzysiężony na prezydenta, eksport broni i sprzętu związanego z bezpieczeństwem z Izraela wzrósł aż o 21 proc. Salwador sprowadza masowo karabiny, pistolety, pojazdy, a także systemy rozpoznawania twarzy, lokalizacji czy też oprogramowanie szpiegujące (m.in. znany w Polsce Pegasus). Formalnie Bukele wykorzystuje izraelski sprzęt do walki z gangami, lecz wiadomo powszechnie, że przy okazji daje się także we znaki opozycji.

O tym, że salwadorski prezydent potrafi działać z pogwałceniem prawa, świadczy najlepiej fakt, że gdy na samym początku jego pierwszej prezydentury miejscowy parlament nie chciał zagwarantować środków na walkę z gangami, Bukele wkroczył do jego siedziby z oddziałami wojska. Karabinów nie trzeba było na szczęście używać, a salwadorski przywódca zwykł od tego czasu mawiać, że jest najbardziej łagodnym z dyktatorów.

Osiągnięty przy współpracy z Izraelem oszałamiający sukces w dziedzinie bezpieczeństwa wewnętrznego sprawił, że Nayib Bukele stał się wielkim apologetą polityki żydowskiego państwa. Gdy 7 października 2023 r. na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna, stanął jednoznacznie po stronie Izraela, przyrównując nawet Hamas do salwadorskich gangów. Biorąc pod uwagę, że dziadek prezydenta przybył do Salwadoru właśnie z Palestyny, zajęcie takiego stanowiska należy mimo wszystko uznać za zaskakujące.

EKSPERYMENT I JEGO NAŚLADOWCY

Trudno oprzeć się wrażeniu, że w Salwadorze został zrealizowany rodzaj eksperymentu, który być może będzie kiedyś wcielany w życie także w innych krajach. Tak młody polityk, który dopiero zbudował własne zaplecze partyjne w trakcie prezydentury, nie zdołałby przecież niemal jednoosobowo poskromić wielotysięcznych gangów. Salwadorskie państwo, od lat dysfunkcyjne, skorumpowane i naznaczone ostrymi konfliktami wewnętrznymi typowymi dla całego regionu, nagle okazało się arcyskuteczne i zawstydziło setki innych, które również naznaczone są plagą przestępczości.

W lutym ubiegłego roku Salwador odwiedził amerykański sekretarz stanu Marco Rubio. Ze strony Bukelego padła wówczas propozycja, aby część z najbardziej niebezpiecznych imigrantów, którzy przedarli się na terytorium USA, została umieszczona w więzieniu CECOT. Amerykańska strona skorzystała z oferty, a Donald Trump pochwalił salwadorskiego przywódcę za gest przyjaźni. Trump i Bukele darzyli się szczególną sympatią już w czasie pierwszej kadencji amerykańskiego prezydenta, a obecnie ich relacje układają się w sposób wręcz wzorowy.

Kilka miesięcy później Nayib Bukele złożył rewizytę w Waszyngtonie. W czasie konferencji prasowej w Białym Domu mówił w obecności Donalda Trumpa o tym, że stosowane na Salwadorze metody być może wymagają uwięzienia wielu tysięcy osób, ale przynajmniej powalają wyzwolić miliony innych. Trump zażartował, zadając dziennikarzom pytanie, czy mógłby uczynić podobnie w USA.

Salwadorski eksperyment trudno byłoby skopiować w warunkach świata zachodniego, lecz z pewnością jest on uważnie obserwowany na całym globie. Zwraca się niekiedy uwagę, że metody zastosowane do walki z salwadorskimi gangami można by wykorzystać z powodzeniem także w innego rodzaju operacjach, m.in. walki z terroryzmem lub nielegalną imigracją.

W taki oto sposób prezydent, który chciał zasłynąć jako przywódca kryptowalutowego raju, stał się symbolem sukcesu w walce z przestępczością osiągniętego przy pomocy Izraela. Kontynuacji tego sukcesu chcą na pewno mieszkańcy Salwadoru, którzy wreszcie czują się bezpiecznie. Niewiele osób będzie więc zapewne protestować, gdy w 2029 r. Nayib Bukele użyje kolejnego fortelu prawnego, aby przedłużyć swoje rządy o kolejną kadencję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 2f31385647



Ryszard Czarnecki z Filipin

Polityczna gorączka w Manili

Przed wyborami dzieci dwóch dawnych prezydentów Filipin zawarły polityczny sojusz: syn jednego z nich, tego wcześniejszego, został kandydatem na głowę państwa, a córka drugiego, późniejszego – kandydatką na jego zastępcę. To dało zwycięstwo. Ale później dwa polityczne rody poszły na wojnę. Dziś niewiele brakuje, aby doprowadzić do impeachmentu pani wiceprezydent



Ryszard Czarnecki na manifestacji przed filipińskim Senatem. Tekturowe sylwetki przedstawiają wiceprezydent Sarę Duterte oraz prezydenta Ferdinanda Marcosa Jr. FOT. ARCHIWUM RYSZARDA CZARNECKIEGO

Jestem już trzeci raz w tym szczególnym, bo katolickim kraju na bardzo mało chrześcijańskim kontynencie. Jestem w kraju ludzi naprawdę wierzących, co widać w kościele, obojętnie, czy to w stolicy Manili, czy prowincji Ifugao, gdzie kreślę te słowa. A poza stolicę wyjechać warto, bo bez tego, tak jak w Polsce, nie zrozumie się kraju i społeczeństwa. Oprócz pobytu w Ifugao byłem w Nueva Vizcaja, Mountain Province i Benguet.

We wtorek o świcie przybywam do Banaue po ośmiogodzinnej podróży samochodem z Manili. Tak długo jadę, choć to tylko 250 km! Drogi jednak są takie, jakie są. I tak to nic w porównaniu z późniejszą podróżą z Sagady w Mountain Province do Tinoc w regionie Ifugao: na GPS pokazuje dystans 101 km i czas: 3 godz. 31 min!

Domy budują tu tradycyjnie na czterech śliskich palach. Śliskich, żeby nie mogły wejść po nich szczury. Na parterze się mieszka, wchodząc po drabinie, którą potem wciąga się na górę. Na strychu suszy się ryż. Domy tradycyjnie kryte są słomą. Ale budowany nowy ratusz – „capitolio" – będzie oczywiście już nowoczesnym budynkiem. Po drodze widzę hasła: „Make Banaue green and clean". Ten drugi postulat jest doprawdy całkowicie zasadny.

eprasa.pl 2f31385647

Mieszkam w hotelu, którego właścicielka straciła męża, gdy wraz z kolegą poszli do lasu po drzewo. Nie przeżyli burzy. Nigdy nie odnaleziono ich ciał. Ale „Mama Juanita", jak ją nazywają, choć pochodzi z bardzo biednej rodziny i nie skończyła żadnych szkół, nie tylko postawiła najlepszy hotel w okolicy, lecz także jeszcze potrafiła wychować 11 (!) dzieci. Ma prawie „osiemdziesiątkę", ale ze mną rozmawia o inwestycjach turystycznych, które nakręcą koniunkturę i zwiększą liczbę gości w jej hotelu.

W różnych miejscach spotykam drewniane rzeźby strażników, określanych przez miejscowych jako „bulul". Mają chronić ludzi w domach, sklepach, szpitalach, a także pola ryżowe i zadbać o pokój w kraju. Interesują się nimi za granicą: parę lat temu w Paryżu sprzedano takiego „bulula" za 630 tys. euro.

To prowincja serpentyn, którymi jedzie się między ziemią a niebem. Ja jeżdżę. Byłem m.in. w Mayoyao, gdzie widziałem tarasy ryżowe, uznane przez UNESCO w 1995 r. za „światowe dziedzictwo kultury". Jest takich pięć w prowincji Ifugao. Filipiny były pierwszym krajem na świecie, któremu UNESCO przyznała ten przywilej. Już w tym wieku w ślady Manili poszły Chiny i Indonezja. Jednak w Mayoyao obejrzałem trójpoziomowy wodospad. Żeby dojść do tej filipińskiej Niagary (miej proporcje, mocium panie!), trzeba zejść 701 stopni w dół, a potem pokonać tyle samo, wdrapując się na górę. Szczerze mówiąc, jeszcze się nigdy tak nie umordowałem podczas zwiedzania.

PODNIEBNY SZPITALIK

Tarasy ryżowe zwiedzałem jeszcze w Banaue i Hungduan. W tym ostatnim mieście odwiedziłem też szpital zlokalizowany – nie wiedzieć czemu – w najwyższym punkcie i tak górskiej miejscowości. Blisko nieba, miejsce genialne dla hotelu, ale pacjenci i ich rodziny, aby tam dotrzeć, muszą przejść prawdziwą drogę przez mękę. Chorzy są noszeni w specjalnych hamakach do drogi, ale potem i tak nie zabiera ich jedyny szpitalny ambulans, bo służy on albo do przewożenia pacjentów z poważniejszymi urazami z tego małego szpitala do większych, albo jest potrzebny pani dyrektor zawiadującej podniebnym szpitalikiem. No i rodziny oraz przyjaciele niosą dalej niemogących chodzić delikwentów setki metrów w górę. Jest tak stromo, że samochód, którym jechałem, w pewnym momencie... stanął. Natomiast rentgen jest tak stary, że równie dobrze mógłby być eksponatem w muzeum medycyny. Prześwietlenie klatki piersiowej jeszcze zrobi, ale brzucha już nie. Lekarze, pielęgniarki – zwykle młode dziewczyny – oraz pacjenci są jednak cierpliwi.

W Tinoc, a właściwie ponad nim, byłem na najwyżej położonej drodze publicznej na Filipinach. Wysokość niemal taka, jak naszych Rysów! Fantastyczne krajobrazy i... całkowity brak jakiejkolwiek infrastruktury turystycznej! Nie ma śladu choćby jakiegokolwiek hoteliku, jak np. przy lodowcu przy Mont Blanc, gdzie argumentem, aby spędzić tam noc, jest wyjątkowość miejsca, a nie standard pokojów. Nie ma nawet knajpki czy choćby sklepu z pamiątkami. Ifugao to jedna z najmniej zamożnych prowincji kraju (jest ich ponad 80), tym bardziej miejscowi powinni wziąć sprawy w swoje ręce, a nie czekać na mityczny przypływ zagranicznych inwestorów z branży turystycznej.

W tymże Tinoc spotykam się z burmistrzem w jego biurze, o ile skromniejszym od tych włodarzy samorządów w Polsce. Jestem przyjęty, choć to już nie dość, że sobota, to jeszcze po godz. 17. Prostota tego urzędu urzeka, choć raczej nie jest do skopiowania do polskich warunków.

Tuż obok „magistratu" na rynku zapraszają mnie na wesele. Żeni się miejscowy radny. Ze zdumieniem odkrywam spore podobieństwa do polskich wesel! Naprawdę podobna muzyka. Bardzo podobne tańce, choćby korowód, w którym kolejne pary tworzą szpaler, pod którym z kolei przechodzą następne, aż do zmęczenia materiału. No i inne jeszcze podobieństwo: część biesiadników, chyba zmęczona rozmowami, zasnęła przy stole, a czasem i na stole...

W Tinoc widziałem też jakże symptomatyczną zmianę. Oto charakterystyczne dla regionu, a także dla wielu krajów Azji, tarasy ryżowe ustąpiły tarasom warzywnym. Uprawa ryżu jest coraz mniej opłacalna, ciężka i pracochłonna. Coraz więcej ludzi woli pracować, jeśli nawet na roli, to inaczej niż ich rodzice czy dziadkowie. Lżej, bardziej efektywnie, za lepsze pieniądze. „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia" – można powiedzieć za Marią Dąbrowską.

W Lagawe występuję przed trzema tysiącami ludzi jako jedyny gość z zagranicy z okazji obchodów 60-lecia prowincji. Nie będę jak ambasador II RP w Rzymie gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który raportując do MSZ swoje rozmowy z ministrem spraw zagranicznych Włoch, Galeazzo Ciano, zięciem Mussoliniego, więc bardzo ważnym interlokutorem, skupiał się nie na tym, co mu powiedział ów polityk, tylko opisywał to, co sam mu zakomunikował. A działo się to oczywiście ku wściekłości Wierzbowej – bo to na tej warszawskiej ulicy w II Rzeczypospolitej mieścił się nasz resort spraw zagranicznych. Nie powtórzę więc maniery późniejszego niedoszłego prezydenta RP. To, co mi utkwiło najbardziej w pamięci z pięciogodzinnej celebracji, to tańce ludowe i miniprzedstawienia, w których starano się ukazać codzienne życie 11 miejscowości tworzących prowincję Ifugao. Robiono to bez cenzury, bardzo realistycznie. Na przykład jak pokazywano różne obrzędy i ucztowanie, to była żywa świnia, którą potem na naszych oczach bardzo sprawnie... zaszlachtowano, a następnie w miarę dyskretnie ciało uprzątnięto, a kałuże krwi wytarto. Cóż, w Europie wziętej za twarz przez „polityczną poprawność" takie coś nie jest możliwe.

Odbywa się wesele. Żeni się miejscowy radny. Ze zdumieniem można odkryć spore podobieństwa z weselami polskimi! Bardzo podobne tańce, choćby korowód: kolejne pary tworzą szpaler, pod którym z kolei przechodzą następne, aż do zmęczenia materiału

„LASZIATE"

Polonica? Oczywiście nasz papież św. Jan Paweł II, który był tutaj wiele

eprasa.pl 2f31385647

razy. Ale też jest jedna niespodzianka. Obojętnie, czy to w „executive lounge" w czołowych hotelach Manili, czy w sklepikach na głębokiej prowincji: wszędzie króluje... nasze mleko Łaciate! Miejscowi piją je w hurtowych ilościach. Tubylcy wymawiają nazwę, przynajmniej do mojej wizyty, jako „Lasziate", co przypomina słowa włoskiej piosenki...

Od różnych polityków słyszę pytania o Polskę. Czy we wrześniu jest już u nas zima? I czy pada wtedy śnieg? Czy pijemy wódkę czy wino? Czy są u nas kolejki linowe? Czy w Polsce jest silne rolnictwo? To, że jesteśmy krajem katolickim, wszyscy wiedzą.

Patriotyzm po filipińsku? Przylatuję do Manili dzień po ichnim święcie flagi. I narodowych flag czy chorągiewek jest pełno. Niemal na każdym domu i na każdym sklepie. I wiszą jeszcze kilka dni po święcie. To budzi szacunek.

Poprzedni prezydent Filipin Rodrigo Duterte ostro walczył z narkobiznesem, a teraz oczekuje na proces przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze

Osobnym ciekawym tematem jest filipiński odpowiednik naszego LOT, czyli Philippine Airlines. Od pół wieku narodowy przewoźnik już nie należy do państwa! Linie były niedochodowe i sprzedano je za symboliczną cenę... 1 peso. Potem, w prywatnych rękach, dochodowość jakoś wzrosła. Narodowego przewoźnika kupił Lucio Tan, biznesmen chińskiego pochodzenia. Gdy kupował ów Philippine Airlines, prezydentem państwa był Ferdinand Marcos. W 1986 r. musiał wyemigrować, a Tan był dalej. Teraz prezydentem jest syn Marcosa – Ferdinand Marcos Jr., a Tan trwa jak biznesowa skała.

CZY WŁADZA SIĘ BOI?

I tu dochodzimy do tematu filipińskiej polityki. Przed budynkiem Senatu demonstracja. To zwolennicy wiceprezydent Sary Duterte. Jest ona córką poprzedniego prezydenta, Rodriga Duterte, który ostro walczył z narkobiznesem, a teraz oczekuje na proces przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Przed wyborami dzieci dwóch prezydentów zawarły polityczny sojusz: syn jednego z nich, tego wcześniejszego, został kandydatem na prezydenta, a córka drugiego, późniejszego – kandydatką na wiceprezydenta (Filipiny mają skopiowany system amerykański). To dało zwycięstwo. Ale później te dwa polityczne rody poszły na wojnę. Dziś niewiele brakuje, aby doprowadzić do impeachmentu pani wiceprezydent. Marcos zbiera w tym celu głosy senatorów – bo to tam rozstrzyga się kwestia odwołania z urzędu głowy państwa i jego zastępcy. Dopiero co jednego senatora aresztowano i siedzi w więzieniu, a więc nie może głosować za Sarę Duterte. Innego chciano aresztować, ale uciekł i się ukrywa. W czasie mojej wizyty odwołano z funkcji przewodniczącego izby wyższej zwolennika pani wiceprezydent. To mój znajomy, były minister spraw zagranicznych, Alan Peter Cayetano, absolwent amerykańskiej uczelni. Nie tak dawno z nim i jego żoną jedliśmy kolację w Manili. Podpadł, bo publicznie protestował z powodu aresztowania senatora Jinggoya Estrady, skądinąd syna byłego prezydenta Josepha Estrady (ach, te filipińskie klany!), i to w budynku Senatu! A do gmachu tej izby przybył, aby osobiście dopilnować sprawnego pojmania parlamentarzysty, szef MSW. Zaiste polityka w tym kraju jest podobnie pasjonująca, jak w Polsce.

Manifestanci przed Senatem są odgrodzeni od budynku zasiekami. Nawet przed bocznym wejściem dostrzegam drut kolczasty. Tego wcześniej nie było. Władza się boi? Skądinąd obok tego drutu kolczastego koło Senatu widzę... ogródek z uprawami doglądany przez pracowników parlamentu. Było strasznie, robi się jakby swojsko. Przed wejściem głównym półciężarówka z napisem „Szalony Marcos" i ludzie w T-shirtach z twarzą Sary Duterte i napisem „MASADA". To skrót od pierwszych liter słów: „SA" jak Sara, „D" jak Duterte. Z głośników dobiega głośna, skoczna muzyka. Koło nich dwie duże tekturowe sylwetki ojca i córki – byłego prezydenta i wciąż jeszcze wiceprezydent. Policjanci nie spodziewają się chyba szturmu, bo swoje tarcze odłożyli na bok. Jakoś nie reagują na transparenty „Demokracja jest martwa" albo „Nie na darmo jestem Filipińczykiem". Wreszcie robi wrażenie trumna z napisem: „Filipińczycy wciąż walczą za swój kraj". Następnego dnia zapowiadana jest wielka demonstracja na 100, a może nawet 300 tys. ludzi.

Rzut beretem od budynku Senatu jest Pałac Kokosowy. Obok niego stoi zamknięty gmach Sofitelu – ulubionego hotelu Imeldy Marcos, żony dawnego prezydenta i matki obecnego. Jeszcze niedawno publicznie obchodziła 88. urodziny. Zmarła w wieku 96 lat.

Podjeżdżam z filipińskim kierowcą – jak zdecydowana większość tutejszych ludzi „za kółkiem" ma w samochodzie powieszony albo różaniec, albo krzyżyk – do SM Arena. To tu wczesną jesienią zeszłego roku Polska zajęła trzecie miejsce w siatkarskich mistrzostwach świata mężczyzn (najgorszy wynik od 15 lat!). Filipiny omal sensacyjnie nie awansowały z grupy – miały piłki meczowe z Iranem. Największa sportowa hala kraju znajduje się naprzeciwko największego centrum wystawienniczego Filipin.

Wreszcie jestem w jednym z wielu kościołów Manili. Wyjątkowym jednak, bo mieści się tu Młodzieżowe Centrum im. Jana Pawła II. Droga krzyżowa jest z napisami w języku tagalog (tagalskim). Msze w dni powszednie są codziennie o godz. 18, ale w środę o 17.30 odprawiana jest też Nowenna do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. W sobotę Msza jest o 17.30, w niedzielę zaś Msze są aż cztery. Przed świątynią widnieje napis, lecz już po angielsku: „Jezus: Prawda, Droga i Życie". I – co ciekawe – „ogłoszenia parafialne" przekazywane są w formie wielkich transparentów wywieszonych na murze okalającym budynek kościoła. A to o Mszy dziękczynnej w 27. rocznicę święceń kapłańskich miejscowego biskupa, a to o przybyciu dwa dni później relikwii św. Szarbela z Libanu. Tu wiara jest żywa. To czuć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2f31385647



PROSTO ZYGZAKIEM

Są dwa przełomy. W KO i w PiS

PIOTR GABRYEL

Są dwa wielkie, sensacyjne przełomy. Najpierw o pierwszym z nich. Otóż, jak się okazuje, niewykluczone, że partia Donalda Tuska po raz drugi złoży swym wyborcom te same obietnice wyborcze. To znaczy – do wyborów w 2027 r. pójdzie z tymi samymi obietnicami, z którymi szła do wyborów w 2023 r. i których oczywiście, jak to ma w zwyczaju, nie zrealizowała.

To będzie dla wyborców tej znakomitej, jedynej w swoim rodzaju, partii kolejna szansa na udowodnienie swego bezgranicznego przywiązania do niej. Przywiązania bez względu na to, czy realizuje obietnice wyborcze czy ich nie realizuje; a czasami nawet zachowuje się wręcz odwrotnie do złożonych przed wyborami obietnic.

Nie jest zatem wykluczone, że partia Tuska po raz kolejny przyobieca swym wyborcom anulowanie zmian, które Polskim Ładem wprowadził premier Morawiecki. Być może zostanie złożona im po raz drugi (i też pewnie nieostatni) także obietnica podniesienia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł oraz likwidacji (do 100 tys. zł) tzw. podatku Belki, czyli podatku od oszczędności, w pełnej, a nie w obecnie proponowanej, nader okrojonej wersji. Itp. itd., bo „100 niezrealizowanych konkretów" zobowiązuje.

Ale jest też – jako się rzekło – drugi przełom. Otóż staje się wielce prawdopodobne, że z kolei PiS Jarosława Kaczyńskiego, po opuszczeniu go przez jedną piątą posłów, czyli przez Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego, zaproponuje swym wyborcom przed wyborami w 2027 r., że po ich wygraniu odwoła większość zmian, które wprowadził za swych rządów w latach 2015–2023, a więc: wyprowadzi Polskę z unijnego Zielonego Ładu, unieważni Polski Ład, skasuje wymyślony przez siebie system inwigilacji przedsiębiorców KSeF oraz system kaucyjny i jeszcze ze dwa tuziny innych niedorzeczności, które sprowadził na głowy Polaków, gdy był ostatnio u władzy.

Zagadką pozostaje natomiast – i stąd w tym przypadku nie ma mowy o żadnym przełomie – program, który zaproponuje Rozwój Plus Morawieckiego. Tym bardziej że nie jest wykluczone, iż ugrupowanie to, znane (mimo że nowe) z elastycznego podejścia do celów politycznych, może zaoferować wyborcom jednoczesne (czyli odbywające się w tym samym czasie) umacnianie w Polsce Zielonego Ładu (czyli ETS1 i ETS2) i zarazem błyskawiczne usuwanie go z Polski (czy też Polski z niego) oraz jednoczesne umacnianie Polskiego Ładu i jego całkowite anulowanie; to samo może dotyczyć także KSeF i systemu kaucyjnego, czyli oferty ich całkowitej likwidacji i jednoczesnego rozszerzania zakresu ich działania – w zależności od indywidualnych preferencji każdego wyborcy. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Byle dowalić przedsiębiorcom

ŁUKASZ WARZECHA

Jak to często bywa, w tle wydarzeń przyciągających uwagę mediów tradycyjnych i społecznościowych rozgrywa się dramat przedsiębiorców. 17 lipca Sejm przegłosował ustawę o zmianie ustawy o VAT oraz ustawy o zasadach ewidencji i identyfikacji podatników i płatników. Nazwa mało pasjonująca. Treść porażająca, ponieważ w wyniku tego głosowania przywrócono tzw. solidarną odpowiedzialność podatników, korzystających z procedury split payment. Nie wdając się w szczegóły i mówiąc w największym uproszczeniu: przedsiębiorca, prowadzący interesy z inną firmą, ma być współodpowiedzialny za to, czy ta firma uczciwie płaci VAT czy nie. Eufemistycznie nazywa się to „należytą starannością". Jeśli jej nie dochowa – czyli nie prześwietli sam swojego biznesowego partnera – to może zostać obciążony solidarnie jego winą. Musiałby się zatem bawić w detektywa, sprawdzać, wykonywać działania, które w ogóle nie powinny do niego należeć. Urzędnicy mają wystarczająco wiele instrumentów, aby samemu kontrolować, czy VAT-owcy są uczciwi. Angażowanie w to ich kontrahentów jest skrajnym etatystycznym absurdem i wygląda jak celowe utrudnianie prowadzenia biznesu.

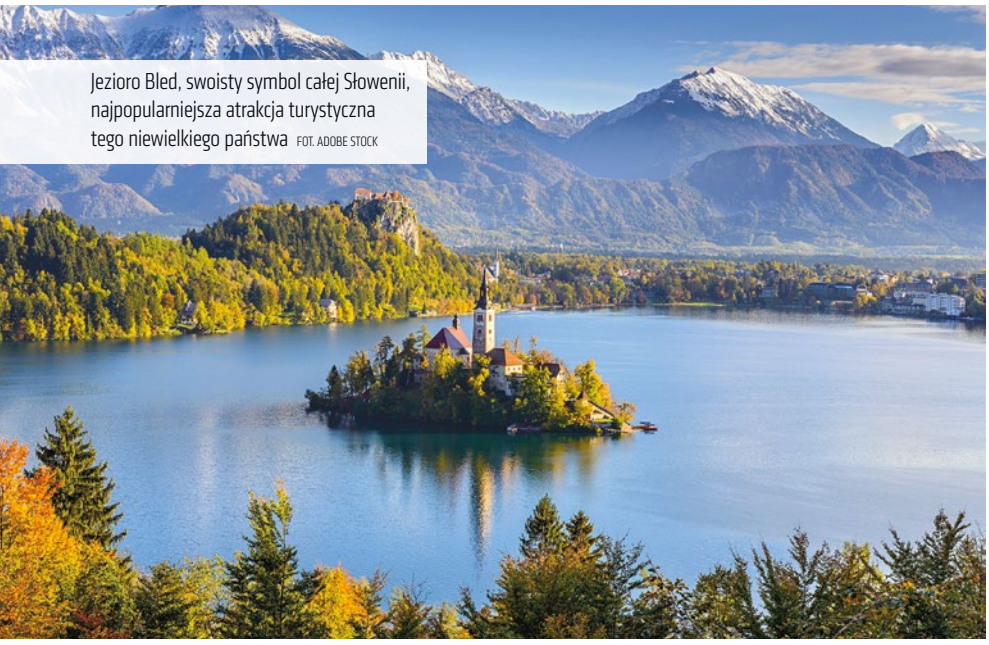
I teraz najlepsze: za ustawą w takiej postaci głosowały ręka w rękę będący jeszcze wówczas jedną całością klub PiS oraz klub KO, a także inne partie koalicji. Czy może być wymowniejsze potwierdzenie hasła „PiS-KO – jedno zło"? Przeciwko zagłosowały jedynie obie Konfederacje, Demokracja Bezpośrednia oraz niezrzeszony Janusz Kowalski.

Najbardziej przerażające jest to, że przeciw biznesowi wystąpiły zgodnie dwie największe polskie partie

W senackiej komisji walczył z tym absurdem dzielnie szef Rady Przedsiębiorców, były rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Adam Abramowicz – i wywalczył odpowiednią poprawkę. Senat na posiedzeniu plenarnym ją zaakceptował. W momencie, gdy ten tekst powstaje, nie wiadomo, co zrobi z tym później Sejm. A następnie – gdyby Sejm postanowił podjąć niemądrą decyzję – prezydent, który, jak wiadomo, nie czuje spraw gospodarczych w ogóle.

W tej historii najbardziej przerażające jest, że gdy pojawiła się możliwość dowalenia przedsiębiorcom, dwie największe polskie partie zgodnie wcisnęły zielony przycisk. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



Jezioro Bled, swoisty symbol całej Słowenii, najpopularniejsza atrakcja turystyczna tego niewielkiego państwa FOT. ADOBE STOCK

Turystyczna perła Słowenii



Jacek Pałkiewicz

Nad to jezioro warto pojechać po lekcję uważności. Po doświadczenie miejsca, które jest zbyt piękne, aby zostawić je folderom. Po przypomnienie, że podróż nie polega na tym, by świat zdobywać wzrokiem, ale by pozwolić mu przez chwilę spojrzeć na nas

Są miejsca, które wydają się zbyt ładne, aby były prawdziwe. Człowiek patrzy i niemal odruchowo podejrzewa oszustwo: za dużo harmonii, za czysta kompozycja, za dobrze ustawione światło. Jezioro Bled należy właśnie do takich miejsc. Ma wszystko, czego potrzebuje wyobraźnia, aby natychmiast popaść w banał: taflę wody wśród alpejskich stoków, małą wyspę z kościołem, zamek zawieszony na skale, łódki sunące powoli jak z dawnej ryciny, w tle góry, nad nimi niebo, a wokół ten szczególny porządek Europy Środkowej, gdzie nawet natura sprawia czasem wrażenie starannie uczesanej. I właśnie dlatego o Bledzie trzeba pisać ostrożnie. Bo łatwo zamienić go w obrazek z pudełka czekoladek. Łatwo powiedzieć: bajkowe jezioro, perła Słowenii, romantyczny zakątek. Wszystko to byłoby nawet prawdziwe, ale prawda wypowiedziana językiem folderu przestaje być prawdą. Staje się reklamą.

Do Bledu nie powinno się przyjeżdżać tylko po zachwyt. Zachwyt jest tam zbyt łatwy. Czeka już przy pierwszym spojrzeniu na wodę. Wystarczy zejść nad brzeg, zobaczyć wyspę i odbicie kościelnej wieży, aby aparat sam podniósł się do oka. Ale podróżnik, jeśli nie chce być tylko konsumentem widoków, musi zapytać: Co kryje się pod tą doskonałą powierzchnią? Jak żyje miejsce, które od dawna jest skazane na podziw? Co czuje jezioro, na które codziennie patrzą tysiące ludzi, każdy z własną potrzebą zachwytu, fotografii, romantycznej chwili, dowodu obecności? Bled jest piękny, owszem. Ale jest także ofiarą własnej urody.

WIECZOREM ODZYSKUJE GODNOŚĆ

Jezioro leży w północno-zachodniej Słowenii, niedaleko Alp Julijskich i Triglavskiego Parku Narodowego, jedynego parku narodowego w kraju. Jego obejście jest niemal obowiązkowym rytuałem. Nie dlatego, że tak mówi przewodnik, ale dlatego, że dopiero idąc pieszo, można uwolnić się od jednej, narzuconej perspektywy. Z jednego miejsca wyspa wygląda jak dekoracja teatralna. Z innego – jak samotny okręt zakotwiczony na środku zielonkawej wody. Z jeszcze innego znika na chwilę za gałęziami i wtedy dopiero człowiek rozumie, że krajobraz potrzebuje przerw, przesłon, oddechu. Najgorsze, co można zrobić w takim miejscu, to natychmiast chcieć mieć je całe. Widok trzeba sobie dawkować. Jezioro nie jest obrazem do jednorazowego spożycia, lecz rozmową prowadzoną przez światło. Rano jest inne, kiedy nad wodą unoszą się chłód i milczenie. W południe staje się bardziej turystyczne, jawne, trochę bezbronne wobec tłumu. Wieczorem odzyskuje godność.

Na wyspie najłatwiej popaść w romantyczną przesadę. Dzwon życzeń, kościelna wieża, schody, opowieści dla zakochanych – wszystko to mogłoby stać się nieznośnie słodkie. A jednak, gdy odsunąć na bok turystyczną dekorację, zostaje coś prostego i mocnego: potrzeba dotarcia na środek. W wielu kulturach środek świata znajdował się właśnie na górze, przy źródle, na wyspie albo w świątyni. Bledzka wyspa jest miniaturą takiego centrum. Mała, zielona, uporządkowana, niemal dziecięco doskonała. Ale przez to również niepokojąca. Bo idealne miejsca zawsze budzą we mnie pytanie, ile rzeczy musiały ukryć, aby stać się idealne.

eprasa.pl 2f31385647

Nad jeziorem dominuje zamek. Nie stoi po prostu na wzgórzu, ale trzyma skałę jak strażnik, który od stuleci nie opuścił posterunku. Oficjalne źródła Bledu wiążą początki zamku z rokiem 1004, kiedy niemiecki król Henryk II przekazał posiadłość Bled bp. Albuinowi z Brixen; pierwszy zamek obronny biskupi wznieśli ok. 1011 r. To jedna z tych dat, które warto mieć w głowie, patrząc z brzegu na mur ponad wodą. Bo wtedy zamek przestaje być tylko elementem kompozycji. Staje się dokumentem władzy.

Najciekawsze w Bledzie jest napięcie między łagodnością krajobrazu a twardością historii. Woda wydaje się niewinna. Góry stoją spokojnie. Zamek wygląda jak ilustracja z książki dla dzieci. Ale Europa Środkowa nigdy nie była krainą bez historii. Przechodziły tędy granice wpływów, języków, religii, monarchii i państw. Słowenia, dziś tak uporządkowana i spokojna w oczach przybysza, nosi w sobie pamięć Habsburgów, Jugosławii, wojen, przemian, własnego dojrzewania do państwowości. Bled również był kiedyś nie tylko pięknym krajobrazem, lecz także miejscem prestiżu, wypoczynku elit, symbolem pewnego stylu życia. Oficjalna historia miejscowości przypomina wczesne fale osadnictwa słowiańskiego w VII w. oraz kolejne w wiekach IX i X. A więc zanim pojawiły się eleganckie hotele, sanatoria, kawiarnie i turystyczne rytuały, była tu zwykła walka człowieka o miejsce przy wodzie, przy lesie, przy drodze.

W takich miejscach zawsze interesuje mnie moment, w którym natura zostaje odkryta jako towar. Najpierw jezioro jest wodą: daje ryby, ochłodę, drogę, granicę, może zagrożenie. Potem staje się krajobrazem. Następnie – atrakcją. Wreszcie marką. Bled przeszedł tę drogę bardzo wyraźnie. Dzisiaj jego obraz krąży po świecie szybciej niż dawniej jakakolwiek karawana. Wyspa i zamek są natychmiast rozpoznawalne. Turyści przyjeżdżają często już z gotowym zdjęciem w głowie i próbują tylko wykonać własną wersję tego samego kadru. To jest jedna z chorób współczesnego podróżowania: nie tyle odkrywamy świat, ile potwierdzamy, że wygląda tak, jak obiecał ekran.

Nie piszę tego z pogardą. Sam nie jestem wolny od tej pokusy. Każdy podróżnik, nawet najbardziej doświadczony, ma w sobie trochę kolekcjonera widoków. Ale z wiekiem coraz bardziej drażni mnie pośpiech patrzenia. Ludzie stają nad jeziorem, robią zdjęcie, sprawdzają je na ekranie, poprawiają kadr, uśmiechają się do siebie plecami do krajobrazu, po czym odchodzą. Widzieli Bled. Ale czy naprawdę byli przy jeziorze? Czy poczuli zapach wody? Czy usłyszeli plusk wioseł? Czy zobaczyli, jak światło przesuwa się po zboczu? Czy zauważyli człowieka, który od lat prowadzi łódź i dla którego ten cud świata jest codzienną pracą, ciężarem ramion, sezonem lepszym albo gorszym?

Bled nie jest tylko dla zakochanych par i pocztówkowych marzycieli. Jest także dla ludzi zmęczonych. Dla tych, którzy rozumieją, że piękno nie musi krzyczeć. Najlepiej patrzeć na jezioro wtedy, gdy tłum się rozprasza, gdy kawiarnie powoli cichną, gdy na wodzie zostaje kilka późnych łodzi, a zamek zaczyna ciemnieć nad brzegiem. Wtedy widok traci reklamową doskonałość i robi się prawdziwszy. Niebo nie musi być błękitne. Chmura, deszcz, mgła, nawet zimno potrafią wydobyć z Bledu więcej charakteru niż idealny słoneczny dzień. Latem jezioro bywa piękne aż do przesady. Zimą, gdy góry bieleją, a drzewa na wyspie stają się nagie, Bled odzyskuje surowszą twarz.

Szczególnie ważna jest skala. Bled nie przytłacza jak Himalaje, nie oszałamia jak wielkie pustynie, nie rozbija człowieka ogromem oceanu. Jest miejscem kameralnym. Można je objąć wzrokiem. I właśnie ta objętość daje złudzenie posiadania. Człowiek myśli: rozumiem to miejsce. Jezioro, wyspa, zamek, góry – wszystko jasne. Ale to jest fałszywa jasność. Małe krajobrazy też bywają głębokie. Czasem nawet głębsze niż wielkie, bo nie zasłaniają się monumentalnością. Zmuszają do patrzenia dokładniejszego. Na linię brzegu. Na stare drzewa. Na kamień w murze. Na to, jak miejscowi omijają grupy turystów z dyskretną obojętnością ludzi, którzy od dawna wiedzą, że cudze zachwyty są sezonowe.

POCZUCIE KRUCHOŚCI

Najbardziej nieufny jestem wobec słowa „romantyczny". Bled jest nim oblepiony jak miodem. Romantyczny weekend, romantyczna łódź, romantyczna kolacja, romantyczny ślub. Współczesna turystyka lubi pakować uczucia w gotowe zestawy. Tymczasem prawdziwy romantyzm nie polega na dekoracji. Polega na poczuciu kruchości. Na świadomości, że chwila jest piękna właśnie dlatego, iż zaraz minie. Jeśli Bled ma w sobie romantyzm, to nie w ofertach hotelowych, lecz w tym, że człowiek stoi nad wodą i nagle rozumie, jak bardzo potrzebuje ciszy, choć całe życie udaje, że potrzebuje nowych bodźców.

Najpiękniejsze jest jednak to, że Bled, mimo całej swojej sławy, może jeszcze człowieka zatrzymać naprawdę. Trzeba tylko nie żądać od niego natychmiastowego olśnienia. Warto usiąść nad wodą bez aparatu. Patrzeć, jak łódź przesuwa się powoli ku wyspie. Jak wiosło wchodzi w wodę i zostawia za sobą krótką bliznę, która zaraz znika. Jak zamek na skale staje się ciemniejszy, gdy słońce odchodzi. Jak góry, przez chwilę wyraźne, cofają się w mgłę. Wtedy Bled przestaje być „atrakcją". Staje się sceną, na której czas pokazuje swoją najprostszą sztuczkę: wszystko jest, a za chwilę będzie już trochę inne.

Kiedy wyobrażam sobie ostatnie spojrzenie na jezioro, nie widzę tłumu ani pocztówki. Widzę raczej wodę pod wieczór, spokojną, ale nie martwą. Wyspę, która nie potrzebuje żadnego komentarza. Zamek na skale, będący bardziej cieniem niż budowlą. Góry, które przypominają, że za tym łagodnym pejzażem zaczyna się świat twardszy i starszy. I człowieka na brzegu, trochę uciszonego, może nawet zawstydzonego własnym pośpiechem. Bo Bled, jeśli potraktować go poważnie, nie mówi: podziwiaj mnie. Mówi raczej: zwolnij. Nie wszystko, co piękne, musi natychmiast należeć do ciebie.

I może właśnie dlatego warto tam pojechać. Nie po bajkę, choć bajkowość narzuca się sama. Nie po romantyczny frazes, choć romantyzmu nie da się temu miejscu odmówić. Nie po idealne zdjęcie, bo takich zdjęć są już miliony. Warto pojechać po lekcję uważności. Po doświadczenie miejsca, które jest zbyt piękne, aby zostawić je folderom. Po przypomnienie, że podróż nie polega na tym, by świat zdobywać wzrokiem, ale by pozwolić mu przez chwilę spojrzeć na nas. Bled patrzy łagodnie. Ale patrzy uważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 2f31385647

POCZET POLSKICH WODZÓW

Hołubek, kozacki Sarmata



JACEK KOMUDA

Gabryel Hołubek to wierny dowódca kozaków, który zrobił pod koniec XVI w. oszałamiającą karierę, dochodząc od chłopskiego syna do dowódcy oddziału, a na koniec – posesjonata, posiadacza zamku! Czy Hołubek był naprawdę Kozakiem zaporoskim? Nie znajdujemy go w rejestrze z 1578 r., jednak rok później wziął udział we wszystkich wyprawach na Moskwę Stefana Batorego, walcząc pod komendą starosty orszańskiego i wojewody smoleńskiego Filona Kmity Czarnobylskiego. Hołubek był wówczas setnikiem – prawdopodobnie oddziału jazdy, gdyż wojewoda przeprowadził wówczas kilka zagonów niszczących zaplecze wroga. W 1580 r. miał uczestniczyć w zdobyciu Wielkich Łuk, a rok później w oblężeniu Pskowa. Po zakończeniu wojny stał ze swoją rotą kozacką w Mołdawii, był też zwolennikiem hetmana Jana Zamoyskiego. Kozakiem jednak nie zostawało się przez urodzenie, ale poprzez wpisanie do rejestru, służbę w prywatnych oddziałach kozackich na Ukrainie albo przez dołączenie do kozaków pozostających poza oficjalnym rejestrem. Hołubek zasłynął zaś jako dowódca lekkiej jazdy „kozackiej" na służbie magnatów, która jednak poza nazwą nie musiała mieć wiele wspólnego z Kozakami zaporoskimi. Już bowiem pod koniec XVI w. służyli w niej szlachta i mieszczanie polscy, ruscy i litewscy. Hołubka zatem można nazwać kozakiem „nadwornym" u wspomnianego Filona Kmity, co jednak zapewne nie przeszkadzało mu uważać się za pełnoprawnego członka tej warstwy społecznej.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Prawdziwą chwałę zdobył w wojnie z arcyksięciem Maksymilianem Habsburgiem, która wybuchła w 1587 r., po elekcji, na której obóz Jana Zamoyskiego wybrał na króla Zygmunta Wazę, jego przeciwnicy zaś arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Doszło wówczas do wojny domowej, w której starli się na Śląsku i w Małopolsce zwolennicy obu kandydatów. Stronnicy arcyksięcia proponowali ponoć Hołubkowi przejście na ich stronę, na co rotmistrz mający „wrogą gębę" odparł, że „już inszych między Polaki zdrajców nie masz oprócz tych, którzy u Maksymiliana". Wziął też udział w wojnie o koronę. Najpierw z rozkazu Jana Zamoyskiego obsadził wraz ze swoim oddziałem jazdy zamek w Rabsztynie. Wkrótce został oblężony przez wojska Maksymiliana, które szturmowały warownię dwukrotnie, ale nie mając ciężkiej artylerii, musiały odstąpić, idąc do Olkusza. Hołubek wykorzystał zdjęcie oblężenia i rozpoczął wojnę podjazdową. 15 października uderzył na konwój 34 wozów wiozących ze Śląska kule, proch i żywność dla wojsk Maksymiliana. Do obrony taboru przysłano 200 jeźdźców i 200 piechoty z hrabią Hansem Schlickiem von Lorzem i jego bratem Krzysztofem, a także baronem Hieronimem von Promnitzem, a dodatkowo osłaniali go prywatni żołnierze Stanisława Górki. Hołubek jednak wsparty przez górników z Olkusza rozbił siły habsburskie, a w potyczce zginął hrabia Hans von Schlick. Wkrótce też rotmistrz otrzymał za zasługi prawdziwie królewską nagrodę od Zygmunta III Wazy, już zaprzysiężonego na króla. Otrzymał bowiem w dożywocie zamek Seświej w Inflantach (prawdopodobnie obecne Cesvaine na Łotwie). Niestety, krótko się nim cieszył.

Rotmistrz wziął udział w styczniu 1588 r. w wyprawie wojsk Jana Zamoyskiego pod Byczynę i wraz ze swoją rotą przekroczył w straży przedniej granicę z cesarskim Śląskiem. Wkrótce podjazdy te natknęły się na wojska Maksymiliana i wspierających go magnatów polskich. W pierwszym starciu oddziały Zamoyskiego rozbiły przeciwnika. Potem ustawiły się do bitwy, gdzie chorągiew Hołubka stanęła w polu na zachód od Sierosławic, na prawym skrzydle, w pierwszej linii. Następnie rotmistrz wziął udział w ataku na arkebuzerów Maksymiliana, którzy rozpoczęli karakol, to znaczy sposób prowadzenia natarcia ogniem z broni palnej. Niestety, Hołubek poległ tutaj postrzelony trzema kulami z półhaka, czyli z ciężkiego pistoletu jazdy; według innej wersji otrzymał tylko jeden postrzał, ale w głowę, i zmarł później we wsi Grębanin, gdzie znajduje się dziś jego symboliczny nagrobek. Widząc śmierć lub ciężką ranę dowódcy, chorągwie kozackie i tatarskie rozpoczęły odwrót, wówczas jednak wsparł je Zamoyski innymi oddziałami i ostatecznie bitwę wygrał, biorąc do niewoli arcyksięcia Maksymiliana jako jeńca.

Jeszcze w tym samym roku ks. Stanisław Grochowski upamiętnił czyny rotmistrza w wierszu „Pieśń o Gabryelu Hołubku i jego dziełach rycerskich", który być może był dumą, choć melodia do niej pochodzi raczej z XIX w. i została zapisana w okresie międzywojennym. To najlepsze i nieśmiertelne wspomnienie o dzielnym rotmistrzu. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



FOT. JAP

MGS9 PHEV

Największy samochód w gamie chińskiej marki z brytyjskim rodowodem nie jest autem idealnym. Jest jednak bardzo atrakcyjnie wycenionym siedmioosobowym SUV-em z segmentu D, który oferuje mnóstwo przestrzeni dla całej rodziny, komfortowe zawieszenie, świetnie wyciszoną kabinę, bogate wyposażenie standardowe i ogromny bagażnik.

Jedną z głównych zalet tego pięciometrowego samochodu (mierzy dokładnie 4983 mm długości) jest hybrydowy napęd plug-in o łącznej mocy 299 KM z turbodoładowanym silnikiem o pojemności 1,5 l w roli głównej. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 9,6 s. Chociaż model jest stworzony raczej dla miłośników miękkiego, komfortowego żeglowania niż szukających sportowych emocji, to w trasie auto potrafi być dynamiczne i żwawo rwie się do przodu podczas wyprzedzania.

Prędkość maksymalna wynosi 200 km/h. Wyłącznie na prądzie da się tym potężnym SUV-em przejechać do 100 km (akumulator ma pojemność 24,7 kWh). Na jednym tankowaniu i ładowaniu można zaś pokonać ponad tysiąc kilometrów. Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym wyniosło podczas testu 6,9 l/100 km.

W niezwykle przestronnej, elegancko wykończonej kabinie w oczy rzucają się dwa ekrany HD o przekątnej 12,3 cala, a także dekory przypominające drewno i szczotkowane aluminium. Za dźwięk odpowiada system audio firmy Bose. Obsługa Android Auto i Apple CarPlay działa bez zarzutu, podobnie jak bezprzewodowe ładowanie smartfona. Parkowanie ułatwia system kamer 360 stopni.

Z kolei panoramiczny, otwierany dach podczas piekielnych upałów można jednym przyciskiem zasłonić elektrycznie sterowaną roletą.

Jedną z największych zalet tego modelu jest pełnowymiarowy trzeci rząd siedzeń. Wejście do trzeciego rzędu jest wygodne i proste (przesuwne fotele drugiego rzędu są elektrycznie składane). Podróżowanie w trzecim rzędzie uprzyjemnia zaś trójstrefowa klimatyzacja.

Potężnym plusem testowanego modelu jest też wielki kufer o pojemności 1026 l (licząc od podłogi do sufitu przy złożonym trzecim rzędzie siedzeń) lub nawet 2093 l (przydatne, gdy chce się wyskoczyć na weekend nad morze z dwiema deskami surfingowymi lub przewieźć samemu jakiś większy mebel). Przy rozłożonym trzecim rzędzie bagażnik ma 332 l pojemności.

MGS9 PHEV w testach Euro NCAP otrzymał komplet pięciu gwiazdek. Samochód jest też uzbrojony w nowoczesne systemy bezpieczeństwa (dbające o utrzymanie pasa ruchu, monitorujące martwe pola lusterek i potrafiące zatrzymać auto, by nie dopuścić do kolizji). Trzeba tylko uważać, aby przypadkiem nie ziewnąć za kierownicą – po wykryciu potencjalnego zmęczenia kierowcy komputer pokładowy domaga się przerwy w sposób tak irytujący, że nawet po zjechaniu na stację kawa nie jest już potrzebna.

MGS9 PHEV występuje w dwóch wersjach wyposażenia. Wersja Excite kosztuje 172,9 tys. zł, a wariant Exclusive 181,9 tys. zł (wówczas np. przednie fotele są nie tylko podgrzewane, lecz także wentylowane i wyposażone w funkcję masażu). Gwarancja: siedem lat z limitem do 150 tys. km. ©℗

ECOVACS DEEBOT X12 OMNICYCLONE

Potężna moc ssania, która umożliwia dokładne odkurzanie dywanów, dopracowana technologia mycia podłóg z mopem rolkowym, zaawansowane algorytmy pozwalające na unikanie większości przeszkód, szybkie ładowanie oraz niemal bezobsługowa bezworkowa stacja bazowa to największe zalety flagowego robota sprzątającego chińskiej marki Ecovacs.

Robot szybko tworzy mapę mieszkania, domu lub ogromnej rezydencji. Pozwala mu to dokładnie i metodycznie sprzątać pokój po pokoju. Maksymalna powierzchnia sprzątania to 1000 mkw. (choć aby sprzątać taki obszar, robot wielokrotnie będzie musiał wracać do stacji, aby się podładować). Za pomocą intuicyjnej w obsłudze aplikacji robota można wysłać do sprzątania konkretnych pomieszczeń lub całego obszaru. Można też wyznaczyć strefy zakazane oraz te miejsca, które powinny być sprzątane jak najdokładniej (np. przedsionek dwukrotnie, a sypialnia tylko raz).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Moc ssania wynosi 22 000 Pa. Dzięki temu robot nie jest już tylko zabawką, która gładzi dywan, przy okazji coś tam zbierając, lecz także pełnoprawnym odkurzaczem. System ZeroTangle 4.0 zapobiega z kolei zaplątywaniu się długich włosów w szczotki.

Robot nie tylko odkurza, lecz także mopuje. Podłoga jest umyta, a nie zwilżona (to ważne, bo część konkurentów jedynie odświeża powierzchnie za pomocą ciągniętej za robotem wilgotnej nakładki). Technologia FocusJet pozwala mu na usuwanie nawet zaschniętych plam z wina, kawy czy ketchupu. Posiadacze drogich dywanów docenią kolejną cechę testowanego robota: urządzenie wyposażono w osłonę Mop Roller Smart Cover, która unosi i zabezpiecza mokrą rolkę mopa, co chroni nawet wysokie włosie. Po zjechaniu z dywanu lub wykładziny na panele lub płytki robot automatycznie wraca do mycia. Kolejną zaletą tego modelu jest elegancko wyglądająca stacja dokująca OMNI. Doładowuje ona energię i dokładnie oczyszcza naszego automatycznego pomocnika po wykonaniu brudnej roboty. Zużyta woda jest wyciągana do specjalnego pojemnika, brud i kurz do innego pojemnika, a mop jest dokładnie myty i suszony.

Wady? Po pierwsze: stacja dokująca nie należy do najmniejszych (trzeba znaleźć na nią miejsce), a sam robot ma 9,8 cm wysokości. Roboty niektórych konkurentów Ecovacsa bywają niemal o centymetr niższe. Różnica nieduża, ale warto sprawdzić, czy Deebot X12 nie będzie miał problemu z wjechaniem pod niskie meble. Po drugie: w przypadku sprzątania dużych powierzchni zbiornik na śmieci w robocie może okazać się zbyt mały i będzie wymagać częstego opróżniania. Cena: 4099 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2f31385647



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Las wzywa!

Kojarzą się z wakacjami pod namiotem, spływem kajakowym, wyprawami konnymi i spędzaniem czasu blisko natury. To nasze ulubione grzyby, na które czekamy cały rok. Kurki pojawiają się na początku lata i są wszechstronnie wykorzystywane w polskiej kuchni aż do jesieni.

Pierwsze skojarzenie to jajecznica na kurkach. Któż jej nie jadł! To oczywiście klasyk, ale można ją podać na chrupiącej grzance z dodatkiem świeżych ziół. Malutkie złote grzybki możemy też marynować, smażyć i zapiekać. Wyśmienity jest też sos kurkowy – czyli kurki w śmietanie – który także lubimy z grzanką albo dodajemy do niego ugotowany makaron i obficie posypujemy parmezanem oraz natką pietruszki. Często dodajemy kurki do zupy, szczególnie dobrze smakuje z zupą kremem z kalafiora. Pamiętajmy, że świeże zioła podkreślają wyjątkowy smak kurek, zwłaszcza świeży rozmaryn czy rukola.

Kurki, czyli inaczej pieprznik jadalny, to nie tylko walory smakowe, to także bogactwo witamy B, błonnika i minerałów; zawierają potas, miedź, mangan i żelazo. Rzadko są robaczywe, bo zawierają chitynomanozę, czyli substancję, która chroni nas przed pasożytami jelitowymi. Kurki są dostępne na bazarkach albo w popularnych sklepach spożywczych, jednak my zachęcamy, aby wybrać się do lasu i połączyć przyjemne z pożytecznym. Spacer po lesie koi nerwy i przywraca balans, a satysfakcja po zebraniu kurek jest nieoceniona, szczególnie jeśli potem przygotujemy sobie z nich coś smacznego.

Dzisiaj proponujemy gulasz drobiowy z kurkami i purée ziemniaczane.

FOT. ADOBE STOCK



Gulasz drobiowy z kurkami i purée ziemniaczanym

• 500 g mięsa drobiowego na gulasz – może być indyk • 250 g świeżych kurek • 1 duża cebula cukrowa • 2 duże łyżki oliwy • 1 duża łyżka masła • ½ pora • ½ marchewki • 300 ml bulionu drobiowego • 150 ml śmietanki słodkiej • sól, pieprz, czerwona papryka słodka • 1 ząbek czosnku • 1 łyżka mąki pszennej • ¼ pęczka pietruszki i koperku

Mięso pokroić na kawałki, dodać wszystkie przyprawy, oprószyć mąką. Kurki zanurzyć w zimnej wodzie, dobrze opłukać, wyjąć, oczyścić i pokroić na mniejsze kawałki. Oliwę z oliwek razem z masłem rozpuścić w garnku, dodać mięso i obsmażyć z każdej ze stron. Smażyć 5 min, dodać startą na tarce na grubych oczkach marchew, pokrojoną cebulę, pora oraz kurki i wszystko razem dusić kilkanaście minut, następnie podlać bulionem. Gotować razem jeszcze 10 min. Na koniec podlać śmietanką i dodać natkę oraz koperek. Jeśli sos będzie za mało gesty, to dodać jeszcze jedną łyżkę mąki rozprowadzoną w zimnej wodzie. Gulasz podawać z ziemniakami purée. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jagodowa królowa

Sierpień, wakacje. Żyjemy nie tylko inwazją na Ceutę, nie tylko dogorywającą (niestety nierozwiązaną) sprawą Szpitala Południowego. W sezonie ogórkowym bardziej niż ogórki Polaków pochłania kwestia jagód. A właściwie jagodzianek. To skromne ciasteczko, bardziej bułeczka jest w/na ustach wszystkich. Idealne na drugie śniadanie na plaży, na wycieczkę. Lato bez jagodzianki się nie liczy. W ciągu kilku lat jagodzianki stały się tak popularne, że zyskały rodzeństwo z nieprawego łoża: poziomiankę, maliniankę.

„Zostałam oszukana w Juracie – skarży się przyjaciółka – dali mi borowiankę. Patrzę, a tam jagody amerykańskie, koszmar". A więc stało się. Jesteśmy świadkami wojny kulturowej między jagodą a borówką – powiedzmy otwarcie – amerykańską. Jakże to możliwe?

Przecież jagody (w języku Małopolski – borówki) są nienaruszalną częścią naszej kultury, plemienia zbieraczy i łowców. Maria Konopnicka, „Jagodowy król", „Na jagody" – tych rzeczy będziemy bronić jak „Placówki".

Kto jest wystarczająco stary, to pamięta – dawniej dzieci to czytały, bo nie było „Harry'ego Pottera". Jakieś 50 lat temu opowiastki wyżej wzmiankowanej autorki o dzieciach wyruszających gromadnie do lasu na jagody poruszały wyobraźnię ośmiolatków. Kto nazbiera więcej: Jaś czy Marysia? (wersja 2026: Patrycja czy Kevin).

W latach 80. w sierpniu na moim osiedlu Stegny od rana wśród bloków rozbrzmiewał dźwięczny głos „Jagooody, jagooody, jagooody!". Obudzona ze snu rozpoznałabym ten głos w najdalszym zakątku świata i zerwałabym się na dół lecieć ze słoikiem. Jednak nie mam już szansy go usłyszeć.

Na letniej scenie spożywczej pojawił się nowy aktor: borówka amerykańska. Wróg sprawny, smaczny, wszechobecny tak bardzo, że nieszczęsny endemiczny owoc polskiego lasu nie miał szans. Cóż taka drobna jagódka może wobec, było nie było, produktu z samej Ameryki?

Jest mała, mniej słodka, a dodatkowo zależna od warunków naturalnych. A u nas – wiadomo – jak susza, to wyschło; jak deszcz, to zgniło. Jednym słowem: jagódka objęta jest odwieczną dychotomią polskiego rolnictwa.

Jednak nasza skromniutka, nie tak słodka, nie tak ładna i być może nie tak smaczna jagódka leśna pokonuje konkurentkę w jednej dyscyplinie. Produkt hodowlany wszystko może, ale absolutnie nie nadaje się na jagodzianki. W ogóle nie nadaje się na przetwory. Koniec, zamykamy dyskusję.

Reszta argumentów jest nie na miejscu. Przeciwnik leży na podłodze rozłożony na łopatki, a my pochylamy się nad nim, jedząc smaczną jagodziankę. Od której zęby będą fioletowe. ©℗

eprasa.pl 2f31385647



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Krajobraz po bitwie

Jak już donosiłem, 25 lipca połączone, uzbrojone po zęby siły zbrojne lewicowych ekstremistów, również z zagranicy, w proteście przeciw dobiegającej końca budowy linii kolejowej Turyn – Lyon zranili w dolinie Suzy ok. 200 policjantów i spowodowali szkody liczone w milionach euro. Straty własne praktycznie żadne: dwóch zatrzymanych Niemców.

Zaraz potem liderzy galaktyki włoskich organizacji „antagonistycznych", czyli zawodowych rewolucjonistów, po niewątpliwym sukcesie w wielkiej bitwie o szyny z policją, zebrali się w Venaus w Piemoncie, by szukać odpowiedzi na leninowskie pytanie: „Co robić?". W wydanym manifeście podsumowali: „W dystopijnym świecie poświęciliśmy trzy dni na myślenie o utopii, poznawanie nowych towarzyszy i patrzenie w przyszłość". Tytuł dokumentu, widniejący również na plakatach rozlepionych w całej okolicy, to szokujące hasło bojowe: „Rzucaj kamieniami, nie oszczędzaj się, bądź czujny! Uderzaj w policjanta!".

Dalej nawołujący do przemocy rewolucjoniści tłumaczą, że „bezprzemoc jest nieskuteczna, rasistowska, etatystyczna i patriarchalna, strategicznie gorsza i iluzoryczna. Aspirujący rewolucjoniści muszą zdać sobie sprawę, że pacyfizm jest tak mdły i kontrproduktywny, iż alternatywa staje się niezbędna. Tylko wtedy będziemy mogli sprawiedliwie rozważyć różne ścieżki walki. Jeśli chcemy być realistami, to musimy zaakceptować, że rewolucja jest wojną społeczną, nie dlatego, że lubimy wojnę. Ale dlatego, że zdajemy sobie sprawę, iż status quo to wojna o niskiej intensywności, a kwestionowanie państwa prowadzi do jej zaostrzenia".

Rojenia zideologizowanych, agresywnych idiotów jako żywo kojarzą się z bełkotem Czerwonych Brygad sprzed ponad pół wieku. Wówczas w imię walki o lepszy świat lewaccy terroryści zamordowali ponad 350 osób, tłumacząc, jak choćby po zamordowaniu lidera chadecji Aldo Moro, że „walczą z reżimem realizującym kontrrewolucyjny program imperialistycznej burżuazji, uciskającym naród włoski i tłumiącym rewolucyjne aspiracje proletariatu".

Naturalnie, nie bez podszeptów lewicy parlamentarnej i postępowych mediów, zdaniem dzisiejszych rewolucjonistów włoskich krajem rządzi faszyzujący, jeśli nie faszystowski reżim Giorgii Meloni. Musi to być jakaś nowa odmiana faszyzmu, skoro nawoływanie do ataków na policję i przejęcia władzy siłą uchodzi szurniętym lewakom na sucho. Ba! Można jawnie spiskować przeciwko państwu w ramach swobód obywatelskich. Włoskim ultralewicowcom znowu umyka, że jedynymi groźnymi faszystami w Italii są oni. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Europa kontra Iran

Ukraińcy zaatakowali statek wiozący wyposażenie wojskowe z Iranu do Rosji. Z ich punktu widzenia jest to „zwyczajne" działanie mające osłabić transport uzbrojenia do kraju, który ich zaatakował. (Notabene – dlaczego Putin tego nie robi z drogami transportowymi na Ukrainę?). Czyżby odstraszanie NATO tu akurat zadziałało? Ale takie działania mają też drugą stronę – Iran. Jemu akurat to się nie spodobało i zagroził Ukrainie bardzo poważnymi konsekwencjami. Może więc Ukraina zacząć zaraz walczyć na dwa fronty.

Co najważniejsze, można sobie wyobrazić, że za takie akty agresji wobec Iranu wdzięczne Ukrainie mogą być i Stany, i Izrael. W tym drugim przypadku takie „dobre usługi" ze strony Ukrainy wobec śmiertelnego wroga Izraela mogą tłumaczyć fenomen milczenia Tel Awiwu na temat ewidentnie antysemickiej ideologii banderyzmu, który stał się oficjalną narracją tożsamościową Kijowa. Trump może dlatego ostatnio wymiękł w stosunku do Zełenskiego, że ten – uwaga! – bez oglądania się na dekowników z NATO pośrednio wspomógł czynem zbrojnym działania USA w Zatoce. Widać z tego, że Ukraina, państwo na skraju upadku, prowadzi jednak jakąś politykę i wyciska ze swych możliwości efekty grubo ponad stan swojego posiadania. Oj, żeby nasz (sic!) Radek to zrozumiał…

Widać, że w globalizującym się świecie wojny się też globalizują. Ale pociągnijmy ten wątek. A co będzie, jak Iran zaatakuje Ukrainę, mimo niedawnych przeprosin ze strony Zełenskiego? Europa się obróci przeciwko Iranowi i wreszcie (dla Trumpa) dołączy do koalicji USA-Izrael i wybierze się do Zatoki? Nagle stanie się to „nasza" wojna? A co, jeśli Iran zaatakuje np. Bułgarię za to, że ta udostępnia swe lotniska dla działań lotnictwa atakującego Persów? Iran już oficjalnie Bułgarii zagroził za takie wspomaganie. A irańskie rakiety dolatują do prawie całej Europy (spać spokojnie mogą Portugalczycy, „zachodni" Hiszpanie, Irlandczycy i Islandczycy).

Mielibyśmy wtedy kliniczny test działania art. 5 traktatu NATO. Czy sojusz by się ruszył „umierać za Płowdiw"? USA dostałyby nie tylko placet na eskalację wojny z Iranem, lecz także rzesze sojuszników z Europy? A może tylko kilku by popłynęło do Zatoki, łącznie z naszą korwetą „Gawron" vel „Ślązak"? My przecież jesteśmy zawsze „first to fight", c'nie?

Ale jeśliby sojusz zaatakował Iran za to, że ten się militarnie pogniewał na Bułgarię za jej logistyczne wspieranie wojny USA, to na drugi dzień Putin – per analogiam – miałby pełne prawo wystrzelić w taką Jasionkę, Estonię czy parę europejskich fabryk komponentów do ukraińskich dronów. Tak oto wojny się globalizują… ©℗

eprasa.pl 2f31385647



SPODE ŁBA

Kogo popychali lekarze?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawym widowiskiem cieszyć się mogli Amerykanie, obserwujący przesłuchania przed Komisją do spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego Senatu USA. Przed komisję wezwany został niedawny „guru" amerykańskiego środowiska medycznego, doradca kilku ostatnich prezydentów Stanów Zjednoczonych – dr Anthony Fauci. Ponad 100 razy odmówił on udzielenia odpowiedzi, powołując się na piątą poprawkę do konstytucji. Pozwala ona świadkom nie odpowiadać na pytania, jeśli mogliby zeznawać przeciwko sobie. Doktor Fauci odwołał się do piątej poprawki pomimo faktu, że w ostatnim dniu swojego urzędowania prezydent Joe Biden „na zapas" ułaskawił go z przestępstw federalnych, popełnionych w przeszłości, a jeszcze nieosądzonych i nieobjętych zarzutami. Fauci przyjął ułaskawienie, tłumacząc, że samo ewentualne dochodzenie wiązałoby się dla niego z groźbą „wielkiego stresu".

Pomimo łaskawości prezydenta Bidena 86-letniemu Fauciemu nie uda się jednak stresu uniknąć. Ujawnione ostatnio w USA dokumenty coraz lepiej pokazują rolę, którą odegrał on w okłamywaniu Amerykanów, manipulowaniu danymi, a także zastraszaniu i uciszaniu krytyków. Dokumenty demaskujące Fauciego ujawniła niedawno dyrektor Wywiadu Narodowego USA, kolejne wyszły na jaw za sprawą komisji Senatu USA. Okazuje się, że w prowadzonym prywatnie dzienniku oceniał on śmiertelność wirusa COVID jako podobną do „ostrej grypy" (0,2 proc.), a w składanych jednocześnie pod przysięgą zeznaniach informował Senat o ponad 10-krotnie większym zagrożeniu. Choć w prywatnej korespondencji dr Fauci uznawał za prawdopodobną możliwość stworzenia wirusa w chińskim laboratorium, to publicznie wykluczał taką możliwość, a krytyków stygmatyzował jako krzewicieli „teorii spiskowych". Naukowców, którzy się z nim zgadzali, nagradzał milionowymi grantami. Swoim korespondentom nakazywał zarazem usuwanie śladów po e-mailach oraz niszczenie niewygodnych dokumentów. Liczne zapiski w dzienniku Fauciego przedstawiają go jako osobę chorobliwie próżną, narcystycznie pielęgnującą swoje ego i zabiegającą, nawet w pandemii, o poklask medialnych celebrytów. Senatorowie zarzucili Fauciemu doprowadzenie do licznych przypadków „korupcji, łamania zaufania publicznego oraz obowiązków nakładanych przez prawo na pracowników medycznych". Dla wiarygodności amerykańskiego systemu politycznego przesłuchania prezydenckiego doradcy wydają się wyjątkowo niebezpieczne. Najpierw otrzymał on od Joe Bidena prewencyjne ułaskawienie, a następnie, gdy liczne kłamstwa wyszły na jaw, odmówił odpowiedzi na pytania Senatu. Trudno o lepszy wyraz poczucia bezkarności. Miliony Amerykanów, których prawa obywatelskie zostały, za sprawą „rekomendacji" Fauciego, drastycznie złamane, domagają się dziś od swoich przedstawicieli sprawiedliwości i ukarania winnych.

Podobnym oczekiwaniom nie muszą odpowiadać politycy w Polsce. Były covidowy premier, Mateusz Morawiecki, ujawnia dziś Jarosława Kaczyńskiego jako promotora przymusowych szczepień i covidowych restrykcji. Do takich działań miały też Morawieckiego „popychać" Rada Medyczna i wiele tajemniczych „środowisk". Sam Jarosław Kaczyński odpowiedział swojemu protegowanemu, że na posiedzeniu zajmującego się polityką covidową „zespołu" pojawił się raz w życiu, a kiedy zorientował się, że zasiadają w nim lekarze – „raczej chyba bez wyjątku, profesorowie" – postanowił im „nie przeszkadzać"? Czy odpowiedzialność za prowadzoną podczas pandemii politykę uda się polskim rządzącym zrzucić na nieznanych szerzej „profesorów", których uczciwości nikt uprzednio nie sprawdzał ani do władzy nie wybierał? Osoby skłonne do wiary w tak naiwne bajeczki uwierzą zapewne i w to, że piszący te słowa ma w Warszawie na sprzedaż wysoką granitową kolumnę, zakończoną pomnikiem mężczyzny w zbroi. Zdecydowanym nabywcom dorzucę też, na zachętę, parę mostów przez Wisłę, niedrogo, w dobrym stanie. ©℗

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



eprasa.pl 2f31385647



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Hania płacze z bezsiły

Było nas czterech oraz Jarosław Iwaszkiewicz, jako piąte koło u wozu – mawiali Skamandryci pochodzący z zamożnych, inteligenckich rodzin. On natomiast był hołyszem, głodomorem z dalekich Kresów, z nieskrywanymi skłonnościami homoseksualnymi, poczuciem gorszości i wielkimi ambicjami. Chciał je zrealizować, podobnie jak bohater jego debiutanckiej powieści „Hilary, syn buchaltera", przez ożenek z bogatą panną.

Pierwszą wybranką została Teresa, córka hrabiostwa Potulickich, właścicieli Obór, ale go nie chciała; trafiła się jednak „pańska" Hania Lilpopówna, piękna, inteligentna, egzaltowana, uwielbiająca poetów, ludzi sztuki, która zerwała dla niego zaręczyny z księciem Krzysztofem Radziwiłłem, córka majętnego ziemianina i przemysłowca, Stanisława Lilpopa. Wzięli ślub w roku 1922 i nie wiadomo, czy podobnie jak Hilary, homoseksualista jak on, „szedł do ołtarza ze spuszczoną głową i uczuciem obrzydzenia na myśl o zabawnych obrzędach: przysięgach, klękaniu, weselnej wieczerzy?".

W prezencie ślubnym Lilpop podarował im dwór w Stawisku z 50 ha ziemi, a w 1930 r., gdy dowiedział się, komu oddał swą wychuchaną jedynaczkę, popełnił samobójstwo, majątek, który zostawił, wyceniano w milionach dolarów. „Wszystkie jeścia są od teścia" – przyznawał Iwaszkiewicz.

W PRL karmiono nas idealnym obrazem jego małżeństwa i początkowo takie było, żyli na stopie nieosiągalnej dla innych, mieli dwór, służbę, dwie córki, pisał nie tylko on, lecz także ona, m.in. książeczkę dla dzieci o zwierzętach, eseje o Conradzie, Mannie, Prouście, tłumaczyła. Jej stan psychiczny coraz bardziej się jednak pogarszał, przechodziła załamania, kuracje w zakładach dla nerwowo chorych w Monachium, podkrakowskich Batowicach i Tworkach, gdzie przeszła przymusową aborcję. Cierpiała najprawdopodobniej na depresję psychotyczną.

Sylwia Góra, autorka jej biografii „W stronę Anny", źródeł jej choroby upatruje w traumie, jaką była dla niej utrata matki, która dla innego mężczyzny opuściła dwuletnią córeczkę i męża, a także w skłonnościach genetycznych – samobójstwo ojca i jego wcześniejsze depresje. Pomija natomiast wpływ aktywnego homoseksualizmu Iwaszkiewicza, uprawianego właściwie na oczach żony. Przed ślubem wprawdzie ją o nim uprzedzał, ale młoda, naiwna sądziła, że to tylko przelotne, niewinne romanse z „gaszkami", jego chłopaczkami. Jak pisała Irena Krzywicka: „Po Stawisku snuli się zawsze jacyś szoferzy, sekretarze albo inne dziubasy, ale to w niczym nie mąciło życia rodzinnego". Mąciło jednak, i to bardzo, bo pod jednym dachem mieszkała nie tylko z córkami i mężem, lecz także z jego młodym, męskim haremem: sekretarzem Józefem Zakrzewskim, prywatnym kierowcą Władysławem Kuświkiem, ochroniarzem i majordomusem Szymonem Piotrowskim, wychowankiem Wiesiem Kępińskim i jego bratem Stanisławem. W służbowym mieszkaniu Iwaszkiewicza przy Alei Szucha w Warszawie, które otrzymał jako poseł, mieszkała jego wielka namiętność, Jurek Błeszyński, bohater II tomu dziennika. Oprócz domowników byli też inni kochankowie, m.in. Karol Szymanowski, malarz Józef Rajnfeld, a zwłaszcza pisarze, słynął bowiem jako tester młodego literackiego narybku – Pawła Hertza, Mieczysława Rytarda, Czesława Miłosza, „chędożonego w Wilnie w celi Konrada", Marka Hłaski, przejętego od Andrzejewskiego, Edwarda Stachury. Często też, oczywiście bez żony, wyjeżdżał do ukochanych Włoch, do Taorminy, stolicy homoseksualnej turystyki.

Nie raz i nie dwa przyłapała męża in flagranti, ale mimo to głęboko wierząca, małżeństwo uważała za nierozerwalne i uciekała w miłość do wnuków, religię, choć Iwaszkiewicz pokpiwał z jej bigoterii i dewocji, śmiał się, że zdradza go z Panem Bogiem. Starała się wszystko mu wybaczać, tolerować, akceptować. Był to jednak ciężar ponad jej siły, zwłaszcza w ostatnich latach. „Hania nieprzytomna, niepoczytalna, obłąkana, gada od rzeczy, wygląda okropnie" – notował, rzadko dostrzegając jej cierpienie. „Hania, stara i opuszczona, płacze z bezsiły", rzucał czasem.

Oczekiwał od niej nie tylko akceptacji, lecz także wsparcia w rozpaczy nad umierającym na gruźlicę kochankiem Jurkiem. Namawiał, by odwiedzała go, prątkującego, w szpitalu, modliła się za niego, o czym świadczy jedyny chyba napisany dla niej wiersz: „Podaj mi rękę i trzymaj mocno / Ty – moja matka, żona i córka / Trzymaj, abym się nie przechylił w nicość – w śmierć, w Jurka".

Choć Stawisko było rodzinnym majątkiem Anny, on się tylko tu wżenił, nie spełnił jej ostatniej woli, chciała bowiem zapisać je Laskom, zakładowi dla ociemniałych prowadzonych przez Kościół; wolał jednak muzeum, wprawdzie imienia ich obojga, ale pamiątek po niej prawie tu nie ma, wyłącznie pomnik ku jego czci. ©℗

eprasa.pl 2f31385647

I SZTO?



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Putin, gdy udziela wywiadów, potrafi oczarować i być wyluzowany. Jakby prowadził sklep z kontrowersyjną bielizną, a nie morderczą machinę wojenną. Gdy mu zadają niewygodne pytania, nic sobie z tego nie robi.

Kilka lat temu dowiadywaliśmy się o kolejnych zabójstwach na zlecenie Putina. Przeciwnicy Kremla przebywający na Wyspach Brytyjskich umierali po wypiciu herbatki. Po kolejnym głośnym zabójstwie odbyła się konferencja prasowa. Zagraniczny dziennikarz zaatakował Putina. Tyrada była długa i mocna – wyliczanka zbrodni, a na końcu oskarżenie, że Putin zlecił zabójstwo. Wzburzony dziennikarz opowiada Putinowi i całemu światu historię tego morderstwa, a potem zawiesza głos i czeka na reakcję. Putin patrzy chwilę jak na głupka i głosem spokojnym pyta: „I szto?". Ryczałem ze śmiechu, choć sprawa była poważna, a zbrodnia obrzydliwa. Dziennikarz nie wiedział, co ma zrobić. Naopowiadał okropności, a Putin pyta: „I co?".

W takiej sytuacji druga strona traci rezon.

***

Krwawy bandyta może być jednocześnie uroczy, wyluzowany i mieć dystans do siebie i swoich zbrodni. Wielu amerykańskich mafiosów brylowało w towarzystwie i wcale się nie kryło z tym, co robią „w pracy". Bandyta ocieka krwią, ktoś mu tę krew wytyka, a on bierze serwetkę i mówi: No fakt, trochę się upaprałem, ale to się zmyje i tyle.

To bardzo skuteczna metoda radzenia sobie z negatywnymi opiniami i atakami. Metoda „Tak, wiem. I i co z tego?". Metoda zalecana politykom przez ich doradców od wizerunku. Przeciwnik wyskakuje z zarzutami, oczekuje paniki, kłamliwych zaprzeczeń albo kajania się, a tymczasem zaatakowany polityk rozładowuje sytuację wzruszeniem ramion i prosi o następne pytanie.

Tak robi Donald Tusk. Siedzisz przed telewizorem i się wściekasz, że jest taki bezczelny, że sam sobie zaprzecza, że kłamie w żywe oczy. A Tusk kiwa głową i się uśmiecha. Rakieta wleciała do Polski, a Tusk nam opowiedział, że to bardzo dobrze, że spadła na puste pole, bo dzięki temu nikomu się nic nie stało, czyli sukces. Ty się gotujesz ze złości, a Tusk wyluzowany.

***

W USA jesienią będą wybory do Kongresu. Jeden z kandydatów Partii Demokratycznej miał na piersi wytatuowane symbole faszystowskie i lubił się fotografować bez koszuli. „Oj tam, oj tam. Ja nie wiedziałem, co to jest za znak. Był ładny graficznie, to se wytatuowałem dla ozdoby ciała" – to tłumaczenie przeszło i kandydat nadal kandydował. Potem okazało się, że notorycznie zdradza żonę. „Oj tam. Wielkie mi co. Ona wie i mnie nadal kocha" – to tłumaczenie też przeszło! Kandydat zrezygnował, dopiero gdy został oskarżony o gwałt.

***

Opisana powyżej metoda jest skuteczna. Można ją stosować w celach złych – tak robią Putin, Tusk. Można ją też stosować w celach dobrych. Podobnie jak młotek, który może służyć do wbijania gwoździ w drewno lub w czaszkę. Zamiast kontry wyprowadzonej w przeciwnika, który cię atakuje, odpowiadasz uprzejmym przyznaniem mu racji.

Przykład: gdy słyszę, że jestem homofob, odpowiadam spokojnie, że owszem, jestem, bo mnie brzydzi to, co oni robią, i jest to kwestia estetyczna, a nie polityczna.

***

Trzydzieści lat temu prowadziłem w TV audycję „WC Kwadrans". Poglądy miałem takie same jak teraz, czyli ogólnie tradycyjny i raczej wsteczny system wartości: religijny, bezpartyjny, walczy z aborcją, nie lubi Niemców i Ruskich, opowiada kawały o Żydach, gdy są śmieszne, i uważa, że szkoła powinna uczyć fizjologii ssaków, a nie edukować seksualnie. „WC Kwadrans" miał wielu kibiców – te moje wsteczne poglądy to była średnia populacyjna, więc elity się wściekły na zacofane społeczeństwo. Zaczęli stosować pogardliwe określenie „ciemnogród". Podziękowałem uprzejmie i napisałem to słowo wielką literą „Ciemnogród".

To nie była ani partia polityczna, ani ruch społeczny. To była samoidentyfikacja.

Na pierwszy Zlot Ciemnogrodu przyjechał tłum. Ludzie bezpartyjni, którzy nie chcieli do niczego należeć. Byli ogólnie patriotami w rozumieniu tradycyjnym i chcieli, aby w Polsce było dobrze. Część tych osób wyjechała potem na Wyspy, bo tam było lepiej. Teraz wracają i znów chcą, aby w Polsce było dobrze. Nie chcą do niczego należeć.

Pierwszy Zlot Ciemnogrodu to było spotkanie rodzinne takich właśnie ludzi. Trzydniowa impreza, gdzie się czujesz jak w lekko poprawionej Polsce. Podobnie ma być w tym roku (więcej tu: ciemnogrod.pl).

Partie polityczne kręciły się dookoła tamtej imprezy, ale partie mają zawsze zbyt wąski program, aby obejmować średnią populacyjną. Żadna partia nie reprezentuje średniej populacyjnej. Politycy nie załatwiają spraw – zajmują się dzieleniem społeczeństwa na elektoraty. Kłócą się pomiędzy sobą o jakieś swoje wąskie pryncypia, a ludzie ze średniej populacyjnej chcą, aby benzyna była tania i jest im obojętne, jak to będzie załatwione. Szpitale mają być sprawne i jest im obojętne, jak i kto tego dokona. Szkoła ma uczyć matematyki, a nie multi-kulti.

***

Średnia populacyjna ma poglądy zwyczajne bez dziwactw. Nowocześni, dziwacy, elity uważają, że jak ktoś chce, aby było „zwyczajnie bez dziwactw", to znaczy, że ma wsteczny system wartości. Nieprawda. „Bez dziwactw" oznacza, że ludzie chcą żyć spokojnie, a nie szarpać się z dziwakami. No np. tęczowymi, zielonymi, czerwonymi.

W dowolnym społeczeństwie i dowolnej kulturze zawsze dominuje „zwyczajne bez dziwactw", a reakcją na dziwactwa jest odruchowe WON. Znakiem rozpoznawczym dla tych poglądów w Polsce jest WSZYSCY WON. To nawet nie jest hasło, tylko coś w rodzaju emocji. Bo ludzie by chcieli dobrych dróg, taniej benzyny, sprawnego szpitala i jest im obojętne, kto to załatwi, byle było załatwione. A Tusk już mógłby sobie odejść. I niech zabierze ze sobą Kaczyńskiego i Morawieckiego. I mogą iść razem, trzymając się za ręce.

Żadna partia nie reprezentuje średniej populacyjnej. Średnia populacyjna chce, by się od niej wszyscy odczepili, przestali się wtrącać i dali normalnie żyć. ©℗

eprasa.pl 2f31385647

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2f31385647

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 2f31385647